KTO ZATRUŁ ODRĘ
Państwo poległo w starciu z glonem

HISTORIA I PRZYSZŁOŚĆ
Wróbel i Babka od Histy dają lekcję HiT-u

ROSJA GRA ATOMEM
Drugi Czarnobyl nam nie grozi

SERHIJ ŻADAN
Co mam poza nienawiścią

SZTUKA KĄPIELI
Średniowiecze na golasa

Kraków 4 września 2022 nr 36 (3817) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Wrzesień bez szkoły

DOKĄD ODCHODZĄ NAUCZYCIELE

W WYDANIU DODATKI

JESIENNY PRZEWODNIK PO KRAKOWIE

NAGRODA POLIN 2022

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
36

REKLAMA

Krytycznym okiem

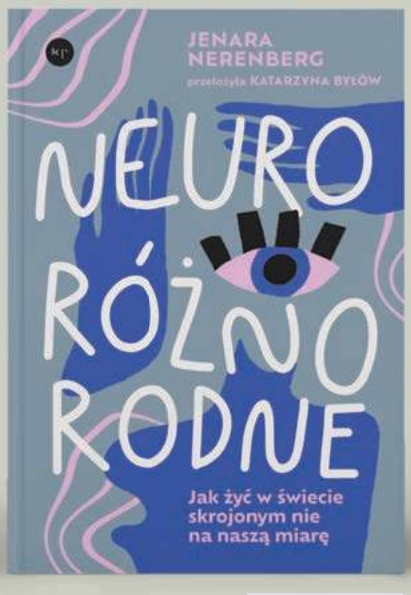

ZAPOWIEDŹ

WWW.WYDAWNICTWO.KRYTYKAPOLITYCZNA.PL

REKLAMA

Jazz Around Festival

16-17.09.2022 Moszna Zamek

POLUZJANCI

JULES BUCKLEY CONDUCTS QUINCY JONES + AUKSO ORKIESTRA KAMERALNA MIASTA TYCHY

JORDAN RAKEI • THEO KATZMAN • SCARY POCKETS

DJ AMIR PRESENTS JAZZANOVA (LIVE) STRATA RECORDS REMASTERED

DIRTY LOOPS • MAREK NAPIÓRKOWSKI „HIPOKAMP"

ADAM BAŁDYCH & ŁUKASZ OJDANA • CODY FRY • KINGA GŁYK

DAVID RYAN HARRIS • EABS • KUBA WIĘCEK TRIO • ANOMALIE

BARTEK KRÓLIK • SECRET NIGHT GANG • MARTA WAJDZIK QUARTET

CHERISE • BIBOBIT • ACID GROOVE • ZK COLLABORATION

BILETY DOSTĘPNE NA WWW.JAZZAROUND.PL

ORGANIZATOR

PARTNERZY

PATRONI MEDIALNI

TYGODNIK POWSZECHNY

bella ciało!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / RYS. JOANNA RUSINEK

WYDANIE SPECJALNE JUŻ W SPRZEDAŻY

SZUKAJ W PUNKTACH Z DOBRĄ PRASĄ
LUB W E-WYDANIU NA POWSZECH.NET/CIAŁO

22 Pierwszy wrzesień bez szkoły
EWELINA BURDA
Zmęczeni systemem, który nie zauważa ani uczniów, ani ich. Zmuszeni niskimi pensjami i rosnącymi kosztami życia, rezygnują z pracy. Dokąd odchodzą nauczyciele?

41 Wyświęcona na księdza
TOMASZ MAĆKOWIAK, DZIENNIKARZ:
Jeśli chcemy walczyć z klerykalizmem, wzorców powinniśmy szukać w czeskim Kościele podziemnym czasów komunistycznych.

60 Podziemna Odessa
MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI
Kiedyś służyły przemytnikom i partyzantom, dziś znów upomina się o nie historia. Bo odeskie katakumby to nieustanny splot historii naturalnej i dziejów tego miasta.

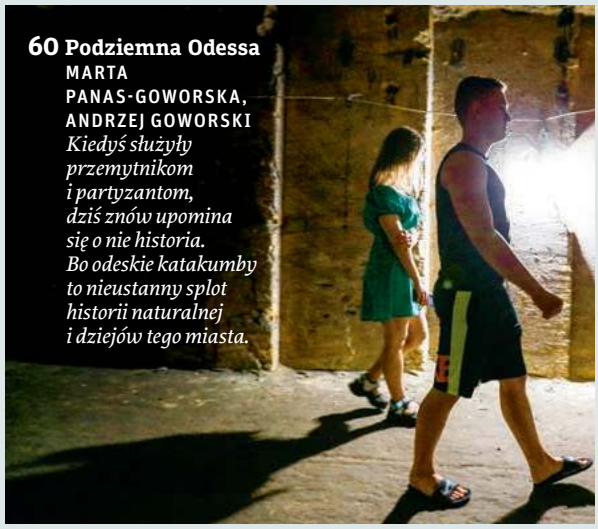

72 Na przystanku z betonu
SERHIJ ŻADAN, UKRAIŃSKI PISARZ I POETA:
Pisanie w warunkach wojny jest jak próba wydostania się z rwącego potoku. Unosi cię nurt, krzyczysz, ale nikt nie słyszy. Drzesz się sam do siebie.

86 Kąpiel w miejscu rozkosznym
MAGDALENA ŁANUSZKA
Choć o urlopach nie było wtedy mowy, przez średniowieczną sztukę przewija się istnie wakacyjny motyw: pływanie. I to na golasa.

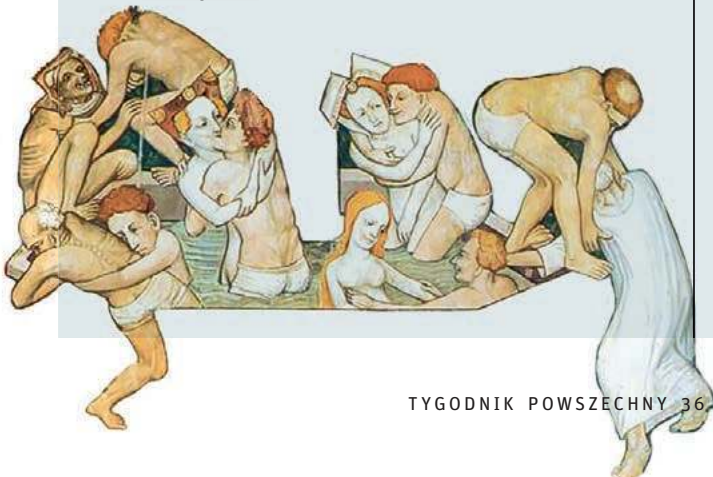

76 Średnio uczciwy polemista
JAKUB MAJMUREK
Żaden z intelektualistów wypowiadających się niemądrze w sprawie rosyjskiej inwazji na Ukrainę nie ma takiej pozycji w nauce jak Noam Chomsky. I żaden od dawna nie budzi tylu emocji.

JOANNA RUSINEK DLA „TP" // MATERIAŁY PRASOWE // JACEK TARAN // FRÉDÉRIC SOLTAN / GETTY IMAGES // DOMENA PUBLICZNA // NURPHOTO / GETTY IMAGES

6 Papież nie z tego świata
EDWARD AUGUSTYN

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

32 Tygodnik Czytelników

KRAJ

22 Pierwszy wrzesień bez szkoły
EWELINA BURDA

26 Państwo w kanale
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Polskie instytucje wciąż nie potrafią ustalić przyczyn katastrofy na Odrze

29 To będzie ciężka zima
PIOTR WÓJCIK
Uniezależnienie się od rosyjskich surowców będzie bardzo trudne

WIARA

34 Nieświęta wojna patriarchy
ANNA ŁABUSZEWSKA
Ukraińscy prawosławni zależni od Moskwy próbują się od niej uwolnić – ale bez schizmy

38 Wbite do głowy
JAN RYBICKI
o polskich Tatarach i ich relacjach z innymi polskimi muzułmanami

41 Wyświęcona na księdza
ROZMOWA Z TOMASZEM MAĆKOWIAKIEM

ŚWIAT

44 Rosyjskie gry z atomem
TADEUSZ IWAŃSKI
Prawdopodobieństwo drugiego Czarnobyla jest niewielkie

TEMAT TYGODNIKA

STANISŁAW BIELSKI / REPORTER

12 Historia i przyszłość
JAN WRÓBEL
HiT to strzał w dziesiątkę. Szkoda jednak, że politycy zamiast w dziesiątkę strzelili sobie w kolano.

16 A po co my się tego uczymy?
AGNIESZKA JANKOWIAK-MAIK, AUTORKA BLOGA „BABKA OD HISTY”:
Szkoła wymaga znajomości tylu dat i postaci, że uczeń-niepasjonat nie jest w stanie tego przyswoić. W efekcie wychodzi z lekcji z niczym.

DODATKI

Jesienny przewodnik po Krakowie
Nagroda Polin 2022
8. Festiwal Fotografii „W ramach Sopotu”

FELIETONY

33 DOROTA MASŁOWSKA **43** ZUZANNA RADZIK
69 TOMASZ STAWISZYŃSKI
84 JAN KLATA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: JOANNA RUSINEK DLA „TP”

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

48 Cienka przerywana linia
TOMASZ AUGUSTYNIAK
Na Morzu Południowochińskim trwa cisza przed burzą

51 Aby przeżyć
JOANNA GOCŁOWSKA-BOLEK
Po socjalizmie Wenezuelczycy muszą walczyć o przetrwanie – ale nie wszyscy

HISTORIA

60 Podziemna Odessa
MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

NAUKA

64 Kryzys ucieleśnienia
MATEUSZ HOHOL, KINGA WOŁOSZYN-HOHOL
Psycholodzy mają kłopot: ostatnie badania wstrząsnęły. przekonaniem, że ważną rolę w myśleniu odgrywa ciało

KULTURA

72 Na przystanku z betonu
ROZMOWA Z SERHIJEM ŻADANEM

76 Średnio uczciwy polemista
JAKUB MAJMUREK

80 Czereśnie, Ziemniaki i Piosenki
ROZMOWA Z ANDRZEJEM ZAGAJEWSKIM, MUZYKIEM:
Dzieci czują, kiedy gra sprawia ci przyjemność. Jeśli nie sprawia, to lepiej nie wychodź na scenę

82 Polacy, nic się nie stało
ANITA PIOTROWSKA
Film Agi Woszczyńskiej „Cicha ziemia” zdaje się mówić o cenie przynależności do pierwszego świata

WAKACJE

86 Kąpiel w miejscu rozkosznym
MAGDALENA ŁANUSZKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Rosyjska ruletka
W tym roku Kreml nie zauważył, że Ukraina obchodzi Dzień Niepodległości – **ANNA ŁABUSZEWSKA** sprawdza, co serwuje rosyjska telewizja | **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

Strona świata [Podkast Powszechny]
Odszedł fotoreporter Tim Page. Jego dzieje złożyły się na utrwalony w popkulturze wizerunek korespondenta wojennego – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

PAPIEŻ NIE Z TEGO ŚWIATA

Ewangelią można usprawiedliwić wiele – ale nie uleganie kremlowskiej propagandzie. W Watykanie słychać głosy, że rosyjska inwazja uwypukliła wiele cech Franciszka, które dotąd udawało się maskować.

EDWARD AUGUSTYN

Papież Franciszek otwiera Święte Drzwi w bazylice Collemaggio. L'Aquila, Włochy, 28 sierpnia 2022 r.

Słowa papieża włączające zabitą w zamachu Darię Duginę – rosyjską nacjonalistyczną ideolożkę – do grona niewinnych ofiar tej wojny (a więc stawiające ją w jednym szeregu np. z pomordowanymi w Buczy) wywołały oburzenie i kryzys dyplomatyczny: ukraińskie MSZ wezwało nuncjusza, by przekazać mu notę protestacyjną.

Krytycy przypominają wcześniejsze dwuznaczne działania papieża: wizytę w rosyjskiej ambasadzie, nienazywanie agresora po imieniu, zrównywanie losu żołnierzy ukraińskich z rosyjskimi, zabiegi o zaproszenie do Moskwy oraz o spotkanie z patriarchą Cyrylem, próbę pojednania „na pokaz" w czasie Drogi Krzyżowej, mówienie o „szczekającym NATO" czy „racjach obu stron konfliktu". Po ostatniej wypowiedzi rozczarowania nie kryją nawet osoby i środowiska dotąd sympatyzujące z Franciszkiem i próbujące go usprawiedliwiać.

Twardych obrońców jest coraz mniej. Tłumaczą, że Franciszek nie jest politykiem, tylko człowiekiem Ewangelii, a każda wojna to śmierć niewinnych. Dodają, że przestępca też może być ofiarą. Przypominają, że stanowisko

papieża z czasem stawało się bardziej klarowne, o czym świadczą wypowiedzi potępiające inwazję, wspominanie Mariupola, ucałowanie flagi z Buczy, pomoc humanitarna, wielokrotnie wyrażana solidarność z Ukraińcami. Przekonują, że Jezus też oburzał i gorszył. Oraz że Franciszek nie jest papieżem Putina ani Zełenskiego, lecz powszechnego Kościoła, a kieruje się nie logiką ludzką, lecz ewangeliczną.

Argument *ex evangelio* jest ryzykowny – wielu fanatyków wykorzystuje go, by ukryć swą niegodziwość czy ignorancję, uznając każdą krytykę za prześladowanie. Ale w przypadku papieża może uzasadniony: mówimy w końcu o „zastępcy Jezusa na ziemi" (nawet jeśli historia zna przykłady wyrodnych następców św. Piotra). Radykalni naśladowcy Jezusa, traktujący Ewangelię dosłownie, „boży szaleńcy" – jak św. Franciszek z Asyżu, którego imię kard. Bergoglio przyjął – też się w historii pojawiali, tyle że system uniemożliwiał im objęcie ważnych funkcji w Kościele. Charyzmatyczny, antysystemowy i niezależny papież był więc wielką nadzieją.

Ewangelicznym radykalizmem można usprawiedliwić wiele – opłakiwanie ofiar po obu stronach frontu, okazywanie miłosierdzia oprawcom, stawianie pokoju ponad walkę z okupantem (i za Tyberiusza, i za Putina). Ale czym uzasadnić uleganie kremlowskiej propagandzie? Łącząc w swoim wystąpieniu moskiewski zamach z toczącą się wojną, papież poszedł szlakiem wyznaczonym przez rosyjskie służby, które odpowiedzialnością za tę śmierć obciążyły Ukraińców. Tymczasem tego nie wiadomo – Dugina mogła być równie dobrze ofiarą wewnątrzrosyjskich porachunków czy prowokacji. Słowa Franciszka były co najmniej przedwczesne. Zarzut, że dostaje jednostronne informacje, jest najdelikatniejszy, jaki można w tej sytuacji skierować pod adresem Watykanu.

Czy papież „z końca świata" i spoza systemu okazał się tego systemu błędem? W Watykanie słychać coraz częściej głosy, że rosyjska inwazja uwypukliła wiele cech Franciszka, które wcześniej udawało się, lepiej lub gorzej, maskować: nieprzewidywalność, upór, nieumiejętność współpracy, despotyzm. Gdy zamykamy ten numer „Tygodnika", zaczyna się dwudniowe spotkanie wszystkich kardynałów. W poprzedzający je weekend papież powiększył ich grono o 20 nowych hierarchów i odwiedził L'Aquilę, gdzie modlił się przy grobie swego XIII-wiecznego poprzednika Celestyna V, który abdykował, by wrócić do mniszego życia. Nasiliły się plotki, że i Franciszek poda się przy tej okazji do dymisji. Jednak pogłoski takie zwykle mówią więcej o oczekiwaniach tych, którzy je rozsiewają, niż o rzeczywistych zamiarach papieża „nie z tego świata". ©℗

Wsparcie dla Ukrainy to bardzo długi marsz

PO PÓŁ ROKU INWAZJI wyraźnie zmniejsza się skala oddolnej pomocy, która wcześniej płynęła szerokim strumieniem na Ukrainę z Polski i świata.

Tak pusto na tym przejściu granicznym nie było jeszcze nigdy. W sierpniowym skwarze, na parę dni przed ukraińskim świętem niepodległości, na pasie „humanitarnym" z Polski na Ukrainę w Krościenku stoi tylko jedno auto. Wcześniej było tu inaczej: w lipcu-czerwcu na odprawę czekało zwykle po kilkanaście pojazdów organizacji pozarządowych z Polski i wielu krajów Europy. Jeszcze wcześniej, wiosną, pulsował tu życiem „majdańczyk": placyk, na którym polscy strażacy gotowali dla przybywających tłumnie uciekinierów kapuśniak, a wolontariuszki z różnych krajów rozdawały dzieciom pluszaki-przytulanki.

To się zmieniło. Spontanicznych uciekinierów prawie nie ma – ukraińskie wychodźstwo przybrało charakter przemyślany. Olja, która angażowała się w wolontariat aż do wypalenia, teraz chce dołączyć do rodziny w Anglii. Wielu z tych, którzy zostają, wysyła za granicę dzieci. – Kto wie, jak tu będzie... – Ołeh, podoficer medyczny z brygady artylerii, zdaje się zakłopotany, gdy opowiada, że nastoletniego syna wysłał do szkoły w śląskiej Nysie.

Posłanie dziecka w miejsce, gdzie będzie bezpieczne, może dać poczucie spokoju, wolną głowę. Ołeh czeka na rozkaz, by ze swoim dywizjonem iść na front. Zabierze medykamenty, które dostał od wolontariuszy z Niemiec i Polski, w tym kremy przeciwbólowe – ważna rzecz dla artylerzystów, których „chorobą zawodową" są bóle kręgosłupa i przepukliny.

Opinie, że oddolna pomoc wyraźnie dziś maleje i że coraz trudniej jest organizować wsparcie rzeczowe i finansowe, można usłyszeć w wielu miejscach. Podzielają ją – niezależnie od siebie – w rozmowach z „Tygodnikiem" np. lekarka, która cierpliwie koordynuje takie wysiłki w jednym z niemieckich miast, a także kilkoro weteranów (od 2014 r.) ukraińskiego wolontariatu. Podobnego zdania jest także wolontariusz, który od lutego prowadzi punkt koordynacyjny w jednym z miast wschodniej Polski. – Odprawiliśmy właśnie nasz dziewięćdziesiąty ósmy transport. Ale widzę, że entuzjazm, tak powszechny podczas pierwszych miesięcy inwazji, jest coraz mniejszy, coraz mniej darów dostajemy. Ludzie są zmęczeni, wyeksploatowani, niektórzy wypaleni – ocenia.

Kategoryczniej widzi to Liza, która w przeszłości dowodziła oddziałem medycznym w ukraińskiej brygadzie zmechanizowanej, a dziś organizuje wsparcie dla frontu. – Pomoc z zagranicy spadła prawie do zera – ocenia.

To jednak opinia przesadna, może wynikająca z rozgoryczenia. – Właśnie dotarło z Niemiec 10 karetek medycznych. Ludzie, którzy je przywieźli z Hesji, jechali do nas 1300 km – mówi wspomniany szef punktu koordynacyjnego nad granicą polsko-ukraińską.

Tymczasem idzie jesień, potrzeby będą większe. I na froncie, i wśród cywilów, którzy żyją w Charkowie czy Mikołajowie, gdzie często nie ma prądu, gazu i bieżącej wody. Wojna trwa – wsparcie dla Ukrainy okazuje się czymś na kształt naprawdę długiego marszu.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK z ziemi lwowskiej

Lekarze ze szpitala frontowego w Mikołajowie pracują przy użyciu sprzętu, który wolontariusze wieźli do nich 2415 km, z Akwizgranu przez Polskę. Czerwiec 2022 r.

ARCHIWUM WOJCIECHA PIĘCIAKA

RICCARDO DE LUCA / AP / EAST NEWS

Edukacja nadal w remoncie

JEŚLI KTOŚ LICZYŁ, że po wielkiej reformie oświaty polska szkoła pod rządami PiS choć na chwilę odetchnie od zmian, to się mylił. Ta największa dotyczy pedagogów: od 1 września z czterech stopni awansu zawodowego zostaną zlikwidowane dwa pierwsze – stażysta i kontraktowy. Nauczyciel rozpoczynający pracę w szkole będzie przygotowywał się do zawodu, by dopiero po czterech latach móc ubiegać się o stopień. Druga zmiana dotycząca pedagogów to tzw. godziny czarnkowe – raz na dwa tygodnie nauczyciel będzie przez 60 minut do dyspozycji dzieci i rodziców.

Zmiany nie ominą uczniów: pierwszoklasiści ze szkół ponadpodstawowych przećwiczą głośny przedmiot – historię i teraźniejszość (piszemy o nim na dalszych stronach), ci z klas czwartych podejdą do tzw. nowej matury (więcej czasu, więcej zadań). Z kolei uczniowie chcący zwolnić się z WF-u będą musieli przynieść zaświadczenie nie od lekarza pierwszego kontaktu, a od specjalisty.

Bez zmian pozostaną (nie licząc podwyżek dla początkujących) nauczycielskie pensje. I zapewne ich nastroje, które w tym roku mogą nawet doprowadzić do protestów lub strajków. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

SMA i niedobory empatii

OD PIERWSZEGO WRZEŚNIA Polska będzie mieć jeden z najlepszych na świecie programów leczenia SMA – rdzeniowego zaniku mięśni. To rzadka genetyczna choroba, która do niedawna prowadziła, w najcięższej postaci, do szybkiego zgonu dziecka, a w postaciach mniej agresywnych – do ciężkiej niepełnosprawności. Od 2019 r. chorzy są leczeni nowoczesnym (i drogim) lekiem – nusinersenem. Teraz refundacja obejmie kolejny lek oraz terapię genową.

To jedna z najdroższych metod leczenia, rynkowo warta ok. 2,1 mln dolarów. Wiele dzieci z Polski już ją podjęło – m.in. komercyjnie, dzięki zbiórkom – inne czekają na uzbieranie pełnej kwoty. Wszystko wskazuje, że będą musieli zbierać je nadal. Kryteria, jakie przyjęło Ministerstwo Zdrowia, są bowiem wykluczające. Bezpłatnie terapię genową będą mogły otrzymać dzieci do 6. miesiąca życia, zdiagnozowane podczas badań przesiewowych. Resort wykluczył też dzieci, które zaraz po diagnozie rozpoczęły leczenie nusinersenem.

Te kryteria są spójne, oparte na dowodach, że terapia genowa ma najwyższą skuteczność – i bezpieczeństwo – gdy jest podana wcześnie. Jednocześnie wielu ekspertów zwraca uwagę, że Polska pod względem refundacji terapii genowej przyjęła najbardziej rygorystyczny wariant. Lek w UE został zarejestrowany dla dzieci do wagi 21 kg, a producent podaje, że najlepsze efekty osiąga się, gdy pacjent nie przekroczy 2 lat (lub 13,5 kg).

Temat terapii genowej będzie jeszcze długo rozpalał emocje, również polityczne, a publicznie będą padać oskarżenia o niesprawiedliwe potraktowanie części chorych dzieci. Zabrakło empatii, która nakazywałaby znalezienie rozwiązania pomostowego, uwzględniającego choć część już zdiagnozowanych dzieci. © MAŁGORZATA SOLECKA

KRAJ W SKRÓCIE

HAMULEC

W najnowszych sondażach spada poparcie PiS (ok. 31 proc.) i PO (ok. 26 proc.), natomiast rośnie Polski 2050 (ok. 12 proc.) i Lewicy (ok. 10 proc.). Z badania IBRiS opublikowanego przez „Rzeczpospolitą" wynika, że PSL oscyluje w granicach progu wyborczego, a Konfederacja nie wchodzi do Sejmu.

SPRZĘGŁO

„Atak opozycji na ślubny prezent" – zapowiedziała TVP materiał o hucznym weselu wiceministra rolnictwa Norberta Kaczmarczyka. Na imprezie bawiło się ponad 500 osób, a młoda para otrzymała w użytkowanie ciągnik wart 1,5 mln zł.

BARTŁOMIEJ KUDOWICZ / FORUM

GAZ

Poseł PO Grzegorz Schetyna (na zdj.) stracił na 3 miesiące prawo jazdy za nadmierną prędkość: w terenie zabudowanym pędził 123 km/h, o 16 km/h szybciej niż w listopadzie Donald Tusk.

KLAKSON

„Zobaczycie wtedy państwo, jaki będzie krzyk niebywały tych wszystkich hejterów, którzy sami nazywają się demokratami, a w gruncie rzeczy są totalsami, którzy nie uznają pojęcia wolność poglądów" – zapowiedział min. Czarnek w wywiadzie dla PAP pojawienie się w przyszłym roku podręczników do HiT poświęconych okresowi 1980-2015. Pytany, czy będzie kandydatem na prezydenta, odpowiedział „chyba Zimbabwe", choć przyznał, że „obiło mu się o uszy, że niektórzy tak mówią".

W piecach spalimy miliardy

KRZYSZTOF STORY

Po fiasku próby wprowadzenia gwarantowanej ceny węgla poniżej tysiąca złotych za tonę, rząd ma nowy pomysł, jak ulżyć obywatelom przed zimą – chce po prostu rozdać nam pieniądze. 3000 złotych dla każdego gospodarstwa ogrzewanego węglem już obowiązuje, teraz do Sejmu trafił nowy projekt: 3000 złotych dla tych, którzy palą peletem, 2000 – olejem, 1000 – drewnem i 500 – gazem LPG. W sumie przez zimę spalimy w piecach i kotłach równowartość 21,5 mld zł – to jedna piąta zakładanego budżetu dla budowy 6 reaktorów jądrowych.

Choć niekoniecznie spalimy, bo w sieci już można znaleźć filmy na temat: „jaki smartfon za dodatek?". Problem jest też z weryfikacją, komu 3000 zł się należy. Według ustawy dopłata przypada na jedno gospodarstwo domowe z kotłem węglowym zarejestrowanym jako główne źródło ciepła. Nic dziwnego, że w tych warunkach nastąpiło cudowne rozmnożenie takich gospodarstw, bo ustawa jest pełna luk. Wnioski mają weryfikować samorządy, które same nie wiedzą, jak interpretować przepisy, a Ministerstwo Klimatu i Środowiska dopiero pracuje nad „podręcznikiem dla gmin". „Zaskoczyło nas to, wierzyliśmy jednak w postawę obywatelską Polaków" – mówiła o skali przekrętów Aleksandra Świderska z MKiŚ. Teraz zaskoczony rząd zapowiada nowelizację świeżo uchwalonej ustawy.

Rząd ma jeszcze trzeci projekt. Jeśli przejdzie, gminy dostaną w tym roku dodatkowe dochody z PIT – ponad 13,5 mld zł. Teoretycznie na poprawę efektywności energetycznej, co jest dla Polski sprawą kluczową; w praktyce ustawa wymaga jedynie, by 15 proc. sumy poszło na obniżenie kosztów i zużycia energii. Bez konkretnych wytycznych i wymagań – pieniądze dalej można będzie po prostu wrzucić do pieca. ©℗

ABDUL MAJEED / AFP / EAST NEWS

MONSUNOWE DESZCZE, jakich tu jeszcze nie widziano, pustoszą Pakistan. Ich skutki odczuwa już jedna szósta ludności kraju – ponad 30 mln ludzi. Powodzie niszczą całe miejscowości; życie straciło co najmniej tysiąc osób. Minister ds. ochrony klimatu Sherry Rehman mówi o katastrofie o „epickim wymiarze" i ostrzega, że we wrześniu pod wodą może znaleźć się nawet jedna trzecia kraju. Wcześniej, wiosną, Pakistan doświadczył fali skrajnych upałów, potem od czerwca zaczęły się deszcze. Końca ekstremalnych opadów nie widać. Na zdjęciu: uciekinierzy szukają schronienia wzdłuż autostrady w dystrykcie Charsadda, 28 sierpnia 2022 r. ©℗ WP / FAZ

Donald Trump ustawia się w roli ofiary

MARTA ZDZIEBORSKA

Były prezydent USA dopiął swego. W piątek 26 sierpnia odtajniono wniosek o rewizję w jego posiadłości w Mar-a-Lago na Florydzie. Z zawierającego wrażliwe dane raportu (wiele fragmentów zaczerniono) wynika, że Trump trzymał w domu dokumenty niejawne, w tym oparte na relacjach informatorów służb specjalnych. Jego rezydencję przeszukano, bo podejrzewano, że mimo wielu upomnień nie zwrócił wszystkich akt zabranych z Białego Domu.

Po publikacji wniosku FBI Trump znów grzmiał o „polowaniu na czarownice" i chwalił się, że w odtajnionej wersji nie ma słowa o dokumentach dotyczących broni jądrowej (gdy według doniesień prasy to właśnie ich śledczy mogli szukać w Mar-a-Lago). Jednak prawda jest taka, że wokół Trumpa zaciska się pętla: grożą mu nie tylko zarzuty o nielegalne posiadanie tajnych dokumentów, ale też o utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Aby opóźnić zapoznanie się śledczych z materiałem dowodowym, Trump pozwał rząd USA, domagając się przejrzenia dokumentów przez wyznaczonego do tego urzędnika. Wstrzymać działania Departamentu Sprawiedliwości już w maju próbował prawnik Trumpa. Przekonywał prokuratorów, że śledztwo w sprawie przywłaszczonych akt jest bezprawne, a Trump „uprawniony jest do ich odtajniania".

Tuż po rewizji FBI były prezydent bombardował zwolenników mailami, prosząc o wpłaty na swoją kampanię i użalając się, że „włamano mu się do domu". To poskutkowało: zaczął dostawać nawet milion dolarów wpłat dziennie. Jeden ze wspierających go komitetów akcji politycznej Save America zebrał już niemal 100 mln dolarów, co mnoży spekulacje, czy i kiedy Trump ogłosi start w wyścigu o reelekcję. Nie brak głosów, że w związku ze swoimi problemami prawnymi zrobi to jeszcze przed listopadowymi wyborami do Kongresu.

Tymczasem ostatnie tygodnie pokazały, że Trump ma wciąż silną pozycję w Partii Republikańskiej. Wspierani przez niego kandydaci zwyciężają w prawyborach do Kongresu, a oponenci – jak kongresmenka z Wyoming Liz Cheney, znana z oskarżania Trumpa o zamach na demokrację – przegrywają z rywalami mniej doświadczonymi, ale sympatyzującymi z Trumpem. Najwyraźniej jego retoryka działa na republikański elektorat. ©

Autorka jest dziennikarką „Press".

Japonia przeprasza się z energią atomową

MEDIA W TOKIO donoszą o „dramatycznej zmianie kursu": oto 11 lat po katastrofie w Fukushimie japoński rząd zapowiada uruchamianie wygaszonych reaktorów i rozbudowę energetyki jądrowej. Powodem jest wzrost cen i niepewność dostaw surowców energetycznych wskutek wojny w Ukrainie, jak też zobowiązania Japonii do osiągnięcia emisyjnej neutralności w 2050 r.

Przed Fukushimą atom dostarczał jedną trzecią japońskiej energii, dziś to zaledwie 5 proc.; pracuje tylko 10 z 33 reaktorów. Tymczasem do przyszłego lata rząd chce uruchomić kolejnych siedem, a eksploatacja pozostałych zależy od spełnienia norm bezpieczeństwa, mocno dziś wyśrubowanych. Plan zakłada też wydłużenie dopuszczalnego użycia reaktorów z 40 do 60 lat.

Po traumie roku 2011 władze Japonii nigdy nie wypracowały długofalowej strategii energetycznej. Odpalono stare elektrownie węglowe, zwiększając tym emisję CO_2, z kolei możliwość wykorzystania energii ze źródeł odnawialnych pozostaje wciąż ograniczona, głównie ze względu na koszty. Wobec atomu przyjęto postawę wyczekującą, licząc na stopniową zmianę nastrojów społecznych. Tak się stało, ale dopiero pod wpływem ostatnich zawirowań na rynkach energii: obecnie, pierwszy raz od 2011 r., większość Japończyków opowiada się za utrzymaniem energetyki jądrowej. Swoje zrobiła też zapewne groźba przerwania dostaw prądu w czasie wysokich letnich temperatur.

Nie znaczy to, że brama do renesansu japońskiego atomu została szeroko otwarta. „Czy rząd zapomniał o lekcjach katastrofy w Fukushimie?" – pytają zgodnie dwa wielkie dzienniki „Mainichi" i „Asahi". Wskazuje się na częste trzęsienia ziemi, skażone tereny z Fukushimy, rosnące koszty uprzątnięcia zniszczonej elektrowni, wreszcie na zaniechania, które doprowadziły tam do tragedii.

Zapowiedź nowej polityki energetycznej pada wkrótce po dobrym wyniku rządzących w wyborach do izby wyższej parlamentu. Jednak ostateczny głos o uruchamianiu elektrowni należy do władz lokalnych, z których część pozostaje sceptyczna wobec atomu. Chodzi głównie o miejsca, gdzie reaktory nadzoruje ta sama firma co w Fukushimie.

© PIOTR BERNARDYN z Tokio

Dlaczego przestajemy być religijni

OCZYWISTYM FAKTEM jest już to, że sekularyzacja w Polsce przyspiesza. Warto jednak zrozumieć jej przyczyny. Ważnym ku temu przyczynkiem są badania CBOS, których wyniki ukazały się pod koniec sierpnia. Socjologowie pytali o motywy, dla których Polacy zaprzestają praktyk religijnych. Wyniki ankiety dają głębszy wgląd w mentalność osób odchodzących od religii, gdyż badani sami formułowali odpowiedzi – badacze następnie umieszczali uzyskane dane w określonych przez siebie kategoriach.

Rezultaty wzbudziły sporo komentarzy, gdyż – ku zaskoczeniu wielu komentatorów – najliczniejsza pojedyncza kategoria odpowiedzi dotyczyła nie stanu Kościoła, lecz w ogóle zaniku potrzeb religijnych (taki motyw wskazało 17 proc. badanych).

Na tej podstawie wielu publicystów formułowało tezę, że właśnie zanik potrzeb religijnych jest główną przyczyną odchodzenia od praktyk religijnych. Interpretacja taka jest jednak prawdziwa tylko w odniesieniu do młodszego pokolenia. Wśród osób starszych i w średnim wieku nadal dominują motywy związane z krytycznym spojrzeniem na Kościół i księży (na tego typu problemy wskazywało nieco więcej niż połowa badanych – socjologowie umieścili ich odpowiedzi w kilku bardziej szczegółowych kategoriach).

Kwestie braku potrzeb religijnych oraz utraty wiary – w gruncie rzeczy bardziej podstawowe niż niezadowolenie ze stanu Kościoła – dominują jednak wśród ludzi przed czterdziestką. Ponieważ zaś wśród młodszych sekularyzacja postępuje szybciej niż u starszych, za kilkanaście lat ta bardziej fundamentalna postać sekularyzacji – odejście od religii jako takiej – może zdominować polskie społeczeństwo.

W tym kontekście konieczny jest głębszy namysł nie tylko nad tym, z jakich powodów ludzie odchodzą z Kościoła, ale dlaczego w ogóle przestają być religijni – i co w ich życiu zajmuje miejsce wiary.

©℗ PIOTR SIKORA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

CHLEB

„Nie zabraknie nam chleba, gdy zrozumiemy, że żywności nie wolno marnować" – powiedział biskup włocławski Krzysztof Wętkowski podczas wojewódzko-diecezjalnych dożynek w Kruszynie na lotnisku włocławskiego aeroklubu.

FILIA

We Wrocławiu powstanie filia lwowskiego Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego. 18 sierpnia podpisano akt notarialny powołujący fundację, która zajmie się utworzeniem uczelni. Szacuje się, że w stolicy Dolnego Śląska przebywa 300 tys. Ukraińców.

MYKOLA LAZARENKO / PRESIDENT.GOV.UA

LIST

Metropolita kijowski Epifaniusz (na zdjęciu) w liście do metropolity Warszawy Sawy proponuje ustanowienie normalnych kontaktów między Kościołami. Polski Kościół Prawosławny obok Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego nie uznaje ustanowionego przez Konstantynopol w 2018 r. niezależnego od Moskwy Prawosławnego Kościoła Ukrainy – nie pozwala ukraińskim kapłanom sprawować w polskich cerkwiach liturgii, a wiernym nie udziela komunii.

KAPLICA

Abp Stanisław Gądecki ustanowił nową parafię z tymczasową kaplicą w bloku mieszkalnym. Do czasu powstania właściwej świątyni parafianie już od 4 września korzystać będą z kaplicy przy ul. Czesława Niemena na poznańskiej Łacinie, urządzonej w lokalu użytkowym jednego z budynków.

Portret polskiego katolika

ARTUR SPORNIAK

ZESPÓŁ SOCJOLOGÓW NA ZLECENIE EPISKOPATU I NA PODSTAWIE syntez diecezjalnych opracował ogólnopolską syntezę synodalną. Dotychczas w konsultacjach synodalnych uczestniczyło ponad 100 tys. osób. To stanowi niecały procent Polaków, którzy przynajmniej raz w tygodniu uczestniczą w mszy. Jeśli założymy, że ich głos jest miarodajny (choć sposób funkcjonowania synodalnych grup mógł zniechęcać do udziału w rozmowach najbardziej postępowych katolików) i że twórcy syntez diecezjalnych i ogólnopolskiej wychwycili najważniejsze trendy, otrzymaliśmy diagnozę polskiego Kościoła, a jednocześnie portret polskiego katolika.

Polski katolik boi się daleko idących zmian – doktrynalnych i strukturalnych. Straszakiem jest tu niemiecka droga synodalna (przypomnijmy, że chce ona np. zmian w teologii moralnej, ale nie dokonywanych arbitralnie, tylko na podstawie wypracowania nowej antropologii dostosowanej do współczesnej wiedzy). Polski katolik ma minimalne wymagania – chce, by Kościół jedynie poprawił się w swoim dotychczasowym funkcjonowaniu, tzn. by np. księża na ambonach nie politykowali, a biskupi poświęcali czas na rozmowę z ludźmi. Pełna władza i co za tym idzie – odpowiedzialność ma pozostać w rękach kleru. Myślenie polskiego katolika nie idzie jednak tak daleko, by zastanawiać się, jak tę odpowiedzialność egzekwować. Głos kobiet jest rzeczywiście słabo słyszalny, ale wystarczy, że ich będzie więcej w radach parafialnych, a te będą funkcjonować.

Wygląda na to, że dotychczasowemu procesowi synodalnemu wciąż nie udało się jednak obudzić „olbrzyma", jakim jest polski laikat. ©℗

Pierwszy biskup pustelnik

AŻ CZTERY LATA bp Jacob Muricken czekał na zgodę Watykanu, aby spełnić swoje marzenie i zostać pustelnikiem. Gdy zgoda nadeszła, Synod Biskupów Kościoła syro-malabarskiego zwolnił 59-letniego duchownego z urzędu, który jednak zachowa tytuł biskupa. Także dotychczas bp Muricken prowadził prosty tryb życia – korzystał z publicznych środków transportu, jest wegetarianinem. Do 2012 r. – zanim został biskupem pomocniczym syro-malabarskiej diecezji Palai w indyjskiej prowincji Kerala – chodził boso. W 2016 r. zasłynął z oddania nerki 30-letniemu Hindusowi – jedynemu żywicielowi rodziny, który musiał sprzedać dom, by opłacić dializy.

„Życie w samotności nie oznacza, że nienawidzę świata – tłumaczył swoją decyzję indyjski hierarcha. – Ludzie dziś wykorzystują świat jako narzędzie do osiągania własnego luksusu. Mój wybór życia pustelniczego to próba życia zgodnie z wolą Stwórcy. Kiedy żyłem w domu biskupim, byłem zajęty wieloma sprawami. Teraz skupię się na Chrystusie". Muricken będzie pierwszym biskupem-pustelnikiem w Indiach. ©℗ ASK

KULTURA W SKRÓCIE

GDYŃSKIE SZEŚCIANY

Wręczono Nagrodę Literacką Gdynia. W kategorii Poezja odebrała ją Justyna Kulikowska za tom „gift. Z Podlasia", w kategorii Esej – Agnieszka Gajewska za biografię Stanisława Lema „Wypędzony z Wysokiego Zamku". Krzysztof Bartnicki odebrał nagrodę za powieść „Myśliwice, Myśliwice", a w kategorii Przekład – nazwanej w tym roku „grupą śmierci" z powodu wyjątkowo mocnych kandydatur – nagrodę przyznano Maciejowi Świerkockiemu, autorowi tłumaczenia „Ulissesa" Jamesa Joyce'a.

KRAKOWSKA OKRĄGŁOŚĆ

Koncertem „Polskie kompozytorki XX wieku" 2 września rozpocznie się okrągła, dwudziesta edycja festiwalu muzyki współczesnej Sacrum Profanum. W programie m.in. rumuński spektralizm, islandzka poezja i litewski minimalizm. Festiwal odbywa się pod hasłem „Gatunki zagrożone wyginięciem".

WARSZAWSKIE SKRZYŻOWANIE

9 września festiwal Skrzyżowanie Kultur zainauguruje koncert Marii Mazzotty, jednej z wiodących głosów Canzoniere Grecanico Salentino, ekstatycznego folku z południa Włoch. Grecję reprezentował będzie kwartet Steliosa Petrakisa, który nie tylko gra na lirze kreteńskiej, ale także je buduje. Z Białorusi przyjechał akordeonista Yegor Zabelov, uciekinier z Mińska, a polską muzykę zaprezentuje Kapela Maliszów z Męciny Małej w Beskidzie Niskim.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

DARKO VOJINOVIC / AP / EAST NEWS

SUSZA W SERBII sprawiła, że poziom wód Dunaju opadł tak bardzo, iż odsłoniły się wraki kilkudziesięciu okrętów z czasu II wojny światowej. Zostały one zatopione w 1944 r., gdy niemiecka Flota Czarnomorska usiłowała wycofać się w górę Dunaju przed Armią Czerwoną. Są obawy, że we wrakach może znajdować się amunicja. Utrudnia to dodatkowo i tak niełatwą już żeglugę pod tej rzece, ważnej arterii komunikacyjnej w regionie (wiosną br. rząd Serbii ogłosił przetarg na usunięcie wraków). Także na Węgrzech Dunaj odsłonił wojenne wraki. Na zdjęciu: kajakarz przepływa obok szczątków niemieckiego okrętu w pobliżu serbskiej miejscowości Prahovo, 26 sierpnia 2022 r. ©℗ WP / RND

Rząd USA: nauka ma być otwarta

PODATNIK PŁACI, podatnik ma dostać za darmo. Przynajmniej jeśli idzie o badania naukowe. Amerykański rząd nakazał swoim agencjom, by od 2026 r. rezultaty fundowanych przez nie badań były natychmiast dostępne gratis. Dziś często ukrywane są za paywallem przynajmniej przez rok od publikacji.

Pobranie jednego artykułu może kosztować setki złotych. Roczny abonament – dziesiątki tysięcy dolarów. W 2018 r. największy wydawca naukowych periodyków, holenderski Elsevier, miał 3,2 mld dol. wpływów i 19 proc. zysku netto. Większość światowych badań trafia do czasopism należących do zaledwie pięciu firm.

Wydawcy twierdzą, że odgrywają kluczową rolę w procesie naukowym, bo gwarantują jakość publikacji. Na drugim biegunie leżą tzw. czasopisma drapieżne, które opublikują każdą bzdurę, jeśli tylko się im za to zapłaci.

Od lat w siłę rośnie jednak ruch „otwartej nauki", w ramach którego publikacje naukowe lub ich wczesne wersje udostępniane są za darmo. Wyrósł też swoisty ruch oporu, na czele ze Sci-hubem: stroną z pirackimi wersjami ponad 88 mln prac. Jest nielegalna, ale i tak korzysta z niej ponad 500 tys. ludzi dziennie. Głównie naukowców. Decyzja rządu USA może sprawić, że wkrótce stanie się przynajmniej częściowo niepotrzebna. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Opryszczka i pocałunki

DWIE TRZECIE POPULACJI może być dzisiaj nosicielami wirusa HSV-1, wywołującego opryszczkę na twarzy i ustach. Występuje on w kilku odmianach: europejskiej, eurazjatyckiej i afrykańskiej, które, jak zakładano, zróżnicowały się w czasie migracji *Homo sapiens* z Afryki ok. 50-70 tys. lat temu. Z badań DNA wirusa znalezionego w zębach dawno zmarłych Europejczyków wyłania się jednak inny scenariusz.

Do zróżnicowania się HSV-1 miało dojść zaledwie 5 tys. lat temu – w epoce brązu. Był to okres intensywnych migracji ludzi, które prawdopodobnie pomogły wyłonić się najbardziej skutecznym wariantom. Autorzy badania spekulują, że sukces reprodukcyjny zapewnił wirusowi m.in. nowy zwyczaj kulturowy, rzekomo wywodzący się z Indii sprzed ok. 3,5 tys. lat i zawleczony do Europy przez wojska Aleksandra Wielkiego – całowanie się w usta. Autorzy opierają swoją hipotezę jednak wyłącznie na najstarszych wzmiankach o pocałunkach w starożytnych pismach, zapominając, że to samo zachowanie obserwuje się choćby u szympansów. Byłoby więc dziwne, gdyby ludzie wynaleźli pocałunki później niż koło czy liczby. ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

STANISŁAW BIELSKI / REPORTER

HISTORIA I PRZYSZŁOŚĆ

HiT to strzał w dziesiątkę – bo wiązanie przeszłości z dzisiejszymi emocjami to pomysł na to, jak lepiej uczyć historii. Szkoda, że politycy zamiast w dziesiątkę strzelili sobie w kolano.

JAN WRÓBEL

Plenerowa lekcja historii w Zespole Szkół Zawodowych nr 1 w Elblągu. 15 września 2021 r.

Gdyby szympansy zaczęły mówić, bardziej naturalnym tematem do rozmowy byłoby dla nich to, który przywalił któremu jakim kokosem, a mniej – skład chemiczny mleczka kokosowego. Gdyby minister edukacji i nauki wprowadził chemię i teraźniejszość, a nie historię i teraźniejszość, nie zdołałby wzbudzić narodowej dyskusji, chociażby ChiT okazała się okropnym gniotem. Chemia może być fundamentalnym szkolnym przedmiotem, bo kształtuje logiczne myślenie, wyciąganie wniosków, wyobraźnię przestrzenną, łączenie wiedzy teoretycznej i praktycznej, przydaje się dla rozumienia współczesnego świata i na dodatek więcej osób wybiera ją jako przedmiot rozszerzony na maturze niż historię. A jednak co historia, to historia.

Wspólnota nie jest zła

Przeszłość, a precyzyjnie mówiąc sposób jej przeżywania, stanowi część tożsamości człowieka – tak indywidualnej, jak społecznej. Kiedy ktoś odkrywa, że jest gejem, prawie zawsze sięga do jakiejś historii gejów, a jak straci głowę dla fado, to niemal na pewno wniknie w elementy dziejów tego gatunku muzycznego. Prawdopodobnie jego wiedza będzie cząstkowa lub chaotyczna, być może oparta tylko na relacjach innych osób, ale dolary przeciwko orzechom, że każdy podejmie trud zakorzenienia się w dorobku, który uzna za swój. A jak uczą liczne przykłady, będzie też szukał w przeszłości antywzorów, budowli do demontażu. Znana myśl C. K. Norwida: „Przeszłość to jest dziś, tylko cokolwiek dalej" błyszczy w pełnym blasku właśnie wtedy, kiedy zaczynam się rozglądać i szukać odpowiedzi na pytanie, kim jestem i dla kogo jestem. Prawdziwe, nawet jeżeli lekko patetyczne.

Przed laty miałem okazję i przyjemność rozmawiać o tym zagadnieniu z Rogerem Scrutonem, cenionym nad Wisłą angielskim filozofem. Narzekałem (Polak!), że współczesny świat to ucieczka od fundamentów i lekceważenie dla dorobku pokoleń. Scruton, konserwatysta (a więc jakby Polak – w tym sensie, że konserwatyści niemal odruchowo narzekają), usadził mnie przykładem miłości kibiców do klubu, która naturalnie i nawet bez udziału szkoły owocuje zbiorową pamięcią o klubowej przeszłości.

Wbrew narracji części elit współczesnej Polski, historia narodu jest cennym zasobem. Cofnijmy się trochę w czasie, bo dzisiejsze działania drużyny Jarosława Kaczyńskiego wyrastają z emocji przeżywanych w latach 90. Popularna wówczas intelektualna postawa nakazywała nieufność wobec wspólnoty narodowej, a zatem i do jej przeszłości. Do dobrego tonu należało nawoływanie, by „nie lukrować polskiej historii" i by „uciec od wiecznej martyrologii". Inteligent wykraczający poza zbiór dopuszczalnych tez i refleksji był odstrzeliwany bądź przemilczany; jeżeli uznawał polskość za powód do dumy, to w najlepszym razie uznawany zostawał za niepoczytalnego (nawet Zbigniew Herbert „okazał się" chory). Polityce historycznej realizowanej przez elity związane ↦

↦ z ówczesną „Gazetą Wyborczą" towarzyszyło utyskiwanie, że Polacy bardziej interesują się rozpamiętywaniem przeszłości niż kształtowaniem przyszłości (co ciekawe, to przekonanie o postawie Polaków oparte było na zwykłych urojeniach). Takie to były czasy.

Dziś mamy czasy inne. Nie sposób nie dostrzec, że historia uznawana za chociażby częściowo wspólną dla wielu ludzi buduje więź, a bolączką współczesności jest gubienie więzi. I że Ukraina daje nam przykład, jak zwyciężać mamy, bo zaistniała tam narodowa wspólnota. Zarazem umocowana w historii refleksja wywołuje pytania o znaczenie wolności, o sens i granice pojęcia „My", o dziedzictwo i o to, co pozostawimy po sobie. Dobrze prowadzona historia szkolna daje narzędzia do odpowiedzi na pytanie: „Ile sobie, ile ojczyźnie" (aktualność tego dylematu wyczerpie się dopiero w dniu końca historii, czyli nigdy) oraz jak oceniać innych sprawiedliwie, ze zrozumieniem racji, których samemu się nie podziela.

Słuszna diagnoza, fatalna recepta

Tak, historia narodowa – jak każda! – łatwo może się osunąć w ramiona historii bezrefleksyjnej, a w ogóle historia jest bardzo podatna na zakłamanie. Za komuny wykrzywiano obraz dziejów tak, aby wykazać, że miały one swój kierunek – wyzwolenie chłopów i robotników oraz zbudowanie państwa socjalistycznego. Za wolności historia szkolna i pozaszkolna też wskazywała, że dzieje miały kierunek – wyzwolenie Polaków spod władzy obcej oraz zbudowanie społeczeństwa obywatelskiego. Oczywiście, że nauczanie nie powinno indoktrynować, a narodowa pamięć nie powinna być jednowymiarowa, płytka i głupia. Odpowiedzią na ten problem nie jest jednak deprecjonowanie dziejów zbiorowości. Odpowiedzią jest nauczanie, które nadaje ramy powikłanym emocjonalnie ludzkim sprawom.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

> W naszej kulturze dyskusji mało jest miejsca na rozumowanie, a dużo na nieszczepioną wściekliznę. A historia w szkole, jak żaden inny przedmiot, ma przestrzeń, aby kształtować ludzi zaradnych emocjonalnie i intelektualnie.

Po pierwsze, musi budzić zaciekawienie przeszłością i wyjaśniać, czemu tak wiele osób zachowywało się godnie – przynajmniej według sposobu rozumienia w danym momencie przeszłości – czerpiąc z idei narodowej. Po drugie, musi wskazywać, dlaczego liczne aspekty polskości budziły i budzą również krytykę u osób, którym także nie sposób odmówić zaangażowanej szlachetności (spójrzmy na Fryderyka Skarbka w XIX wieku, Józefa Piłsudskiego w XX czy Janinę Ochojską w wieku XXI). Po trzecie, musi uczyć sposobu zdobywania i porządkowania informacji, tak aby były uczeń, będąc już dorosłą osobą, umiał żeglować po raz spokojnych, a raz wzburzonych morzach historycznych wzmożeń.

Nie jest to łatwe, jak przekonuje przykład Olgi Tokarczuk, której wiedzy i wrażliwości tylko pozazdrościć, a przecież fałszywym tropem podążyły jej rozważania o kolonializmie polskim. Nie dlatego, że miałyby być „antypolskie", tylko dlatego, że są ahistoryczne. Jednak aby absolwent polskiej szkoły chciał i był w stanie zrozumieć wywód Tokarczuk i odnieść się do niego na „tak", na „nie" albo „jeszcze pomyślę", szkoła musi się nieźle postarać. W kulturze dyskusji czasów, w których przyszło nam żyć, mało jest miejsca na rozumowanie, bardzo dużo na nieszczepioną wściekliznę. Nie za bardzo wiemy, co z tym fatum zrobić. Akurat historia w szkole, jak żaden inny przedmiot, ma przestrzeń, aby starać się kształtować *homo sapiens* zaradnego emocjonalnie i intelektualnie.

Przedmiot szkolny historia i teraźniejszość jest zatem strzałem w dziesiątkę. Szkoda tylko, że MEiN zamiast w dziesiątkę, strzeliło sobie w kolano. Dziesiątka, bo pomysł, by ucząc faktograficznej historii w szkołach średnich, wiązać ją z emocjami i sporami współczesnymi, jest trafną korektą tradycyjnego kursu nauczania (przeładowanego, pamięciowego, mało poruszającego). Na kolanie, bo w praktyce szkolnej edukacji HiT może przynieść coś dobrego tylko gdy nauczyciel... ucieknie od HiT-u. Ucieknie od topornego zaangażowania politycznego, od nachalnego dydaktyzmu, od przeładowania trudnymi treściami, od czytelnej sugestii, by klasa nauczyła się słusznej interpretacji i nie zawracała głowy.

Bo tak w ogóle jest często z rządzącą prawicą w Polsce. Wychodząc od słusznych diagnoz, wypisuje fatalną receptę. Diagnoza: ogół Polaków kiepsko zna historię, najnowszą właściwie wcale, a przedmiot szkolny kojarzy z wkuwaniem dat, nazwisk i nic niemówiących ustaleń (*evergreen* polskiej szkoły – wojny XVII-wiecznej Rzeczypospolitej). Recepta: dużo faktografii, lecz tej dobrej, propolskiej, podanej do nauczenia się na pamięć w upolitycznionym prorządowym podręczniku napisanym przez sprawdzonego polityka obozu rządowego.

Słychać wycie? Znakomicie!

O zawartości książki prof. Roszkowskiego napiszę mało – jej krytyka jest prosta. Tak prosta, że umyka największa wada tej produkcji. Obszerne partie podręcznika są niestrawne dla, lekko licząc, lwiej większości domniemanych czytelników mających 15-16 lat (większość materiałów HiT ma zostać zrealizowana w I klasie liceum/technikum), wychowanych w kulturze TikToka, brnących z trudem już nie tylko przez tradycyjne lektury szkolne, ale też przez filmy. Wśród młodych Europejczyków – czyli nie tylko Polaków – spada nawet zainteresowanie transmisjami piłki nożnej, bo za wiele jest w nich dłużyzn. Na takie głowy spada cegła za cegłą, czyli rozdziały napisane językiem publicystyki dla 50-latków, i to na tyle oczytanych, aby bez trudu łapali subtelne aluzje o „polskojęzycznych mediach". Wbrew temu, co pewno wydaje się skądinąd zasłużonemu dla Polski pro-

fesorowi, produkt jest niestrawny, by nie powiedzieć, dziaderski.

I nie jest to li tylko kwestia nietrafnego wyboru autora. Dziaderski jest cały plan, aby za pomocą słusznie podanej historii szkolnej słusznie ukształtować młodzież. Sztandarowy podręcznik flagowego przedmiotu dobrej zmiany jest przejawem niechlujstwa w wykonaniu projektu, zdawałoby się, ważnego dla obozu rządowego.

Uderzającym niechlujstwem była już tzw. podstawa programowa do nowego przedmiotu. Przyda się teraz krótkie, branżowe wyjaśnienie: nauczyciel nie jest zobowiązany do korzystania z podręcznika, natomiast obowiązującym go dokumentem jest właśnie podstawa. Od lat są one pisane coraz lepiej (wbrew pokutującej opinii, dydaktyka w Polsce nie stoi w miejscu), ale ta uwaga nie dotyczy akurat tej podstawy programowej. Składa się ona co do zasady z krótkich (to akurat dobrze) wskazówek merytorycznych, zatem właściwie nietrudno o unikanie niespójności. A jednak...

Pewne zapisy są właśnie krótkie, a przy innych autorzy PP czuli się zobowiązani dać detaliczne wskazówki, by lekcja przypadkiem nie potoczyła się ideowo niesłusznym torem. Nazwisko kardynała Wyszyńskiego pojawia się trzykrotnie, czytamy np., że uczeń „wyjaśnia znaczenie ideowo-moralne duszpasterskiego programu prymasa Stefana Wyszyńskiego (Jasnogórskie Śluby Narodu, Wielka Nowenna, obchody milenijne); wskazuje zasługi Kościoła dla integracji Ziem Zachodnich i Północnych z resztą Polski", ale długie lata rządów Gomułki, podczas których ukształtował się na dobre PRL, z całym bagażem konformizmu, apatii, ulgi po stalinizmie, integracji Ziem Zachodnich (!), rozbudowy przemysłu ciężkiego, powszechnej znajomości Rolling Stonesów itd. nie doczekały się analogicznych drogowskazów – może dlatego, że prawie cała historia lat 1956-1970 została ujęta w punktach dotyczących... polityki komunizmu wobec Kościoła. Gomułka, dyktator, który chyba na losach Polski zaważył nie mniej niż kardynał Wyszyński, miga, kiedy obejmuje władzę i kiedy ją oddaje – po drodze nie istnieje. Wyskakuje nagle z pudełka „neomarksizm", choć sam marksizm pojawi się w zeszytach uczniowskich dopiero w następnych klasach. Ktoś zobaczy w takich manewrach zamysł indoktrynacji, i słusznie, ale warto też zobaczyć, jak marnej jakości pociskami nabite są armaty przedmiotu, który ma „odzyskać edukację" dla Polski.

> Dziaderski jest plan, by za pomocą słusznie podanej historii słusznie ukształtować młodzież. Sztandarowy podręcznik flagowego przedmiotu dobrej zmiany to niechlujstwo w wykonaniu projektu, zdawałoby się, ważnego dla rządzących.

Skąd się bierze fiasko? Stąd, że HiT został wymyślony jako przedmiot służący rozgrywkom partyjnym. On nie ma być „dobry" (tu: skutecznie indoktrynujący polską młodzież). Ma tylko wyglądać, że jest „dobry". Dla kogoś, kto ma o realiach szkoły blade pojęcie, wszystko wygląda dobrze. Kościół kochany, neomarksizm i ekologizm potępione, a nasze kierowane z Niemiec lewactwo się jeży – a, jak wiadomo, kiedy oni się jeżą, to znaczy, że robimy dobrze. „Słychać wycie? Znakomicie!" – a że nic z krucjaty w szkołach nie będzie, to trudno. Na razie minister Czarnek chodzi w glorii faceta, który dopiekł salonowi. Wystarczy.

Nauczyciel historii w polskiej szkole stoi tymczasem przed całą listą trudnych wyzwań. Nie zamulić. Przygotować do dyskusji o trudnych sprawach. Wymagać czytania, i to ze zrozumieniem. Uczyć wyciągania wniosków. Uczyć miłości do ojczyzny, ale nie przesłodzić, bo... wiadomo, jaki może być odruch. Konfrontować się z brzydotą wielu historycznych wydarzeń. Wiązać przeżycia nastolatka z dorobkiem poprzednich pokoleń (łatwo powiedzieć!). Uczyć faktów, ale i uczyć ocen moralnych, nieraz bardzo gorzkich. A to wszystko w rzeczywistości, w której zainteresowanie historią w młodym pokoleniu nie jest żadną oczywistością, a pojęcia „naród, Polska, Kościół, ojczyzna" budzą spory opór, jako katalog ulubionych słów PiS. HiT nie jest pomocą, jest nowym obciążeniem.

Zmiany nie będzie

Co będzie dalej? Mówiąc wprost, w środowisku widać zauważalny podział na nauczycieli szukających, czasem w rozpaczy, skutecznych form nauczania młodego pokolenia oraz na tych, jednak dość licznych, którzy uważają, że szkoda nerwów na te poszukiwania. Wystarczy stare, dobre nauczanie w systemie „Zapisz i zapamiętaj". Zanim ktoś zacznie wyszydzać tę postawę, niech ugryzie się w język. Wielu tęskniących do „starych, dobrych czasów" po prostu ma dosyć. Dosyć zmian, na które, prawdę mówiąc, szkoła ma mały wpływ, jak zawziętość krytycznych rodziców (nie wszystkich!) czy emocjonalna i intelektualna rozsypka młodzieży. Ma dość polityki opartej na założeniu, że do szkoły muszą chodzić wszyscy, a pedagog ma zarabiać grosze, bo w końcu kto mu kazał cudze dzieci uczyć. Ma dość rosnącej liczby dzieci, jak to się określa elegancko, „z orzeczeniami", ale wcale nie rosnącej uważności systemu szkolnego na takie dzieci i wsparcia kadry pedagogicznej.

Ludzie, którzy mają dosyć, nie są skłonni do poszukiwań ani nie pragną nowych wyzwań. Zrealizują HiT po swojemu, mało oglądając się na dumne zapowiedzi ministerstwa, starając się, by lekcje jak najbardziej przypominały te, które do tej pory już robili, tyle że nie wiedzieć czemu teraz zrobią Gierka w klasie I, a nie w IV. W mediach i mediach społecznościowych gorączkowo wypowiadać się będą nauczyciele i nauczycielki wciąż goniące króliczka i prawdopodobnie wk... na „Czarnkową historię".

Zmiany w polskiej edukacji historycznej nie będzie, a potem nadejdzie nowy minister i pewno też niewiele się zmieni. Aż w końcu ktoś znowu przyjdzie podpalić dom, w którym mieszkasz, Polskę i, jak zawsze, wielu będzie walczyć, a niektórzy nie, i to bez względu na to, według jakiej podstawy programowej uczyli ich w szkole.

© JAN WRÓBEL

Autor jest nauczycielem historii w Społecznym Liceum „Bednarska" w Warszawie, które współzakładał i był także jego dyrektorem.

A po co my się tego uczymy?

AGNIESZKA JANKOWIAK-MAIK, AUTORKA BLOGA „BABKA OD HISTY”:

Odpytuję ucznia przy tablicy. Kiepsko mu idzie, więc rzucam: „Podaj choć datę Grunwaldu, to zaliczysz”. Pomylił ją, a ja do dzisiaj słyszę śmiech klasy... To był mój moment zwrotny.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: A może tak nałożymy sobie autocenzurę?
AGNIESZKA JANKOWIAK-MAIK: Na co?

Raczej na kogo.

Na prof. Roszkowskiego i jego podręcznik? Na wypowiedzi ministra Czarnka? Z przyjemnością: na ten temat powiedziano już wszystko, więc kiedy jakaś stacja telewizyjna dzwoni do mnie po raz szósty z prośbą o komentarz, zaczynam błagać o litość.

Ale jest i drugi dobry powód tego przemilczenia: historią szkolną nie rządzi Kaczyński, Czarnek ani Roszkowski, tylko Babka od Histy i setki innych nauczycieli historii bądź – od września w pierwszych klasach szkół ponadpodstawowych – HiT-u.

Zgadzam się, te czterdzieści pięć minut należy do nas. Choć jest też wielu nauczycieli tak zmęczonych, że robią tylko minimum, a potem wracają do domu. Lubią wskazówki, gotowce, proponowane w mediach podręczniki.

Z drugiej strony, coraz więcej historyków skrzykuje się w sieci – dzielą się pomysłami, dodają sobie nawzajem odwagi, by iść pod prąd.

Tylko ten polityczny?

Bynajmniej nie tylko. Czy oceniać uczniów tradycyjnie, a jeśli nie, to jak ich motywować? Co zrobić, by lekcja była ciekawa? Jak złamać nieśmiertelną, choć śmiertelnie nudną logikę chronologii zdarzeń? To są dyskusje mające znacznie większy wpływ na lekcje i młodych ludzi niż pomysły takiego czy innego ministra.

A jednak słychać od tygodni tylko rozważania o przedmiocie HiT.

To zjawisko jest od zawsze: utyskiwanie na „zły system”, choć słuszne, bywa też wygodne. Z drugiej strony, w ostatnich latach rzeczywiście wiele się dzieje w edukacji bardzo złego. I my wiemy, że po prostu musimy reagować, gdy wchodzi w życie głupie prawo albo indoktrynująca książka. Z jeszcze trzeciej strony: nie da się tkwić nieustannie w trybie reaktywnym.

Przychodzę więc tym razem do Babki od Histy nie reaktywnej, lecz kreatywnej i pytam: jak uczyć? Najpierw weźmy rzecz najbardziej prozaiczną: jak to zrobić, by w ogóle uczyć? Pytam o to dlatego, że od lat brakuje nauczycielom czasu na historię najnowszą.

Nie tylko czasu. Bywa, że także wiedzy i odwagi. Bo nauczanie tego okresu historii jest trudne, ponadto łatwo narazić się na zarzut o upolitycznienie – „lepiej tego nie tykać”...

Pamiętam, jak ucząc w liceum, zorganizowałam w ramach WOS-u szkolne prawybory, i część moich koleżanek oraz kolegów, klasowych wychowawców, nie chciało nawet puścić na to wydarzenie swoich uczniów. Organizacja prawyborów – co mnie zszokowało – kojarzyła im się z indoktrynacją. A jeśli to jest indoktrynacją, to jest nią w zasadzie każdy temat z dziedziny politycznej czy społecznej aktywności. Co dopiero tematy z historii najnowszej, które z polityką wiążą się w bezpośredni sposób.

To gdzie jest ta cienka linia między ujawnianiem własnych poglądów, które ma każdy, a tępą propagandą? Ile wolno autorowi podręcznika bądź nauczycielowi?

Ta linia jest tak cienka, że jej nie widać. Na szczęście jest sposób, by jej nie przekroczyć.

Jaki?

Uznać, że lekcja historii to nie moje przemyślenia, ale próba wyciągnięcia przemyśleń od uczniów. Po prostu przez te czterdzieści pięć minut ktoś inny powinien gadać. Jeśli tę zasadę zastosujemy, to może nie będziemy mieli dylematu, że w jakimś fragmencie lekcji bądź podręcznika porzuciliśmy fakty, a rozpoczęliśmy występ publicystyczny.

Jest też druga recepta: mikrohistoria. Gdy np. przerabiam z klasą lata 80., lubię odnosić się do wspomnień. Zamiast o grach politycznych, uwielbiam opowiadać o moim tacie, który będąc młodym człowiekiem marzył o tym, że kiedyś dostanie kilogram bananów i je wszystkie naraz zje. Albo jak długo musiał czekać na paszport, by wyjechać za granicę.

To prawdziwa – choć pisana z małych liter – historia i teraźniejszość.

Dlatego ja jestem za tym, by taki przedmiot istniał. Ba, ja tego przedmiotu uczyłam, zanim się pojawił. Od dawna lubię np. wprowadzać temat historyczny jakimś zdarzeniem z czasu obecnego. Np. opowieścią czy dyskusją o dzisiejszych subkulturach, by na tej bazie poznać subkultury z lat dawnych. Albo opowieścią o swoich wakacjach w Afryce oraz o tym, jak mało o niej wiedziałam – by wprowadzić i poddać pod refleksję temat europocentryzmu.

Żeby narazić się na zarzut upolitycznienia, niewiele trzeba. Wystarczy nie taka, jak wyobraża sobie dany rodzic, proporcja faktów. Np. Kuroń vs. Macierewicz albo Wałęsa vs. Walentynowicz.

Naturalnie, podobnie będzie z innymi tematami. Np. znacznie więcej czasu niż przeciętny nauczyciel historii w Polsce poświęcam prawom kobiet. Robię to w zgodzie z sumieniem: prawa obywatelskie to dla mnie najwyższa kategoria wartości.

Ktoś inny – np. zasłużony historyk i autor lichego podręcznika – w zgodzie z sumieniem może uznać, że najwyższą kategorią jest wspólnota narodowa, a wzorem kard. Wyszyński.

ARCHIWUM PRYWATNE

AGNIESZKA JANKOWIAK-MAIK jest edukatorką, autorką bloga „Babka od Histy", do niedawna nauczycielką historii i wiedzy o społeczeństwie w III LO w Poznaniu (od września – po urlopie wychowawczym – będzie uczyć w ósmych klasach szkoły podstawowej). Laureatka wielu nagród, wyróżniona m.in. w konkursie Wielkopolski Nauczyciel Roku, w XIV edycji Nagrody im. Ireny Sendlerowej „Za naprawianie świata", a także Medalem Wolności Słowa w kategorii „Obywatel". Autorka książki „Historia, której nie było".

To prawda, dlatego z jednej strony warto się samoograniczać, a z drugiej – przełączać się na wspomniany tryb słuchania.

Co ważnego Pani słyszy?

Np. opowieść jednego z moich uczniów – pasjonata wiedzy o II wojnie światowej, siedemnastolatka – który ujawnił bardzo pragmatyczny stosunek do tego zdarzenia. Powiedział, że dla niego bez sensu było to, iż Polska nie podpisała dużo wcześniej kapitulacji. „Popatrzcie – mówił – ileśmy się przez to nacierpieli, jaką straszną okupację przeżyliśmy". Mogłam się z tym poglądem nie zgadzać, ale jego głos uzmysłowił mi, jak przedstawiciele młodego pokolenia odrywają się od mitów, którymi myśmy żyli: od idealizowania walki, uwznioślania śmierci. To było pierwsze tak mocne doświadczenie obcowania z pokoleniem, którego nawet babcie i dziadkowie nie mają prawa pamiętać wojny, oni sami zaś nawet ćwiartką nogi nie stanęli w PRL-u.

Polska historia, także ta szkolna, to w dużej mierze nieśmiertelny kanon. Porcja wiedzy, którą „każdy młody człowiek powinien wynieść ze szkoły"...

...i której oczywiście nie wynosi. To się po prostu nie udaje.

Kiedyś pewien młody i prominentny polityk lewicy, poddany testowi z historii najnowszej przez jedną ze stacji TV, umiejscowił powstanie warszawskie w 1988 roku.

To „kanoniczne" fiasko ma swoją przyczynę: polska szkoła wymaga znajomości tak dużego zestawu dat, postaci i zdarzeń, że uczeń-niepasjonat, a więc w praktyce ten, który nie będzie historykiem, nie jest w stanie tego wszystkiego przyswoić. A że nie zawsze nauczyciel wyłuska dlań to, co najważniejsze, to bywa, że młody człowiek wychodzi ze szkoły z niczym.

Albo wręcz z traumą. Pamiętam lekcję z samego początku mojej nauczycielskiej pracy. Odpytuję ucznia przy tablicy, kiepsko mu idzie i jest zestresowany. Chcę mu jakoś pomóc, więc rzucam: „Jak podasz chociaż datę bitwy pod Grunwaldem, to zaliczysz". Pomylił tę datę, a ja do dziś pamiętam głośny śmiech klasy... Dla niego to musiało być straszne.

A dla Pani?

Moment zwrotny. Powiedziałam sobie, że już nigdy czegoś podobnego nie zrobię. Że ważniejsze od tych czterech cyferek będzie dla mnie wyrabianie szacunku do przeszłości, umiejętności rozumowego myślenia, np. łączenia faktów, albo nawyku zadawania pytań.

Jak nie zamordować klasy nudą?

Rozmawiając o życiu. Od zawsze, przerabiając najnowszą historię, proszę swoich uczniów o nagrania rozmów ze świadkami historii, o reportaże. Pamiętam chłopaka, który przyniósł nagranie ze wspólnej jego i jego dziadka zabawy w przygotowaną swego czasu przez IPN grę planszową „Kolejka", przedstawiającą życie ludzi przed 1989 r. Niezwykłość tego nagrania polegała na tym, że dziadek był nie tylko uczestnikiem gry – kolejne pola, które odwiedzał jako gracz, skłaniały go do wspomnień. Opowiadał więc o swojej młodości, a gdy np. w grze pojawiał się motyw kartek, mówił, co można było za nie kupić. I o ile pozostałe filmiki uczniów trwały po około 10 minut, ten ↦

↦ przekraczał pół godziny, a pomimo to klasa oglądała materiał urzeczona.

Inny film nagrały dziewczyny pochodzące z położonych nieopodal Poznania Mosin. Dotyczył zamordowanych w tej miejscowości podczas wojny intelektualistów, w tym – co było szczególnie poruszające – członków rodzin tych dziewcząt. Niemal zawsze, gdy robię takie rzeczy z moimi uczniami i uczennicami, zdarza mi się otrzymywać informacje zwrotne w rodzaju: „Kurczę, nigdy o tym nie rozmawiałem z rodzicami"; „Żałuję, że nie wysłuchałem opowieści dziadka"; „Po raz pierwszy byłam na grobie prababci".

Nudę morduje się też, łamiąc schematy. Część moich uczniów może znać podobne, wypowiadane przeze mnie zdania na pamięć: „Świat to nie tylko Europa", „Wojna to nie tylko przywódcy i bohaterowie"...

...przywódcy i bohaterowie to nie tylko mężczyźni?

To osobny, bardzo ważny dla mnie od lat temat. Nadal, pomimo zmian w świadomości, będący na marginesie historycznej opowieści. W podstawach programowych czy podręcznikach prawie nie ma kobiet. W tych gimnazjalnych – ale nadal przecież w podobnej formie istniejących, tyle że z przeznaczeniem dla podstawówek czy liceów – opisywane kobiety stanowiły jeszcze kilka lat temu 10 proc., a w tej i tak śladowej liczbie większość to kobiety nierealne, np. boginie czy postaci alegoryczne [to jedno z ustaleń badaczek poznańskiego UAM Iwony Chmury-Rutkowskiej, Edyty Głowackiej-Sobiech i Izabeli Skórzyńskiej – red.].

Konsekwencją jest coś, o czym rzadko się w tym kontekście wspomina: dziewczyny znacznie rzadziej interesują się historią, bo w szkolnym wydaniu oznacza ona głównie politykę i wojskowość. Jest nie tylko o mężczyznach, ale też dla mężczyzn. Kiedy rozmawiałam o tym kiedyś z moimi uczennicami, zapraszając je do przeglądu podręcznika pod tym kątem – ile jest kobiet, jak są opisywane, czy pod fotografiami są podpisane z nazwiska – to na początku mi się zwierzyły, że do tej pory w ogóle nie zdawały sobie z istnienia tego zjawiska sprawy.

To prawdziwy „sukces" polskiej szkoły: „historię" i „historię polityczno-wojskową" uznaliśmy za synonimy.

Jeśli coś przez lata było oczywistością, to wielu z nas nawet nie wie, że da się inaczej. Tymczasem najciekawsza historia prawie zawsze daje – np. dziewczynom, ale nie tylko – poczucie tożsamości. Ja też to od historii dostałam, wgłębiając się w dzieje polskich emancypantek.

Co jeszcze pomija nasz nieśmiertelny kanon?

Popkulturę. Gdy na ekrany wchodziła „Gra o tron", zastanawialiśmy się np. z uczniami i uczennicami, z jakich zjawisk historycznych mógł czerpać autor powieści, na kanwie której powstał serial. Czytaliśmy o Wojnie Dwóch Róż, uczniowie szukali też swoich tropów, docierając nawet do historii Hunów. Z kolei gdy popularny stał się serial „Czarnobyl", co druga prezentacja nawiązywała do tej właśnie historii.

Rozmawiamy już dobrą godzinę, pora zejść na ziemię. Niech Pani sobie to wyobrazi: czyta nas zmęczona pracą, walką o pensje i szacunek szkolna historyczka, i klnie pod nosem: „Łatwo jej, znanej blogerce, mówić. Ja tu mam podstawę programową".

Ja też mam podstawę programową. Tyle że te seriale, filmy, nagrania, o których panu opowiadam, odsyłają przecież do tematów, które jak najbardziej w podstawach programowych są. Nieprzypadkowo się na nie narzeka, ale zawierają też sporo słusznych postulatów, jak krytyczne myślenie czy wyciąganie wniosków. Nauczyciele czasami nawet nie wiedzą, że robiąc coś atrakcyjnego dla uczniów, kształtują – niejako niechcący – kilka kompetencji zawartych w tym dokumencie.

Jest też i inna przeszkoda. Proszę wybaczyć banał, ale chyba słusznie mówi się, że dzisiejszy młody człowiek nie jest nawet w stanie wytrzymać zbyt długiego filmu.

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **RZESZÓW,** piątek 2 września
  Spotkanie z Renatą Durdą – szefową Ogólnopolskiego Pogotowia Ofiar Przemocy w Rodzinie, „Krzywda za ścianą – rola świadków w ochronie osób doświadczonych przemocą w rodzinie" / stacjonarne /
- **ZIELONA GÓRA,** piątek 2 września
  Spotkanie z prof. Grzegorzem Gabrysiem – biologiem z Uniwersytetu Zielonogórskiego – oraz posłem Tomaszem Aniśką z Partii Zieloni, „Katastrofa ekologiczna Odry i jej wpływ na bioróżnorodność" / stacjonarne /
- **KRAKÓW,** piątek 2 września
  Spotkanie z Wojciechem Bonowiczem, Zbigniewem Nosowskim i Anną Sieprawską, „Chrześcijanin, obywatel. Wspominamy Stefana Wilkanowicza" / hybrydowe /
- **TRÓJMIASTO,** środa 7 września
  Spotkanie z Adamem Kompowskim, Dorotą Próchniewicz, Małgorzatą Rybicką, Krzysztofem Tokarskim, „Dorosłość na dwóch krańcach spektrum autyzmu" / hybrydowe /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

To częściowo prawda, ale mam też następujące doświadczenie: ilekroć udaje mi się wymyślić coś naprawdę emocjonującego i wciągającego, to nigdy nie mam problemu z utratą przez uczniów koncentracji. Gdy np. sami przygotowywaliśmy historyczne gry planszowe, by następnie w nie zagrać, to ani razu nie dostrzegłam śladów nudy. To samo dotyczy tik-toków, które zresztą sama nagrywałam.

Ile trwał Pani filmik?

Trzydzieści osiem sekund. Podrzucałam zbite w kulkę skarpety *(śmiech)*. Chciałam opowiedzieć o „szczypiorniaku", czyli funkcjonującej w polszczyźnie alternatywie dla nazwy „piłka ręczna". To była akurat ciekawostka mająca wytłumaczyć, skąd się w ogóle pojęcie wzięło: internowani w Szczypiornie żołnierze Legionów Polskich chcieli zagrać w piłkę, ale jej nie mieli, a tą zrobioną ze szmat można było tylko rzucać.

A uczniowie?

„New York Times" ogłosił wówczas listę stu wybitnych kobiet w historii, a do tego zestawienia dostała się Anna Walentynowicz. Moje dziewczyny zrobiły tik-tok właśnie o pani Annie, ciekawie i zwięźle wymieniając jej dokonania.

Uff, udało się.

Mówi pan o naszej autocenzurze? To naprawdę nietrudne: życie jest gdzie indziej.

> Szkoła wymaga znajomości tylu dat i postaci, że uczeń-niepasjonat nie jest w stanie tego przyswoić. W efekcie wychodzi z lekcji z niczym.

To po co w ogóle politykom szkolna historia?

Jak to po co? Żeby ulepić obywatela.

Tyle że, jak już ustaliliśmy, to nie działa. Kiedyś Jan Wróbel, autor tekstu na sąsiednich stronach tego wydania „TP", zauważył, że to PRL-owska szkoła wypuściła solidarnościowych bohaterów.

A jednak władza zawsze ma złudzenia, że się tym razem uda... Dziwne, bo przecież wśród rządzących jest wielu historyków. No i niemal wszyscy już wiedzą, że szkoła dawno straciła monopol na przepływ informacji.

Zmienili się też młodzi ludzie?

Ci dzisiejsi są bardzo świadomi tego, czego by od edukacji chcieli, a czego szkoła im nie daje. I to komunikują. Mówię im: będąc w waszym wieku nawet nie wiedziałam, że tak się da. Moja historyczka kazała nam otworzyć podręcznik, zrobić notatkę, a potem wychodziła z klasy... Dzisiaj uczniowie nie krępują się spytać: „A po co my się tego uczymy?". Moja praktykantka została kiedyś zaskoczona takim pytaniem, i nie wiedząc, co odpowiedzieć, rzuciła: „Bo to będzie na kartkówce".

I miała dużo racji. W tym sensie nie rządzi jednak Babka od Histy, tylko faktycznie minister wraz z twórcami podstaw programowych.

Ale to nie zmienia faktu, że przyjęcie bądź odrzucenie historii przez ucznia zależy od tego, jak my tę historię podamy. Miałam kiedyś w liceum klasę, profil biol-chem. Ostatnia ławka, typowa loża szyderców, to był mój barometr: jak zaczynali robić wszystko poza uczestnictwem w lekcji, już wiedziałam, że coś jest nie tak.

To może nie rządzi ani Czarnek, ani Pani, tylko – ze wszystkimi tego zaletami i wadami – ostatnia ławka?

Z jednym zastrzeżeniem: to nas nie zwalnia z odpowiedzialności. Żeby być elastycznym, trzeba być dobrze przygotowanym: mieć scenariusze, kontrolę nad uwagą uczniów, jasno postawiony cel.

Ale tak, zgadzam się: to oni – przy naszej pomocy – rządzą historią. Kiedyś mieli tylko słuchać, dzisiaj są na pierwszym planie.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Boża odmowa

Perorujący na równinach Moabu Mojżesz wspomina swoje wysiłki, by Najwyższy jeszcze nie zabierał go do siebie i pozwolił mu przekroczyć wraz z nowym pokoleniem granicę Kanaanu. „I błagałem Wiekuistego podówczas... Niechże też przejdę i zobaczę ową ziemię piękną... Ale uniósł się Wiekuisty na mnie z przyczyny waszej, i nie wysłuchał mnie" (Pwt 3, 22. 25-26; Cylkow). Midrasz to starożytna forma biblijnego komentarza. Poniżej oddaję głos egzegetom, zmagającym się z powyższą Bożą odmową.

Pierwszy: Kiedy Mojżesz zobaczył, że wyrok na niego został przypieczętowany, narysował koło, usiadł w nim i powiedział: nie ruszę się stąd, póki nie unieważnisz tego wyroku! Założył wór pokutny, posypał głowę popiołem i błagał Boga, aż niebo i ziemia poczęły drżeć. Co zrobił Najwyższy w tym momencie? Ogłosił na bramie każdego z nieb i na bramach wszystkich sądów, że modlitwa Mojżesza nie powinna zostać wpuszczona – gdyż modlitwa Mojżesza była jak miecz, który siecze i rozpruwa, i którego nic nie jest w stanie zatrzymać.

Drugi: Mojżesz zwrócił się do Najwyższego: Panie Wszechświata! Kości Józefa, które zabraliśmy ze sobą wychodząc z Egiptu, znajdą się w Ziemi Obiecanej – a ja do niej nie wejdę? Odrzekł mu Bóg: Kto się przyznaje do swojej ziemi, będzie w niej pochowany, a kto się nie przyznaje – nie będzie. Józef przyznał się, gdy żona jego pana stwierdziła: „Patrzcie, sprowadził nam Ibrejczyka" (czyli Hebrajczyka; Rdz 39, 14), a on nie zaprzeczył. Wręcz przeciwnie, powiedział: „Gdyż po złodziejsku wykradziono mnie z ziemi Ibrejczyków" (40, 15), dlatego zostanie pochowany w swojej ziemi. Ty natomiast, gdy córki Jetry rzekły: „Mąż Egipski wybawił nas z przemocy pasterzy" (Wj 2, 19), milczałeś. Dlatego „nie przejdziesz za Jarden ten!" (czyli Jordan; Pwt 3, 27).

Trzeci: Bóg odrzekł Mojżeszowi: Nie możesz mieć i jednego, i drugiego. Ja już uchyliłem Mój wyrok i spełniłem twoją prośbę. Kiedy Izrael pokłonił się złotemu cielcowi, powiedziałem: „Zniszczę ich", a ty na to: „Przebacz im" – i twoje życzenie wzięło górę. Jeśli więc chcesz, aby twoje pragnienie wejścia do Ziemi Obiecanej zostało spełnione, a Mój wyrok – żebyś nie wszedł – został unieważniony, musisz cofnąć swoje „Przebacz im", natomiast jeśli chcesz, aby „Przebacz im" zostało w mocy, musisz zrezygnować z „Pozwól mi wejść". Usłyszawszy to, Mojżesz oświadczył: Niech umrze Mojżesz i stu jemu podobnych, a nie dozna uszczerbku choćby paznokieć któregoś z Dzieci Izraela! Jednak gdy Mojżesz był już bliski śmierci, a Izraelici nie wstawili się za nim u Najwyższego, by mógł wejść do Ziemi Obiecanej, zgromadził ich i wypomniał: jeden człowiek uratował 600 tysięcy, a 600 tysięcy nie może uratować jednego człowieka... Superkomentatorzy – do dzieła! ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Ludzkie głody

„Kto potrafi rozeznać wolę Boga? Kto zdoła przeniknąć zamiary Pana? Zawodne są ludzkie myśli, nasze dociekania prowadzą na manowce. Śmiertelne ciało jest ciężarem dla duszy, namiot ziemskiego zamieszkania krępuje lotność myśli. Ledwie odczytujemy sens rzeczy doczesnych, z trudem docieramy do tego, co jest na wyciągnięcie ręki, któż więc zdoła zbadać tajniki nieba?". Naprawdę? Czyżbyśmy rzeczywiście byli aż tak beznadziejnie uziemieni, że tylko siąść i płakać? Czy rzeczywiście nasze ciało to balast, niepozwalający naszej nieśmiertelnej i niczym nieskrępowanej duszy wzbić się ponad codzienną krzątaninę przy kuchni czy w centrum kosmicznym NASA? A jednak staramy się zajrzeć w każdy kąt w kuchni i nawet za cenę życia zajrzeć w najdalsze zakątki kosmosu. Słusznie ktoś powiedział, że jesteśmy dziećmi gwiazd. Jeszcze inni coraz głębiej schodzą do wnętrza ziemi, w głąb oceanów, w głąb ciała ziemi, czyli materii, ale jedni i drudzy twierdzą, że im więcej wiedzą, im pełniejsza wiedza, tym głębsza niewiedza, gdyż każda potwierdzona hipoteza stawia nowe pytania. I tak w nieskończoność. Jest jeszcze trzeci obszar – człowiek, który jak zwornik scala w sobie możliwe z niemożliwym. Do niedawna sprawa była prosta jak przysłowiowy drut: człowiek składa się z nieśmiertelnej duszy i śmiertelnego ciała, zgodnie z katechizmowym nauczaniem i po myśli Platona, ale niezgodnie z Biblią. Dzisiaj, w świetle nauk o człowieku, ten dualizm jest już pieśnią przeszłości.

Pytamy więc, jak to się dzieje, co to ma znaczyć, że w tym samym momencie, gdy cokolwiek chwycimy w dłonie, zaraz się nam to coś z rąk wymyka. Cokolwiek ogarniemy umysłem, zaraz tenże sam umysł to coś wyprowadza poza zasięg własnych możliwości, cokolwiek też otoczymy miłością, a jej spełnienie pozwala posmakować odrobinę szczęścia i wydaje się nam, że weszliśmy do „siódmego nieba", zaraz rodzi jeszcze większy głód. A to nasze dzisiaj nieprzerwanie wybucha w jutro i tak bez końca, i tak w nieskończoność. Ale czy to znaczy, że jedynie w nicość?

Papież Franciszek mówi: „Ewangelia nie pozostawia rzeczy takimi, jakimi są. (...) Nie rozdaje fałszywego osobistego pokoju wewnętrznego, ale rozpala niepokój, który pobudza nas do wyruszenia w drogę, przynagla do otwarcia się na Boga i na braci. Jest właśnie taka jak ogień (...) chce spalić nasz egoizm, rozświetlić ciemne strony życia (...) pochłonąć fałszywe bożki, które nas zniewalają. (...) Wiara, krótko mówiąc, nie jest »kołysanką«, która nas usypia. Prawdziwa wiara jest ogniem, ogniem rozpalonym po to, byśmy czuwali i byli aktywni nawet w nocy!". I tak głody ciała nie pozwalają zgnuśnieć duszy i odwrotnie. Widać, wszystko najlepsze wciąż przed nami. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Dojrzałość

Kto rozpoznał prawdę,
jest wolny. (...)
Kto jest wolny dzięki
poznaniu, jest niewolnikiem
przez miłość do tych, którzy
jeszcze nie są w stanie
przyjąć poznania.

EWANGELIA FILIPA

Są trzy stadia rozwoju.
Na pierwszym
człowiek czci coś:
mężczyznę, kobietę,
pieniądze, dzieci,
ziemię, kamienie.
Na drugim – czci Boga.
W końcu przestaje mówić:
„czczę Boga”
albo „nie czczę Boga”.

RUMI

Wybrał PIOTR SIKORA

„Gdy nadeszła pełnia czasu, zesłał Bóg Syna swego (...), byśmy mogli otrzymać przybrane synostwo” – fragment jedynego „maryjnego” tekstu św. Pawła odczytywaliśmy w liturgii Uroczystości Matki Bożej Częstochowskiej (zob. Ga 4, 4-7).

O „pełnię” (dopełnienie) jakiego „czasu” chodzi? Odpowiedź można wyczytać z najbliższego kontekstu. Otóż nieco wcześniej (Ga 4, 1-3) Apostoł mówi o czasie naszej „małoletności” – o czasie, w którym, chociaż jesteśmy Bożymi dziedzicami, jesteśmy ciągle poddani rozmaitym „opiekunom” i „rządcom” (w rozdziale 3. używa Paweł określenia: „wychowawca”; Ga 3, 24-25), spośród których najważniejszym pozostaje Prawo.

Otóż to właśnie ten „czas” – czas małoletności, dorastania do dojrzałości, do dorosłości – właśnie się wypełnił. Teraz jest pora na wejście w dojrzałą relację z Bogiem – bezpośrednio z Ojcem, a nie z ustanowionymi przez Niego nad nami „pedagogami”. Każdej i każdemu z nas Bóg mówi: „Nie jesteś już niewolnikiem, lecz synem; a jeśli synem, to i dziedzicem przez Boga”.

Nasza dojrzałość w wierze jest więc dojrzałością dzieci (córek i synów) – ale nie dzieci, które ciągle za rękę są prowadzone do szkoły i rozliczane zgodnie z systemem kar i nagród, ale dorosłych dzieci swojego Ojca.

Mam nadzieję, że wielu z Was może to potwierdzić: to jedna z najpiękniejszych w życiu relacji – być dorosłym dzieckiem własnych rodziców. To właśnie ta relacja opisana jest czwartym przykazaniem: „Czcij ojca twego i matkę twoją” (Wj 20, 12; Pwt 5, 16).

Za łatwo, stanowczo za łatwo redukujemy przekaz tego przykazania do posłuszeństwa. To prawda, że zapewne w przypadku dzieci (właśnie: małoletnich!) chodzi w nim o posłuszeństwo; ale przykazania są w pierwszym rzędzie skierowane do dorosłych (a do dzieci jedynie w takiej mierze, w jakiej do nich dorastają czy mogą je w ogóle zrozumieć).

Relacja dorosłego dziecka (córki, syna) do rodziców nie jest relacją posłuszeństwa – jest relacją szacunku: „Czcij ojca i matkę!”.

I taką właśnie relację czci ustanawia w nas Duch Święty, posłany „w pełni czasu” przez Pana w nasze serca. To On w całej prawdzie mówi w nas do Boga: „Abba, Ojcze!”.

W miejsce posłuszeństwa zewnętrznym normom i nakazom (Prawu) pojawia się w końcu w nas wewnętrzny (z serca) szacunek wobec Ojca. Wtedy możemy powiedzieć: czas się wypełnił, osiągnęliśmy wobec Boga wiek dojrzały. Teraz może On nam bez lęku powierzyć swoje dziedzictwo. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (4 – 11 IX)

23. niedziela zwykła: Mdr 9, 13-18; Ps 90; Flm 1, 9b-10. 12-17; Łk 14, 25-33;
Poniedziałek: 1 Kor 5, 1-8; Ps 5; Łk 6, 6-11;
Wtorek: 1 Kor 6, 1-11; Ps 149; Łk 6, 12-19;
Środa: 1 Kor 7, 25-31; Ps 45; Łk 6, 20-26;
Czwartek: Mi 5, 1-4a lub Rz 8, 28-30; Ps 13; Mt 1, 1-16. 18-23;
Piątek: 1 Kor 9, 16-19. 22-27; Ps 84; Łk 6, 39-42;
Sobota: 1 Kor 10, 14-22; Ps 116B; Łk 6, 43-49;
24. niedziela zwykła: Wj 32, 7-11. 13-14; Ps 51; 1 Tm 1, 12-17; Łk 15, 1-32.

PIERWSZY WRZESIEŃ BEZ SZKOŁY

Zmęczeni systemem, który nie zauważa ani uczniów, ani ich. Zmuszeni niskimi pensjami i rosnącymi kosztami życia, rezygnują z pracy. Dokąd odchodzą nauczyciele?

TEKST EWELINA BURDA | ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

Bożena jest anglistką, przy tablicy spędziła dwadzieścia trzy lata. Tomek, nauczyciel geografii, ma trzyletni staż. Aneta, polonistka z podstawówki, zaczęła uczyć siedem lat temu. Joanna, nauczycielka edukacji wczesnoszkolnej, w oświacie pracowała przez dwanaście lat. Dla nich i setek innych nauczycieli w Polsce tegoroczny pierwszy września będzie pierwszym dniem bez szkoły.

DZWONEK NA LEKCJĘ | Bożena przez większość swojego życia zawodowego pracowała w liceum w miasteczku średniej wielkości: – Jestem nauczycielem dyplomowanym, mam wieloletnie doświadczenie jako egzaminator. W tym roku po raz pierwszy od 1999 r. nie usłyszę dzwonka – opowiada anglistka.

– Moi pradziadkowie i dziadkowie byli nauczycielami i kierownikami szkół, rodzice także uczyli, a siostra dalej pracuje w zawodzie – dodaje. – Pokoleniowe powołanie? Być może. Ale ja na razie zgasiłam ten rodzinny kaganek oświaty. Czuję, że bardzo dużo dałam z siebie szkole, a nie do końca zostało mi to oddane.

Wypowiedzenie złożyła w maju. Jak mówi, nie chciała żadnych półśrodków typu urlop bezpłatny czy dla poratowania zdrowia: – Wcześniej poszłam na studia podyplomowe z biznesowego angielskiego. Zaczynam właśnie pracę w międzynarodowej korporacji, dostałam ją bez problemu. Początkowo zarobię mniej niż w szkole, ale motywacja finansowa nie była jedyną, która pchała mnie do zmiany.

– Nauczycielem chciałem być od zawsze, skończyłem geografię z przygotowaniem pedagogicznym. Pracowałem w kilku miejscach: małej prywatnej szkole podstawowej, liceum ogólnokształcącym i w podstawówce publicznej – wylicza Tomek.

Odchodzi, bo uznał, że jeśli nie teraz, to może już nigdy. – Zrobiłem bilans zysków i strat – mówi. – Jestem jeszcze młody i mogę bez problemu zdobyć doświadczenie w innym zawodzie, w którym poczuję się bardziej doceniony, także finansowo. Od pierwszego września zaczynam pracę w banku. Już po kilku miesiącach będę miał szansę na podwyżkę, i to w porównaniu do podwyżek nauczycielskich znaczącą, ponad tysiąc złotych na rękę. Trochę boję się zmiany, zastanawiam się, czy odnajdę się w pracy biurowej. Myślę też o tym, jak bardzo będzie mi brakować kontaktu z uczniami.

– W nauczaniu zakochałam się na praktykach w szkole, bo na studia trafiłam z przypadku – opowiada polonistka Aneta. – Wiedziałam, jak płatna jest praca nauczyciela, co zgrzyta w systemie. Ale szłam do tej naszej szkoły z bojowym nastawieniem: oto ja będę ją naprawiać i zmieniać. Zawsze mocno wierzyłam, że tu ważna jest nie tylko wiedza, ale też aspekt wychowawczy. Długo, dziś myślę, że za długo, miałam to przekonanie, że skoro robię coś tak ważnego społecznie, to mogę być tą siłaczką, trochę pobiedować i mieszkać kątem w wynajmowanym pokoju. Ale niedocenienie finansowe uwierało mnie coraz mocniej. Co z tego, że zadbam o szkołę, jak ona nie zadba o mnie.

– W kwietniu zaczęłam kurs testerki oprogramowania – dodaje Aneta. – Jako osoba kompletnie „zielona" w technologiach, byłam w stanie go skończyć i z sukcesem zdać egzamin końcowy. Po miesiącu wysyłania CV i rozmów dostałam ofertę stażu. Pracuję na pół etatu, uczę się i wdrażam w branżę, a i tak dostaję wyższe wynagrodzenie niż jako nauczycielka. Na prezentacji oferty dopytywałam się, czy to na pewno pieniądze za pół etatu. Ucieszyłam się, bo chodziło mi przecież o poprawę sytuacji materialnej. Ale to dla mnie przykre, że jeden kurs jest więcej wart niż całe moje wcześniejsze wieloletnie wykształcenie, studia podyplomowe i doświadczenie.

Joanna w szkolnictwie pracowała w kilku rolach: – Zaczynałam w przedszkolu, później była edukacja wczesnoszkolna z przedmiotami pobocznymi: techniką, plastyką. Robiłam wiele studiów podyplomowych, prowadziłam terapię pedagogiczną, uczyłam etyki, mam też uprawnienia do nauki dzieci niewidomych.

Ostatnio pracowała w szkole na przedmieściach dużego miasta, a jej etat ↦

DZIENNIK UROCZYSTY

↦ opierał się na klasach 1-3, natomiast nadgodziny miała z innych przedmiotów. – Przy pracy w szkole długo trzymało mnie to, że mam wolne ferie oraz wakacje, i że łatwiej mi godzić pracę z wychowywaniem własnych dzieci – tłumaczy Joanna. – I myślę, że wciąż dużo młodych nauczycielek powstrzymuje to przed zmianą. Od kilku lat odchodzą matematycy czy fizycy. Mówiono: oni mogą, bo mają twarde kompetencje. A na co taka nauczycielka wczesnoszkolna może zmienić szkołę? Właśnie może wiele. Całe życie myślałam, że to zawód moich marzeń, czułam się w nim świetnie. Ale życie potoczyło się tak, że dziś go porzucam. Od początku tego roku bardzo przytłaczało mnie to, jak wszystko drożeje, a ja nie mam możliwości negocjowania wynagrodzenia. Od niedawna jestem analityczką danych, pracuję w naukowym instytucie. I nie planuję wracać do szkoły.

CZYSTA MATEMATYKA | Opowiada Tomek: – Pamiętam rozmowę w jednym z dobrych warszawskich liceów, byłem wtedy w trakcie przeprowadzki. Zapytałem wprost o zarobki. Jako nauczyciel stażysta zarabiałbym 2300 złotych na rękę. Więc spytałem rekrutującej mnie pani dyrektor: czy wie, ile kosztuje wynajem kawalerki w Warszawie? Za tę kwotę, owszem, miałbym na czynsz, ale na jedzenie już nie.

Jego pensje? – Gdy zaczynałem w zawodzie i pracowałem w szkole publicznej, zarabiałem niecałe dwa tysiące – mówi. – Wtedy dla mnie, człowieka po studiach, który zaczyna dorosłe życie zawodowe, to była kwota akceptowalna. Bardzo wierzyłem w ten zawód. Od życia zawsze wymagałem niewiele, wpojono mi, że tylko na tyle mnie stać. Teraz coraz mocniej czuję, że stać mnie na więcej. A wymagania finansowe rosną też z wiekiem. W tym roku zarabiałem 4400 złotych: pracowałem w dwóch szkołach, byłem wychowawcą klasy, sporadycznie miałem jeszcze dodatkowe zadania. Godzin było dużo i ciężko to godzić, jeśli chce się mieć czas na solidne przygotowanie do lekcji – mówi geograf. – Największą patologią systemu jest dla mnie właśnie to, że nauczyciel, żeby mieć normalne pieniądze, musi pracować na więcej niż etat. A i tak nie mówimy o kwotach, których w dzisiejszych czasach można nam zazdrościć.

– Bolało, kiedy spotykałam się ze znajomymi na piwie i przy okazji rozmów o pracy okazywało się, że mam najwyższe wykształcenie, najdłuższy staż pracy, a zarabiam najgorzej – opowiada Joanna. – O pensjach nauczycieli mówi się dużo, ale mało kto wie, jak one wyglądają naprawdę. Bez nadgodzin i wychowawstwa dostawałam pensję w wysokości 2600 złotych netto. Kiedy robiłam dużo dodatkowych lekcji, miałam klasę wychowawczą, to maksymalnie udawało mi się zarobić 3300. Ale nigdy nie wiedziałam, ile tych nadgodzin będę mieć w danym miesiącu.

Jako nauczycielka na stażu w publicznej podstawówce Aneta zaczynała od pensji 1800 zł na rękę. – Gdy zostałam nauczycielem kontraktowym, mogłam być wychowawczynią, doszły nowe dodatki, pensja wzrosła do niespełna trzech tysięcy. Ale wciąż bałam się wynająć sama mieszkanie, bo żyłabym „na styk". Potem było trochę lepiej, moja pensja mogła rosnąć, ale zawsze kosztem nadgodzin – mówi.

Bożena podkreśla, że w swojej karierze zrobiła krok wstecz. – Patrząc z zewnątrz, miałam stabilną sytuację w pracy, nie musiałam martwić się o to, czy będę ją miała. Jako anglistka mogłam też zarobić więcej, wyrabiając dodatkowe godziny. Za pracę przy tablicy pobierałam maksymalne możliwe świadczenie. Najwyższy przelew z pensją wynosił u mnie 4900 złotych: tyle otrzymałam za 33 godziny przy tablicy, czyli około półtora etatu nauczycielskiego plus dodatek za wychowawstwo i za wysługę lat – wylicza anglistka. – Nie mogę powiedzieć, że zarabiałam mało, tak jak młodzi nauczyciele. To była pensja, z której dało się żyć i spłacać kredyt. Ale rosło gdzieś we mnie poczucie, że po tylu latach pracy nie odzwierciedla ona mojego doświadczenia i zaangażowania.

Joanna przy zmianie pracy chciała odczuć wyraźną poprawę warunków finansowych. – To się od razu nie udało, dziś nie zarabiam znacznie więcej niż w szkole – przyznaje. – Ale mam perspektywy na lepsze wynagrodzenie. Gdy powiedziałam w swojej szkole, że odchodzę, koleżanki gratulowały mi odwagi. Pytały, gdzie idę, jak szybko znalazłam pracę, jak jest płatna. Uważam, że nauczyciele są dobrymi pracownikami na rynku, nie mają wygórowanych oczekiwań. Ale jesteśmy też mocno zakompleksioną grupą. Częste jest przekonanie, że musimy tkwić w szkole, jaka by ona była, bo nie znajdziemy żadnej innej pracy. Jak widać, nie jest to prawda.

STRAJK | Dla Anety i Bożeny momentem przełomowym był strajk nauczycieli. Wtedy zaczęły myśleć o odejściu ze szkoły.

Bożena: – Strajkowałam do końca. Robiłam to z silnym przekonaniem, nie tyle dla siebie, co dla młodych osób, które wchodzą w zawód. Wierzyłam, że ten ruch oddolny jest ważny, że coś zmieni. Co się z nim później stało, wiemy wszyscy. Wtedy jeszcze nie miałam w sobie tyle odwagi i nie zdecydowałam się na odejście z edukacji, zmieniłam tylko moją wieloletnią szkołę na inną.

Aneta: – Ciężko psychicznie zniosłam to, jak mówiono wtedy o nas, nauczycielach. Nie dostrzegano sensu w naszej walce, a widziano jedynie to, że utrudniamy rodzicom życie, bo dzieci nie mogą przyjść do szkoły. Moje poczucie pewności, że chcę być w edukacji i ją naprawiać od środka, zaczęło się kruszyć. Po strajku starałam się bardziej dbać o równowagę między pracą a życiem prywatnym, pilnowałam godzin, ale i tak pracowałam wieczorami, bo nigdy nie wyrabiałam się ze sprawdzaniem klasówek czy wypracowań.

ZADANIA DO ODROBIENIA | Bożenie marzy się szkoła bez ocen i egzaminów: – Całe życie przygotowywałam młodzież do matury. Z biegiem lat powiedzenie „matura to bzdura" coraz mocniej do mnie docierało. Uwierało, że w kieracie codzienności tak ciężko przebić się z jakimś poszerzaniem horyzontów. Ważne były procenty i żeby szkoła dobrze wypadła w rankingach. Razem męczyliśmy się w tym systemie, uczeń i nauczyciel.

Joanna: – W szkolnictwie papier wszystko przyjmie, w teorii mogliśmy przyjmować kolejne dzieci. Ale to ja musiałam pracować w świetlicy, gdzie nie dało się szpilki wcisnąć. Wchodziłam do sali, w której ławki stały w odstępach pięciocentymetrowych i to ja miałam każdemu z tych dwudziestu kilku uczniów poświęcić odpowiednio dużo czasu i uwagi. Silnie odczuwałam też to, że rodzice chcieli edukacji na światowym poziomie, z metodami aktywizującymi,

które poprowadzi pomysłowa i wyposażona w nowoczesne pomoce dydaktyczne nauczycielka. I ja też bardzo chciałam, żeby tak było. Ale rzeczywistość wyglądała tak, że z pieniędzy szkolnych nie mieliśmy nawet bloku rysunkowego. O papier do ksero zawsze musiałam prosić rodziców.

Aneta: – Ostatni rok szkolny był dla mnie szczególnie trudny. Miałam pod opieką bardzo dużo klas ósmych, trwały przygotowania do egzaminu. Ze strony rodziców miałam silną presję na efekt. Czułam, że nikt nie wierzy w mój profesjonalizm. A ja przecież wiem, co robię, umiem uczyć. Gdy jestem chora, to nie mówię lekarzowi, jak ma mnie leczyć. Miałam dość ciągłego tłumaczenia się. Co mnie jeszcze bolało? System awansu jest upokarzający i kuriozalny. Zwłaszcza jak zaczynam go porównywać do innych branż. W oświacie, żeby dostać trzysta złotych podwyżki, muszę robić specjalne lekcje, zebrać pękatą teczkę dokumentów, przygotowywać i wygłosić prezentację. Zastanawiać się, czy przynieść na nią kwiaty dla dyrekcji, bo w wielu szkołach to nadal ważny element uzyskania awansu. A w nowej branży? Awans i podwyżkę mogę dostać już za pół roku, jeśli będę po prostu dobrze wykonywać moje obowiązki. Nic więcej.

Bożena mówi, że przeżyła wielu ministrów edukacji i dyrektorów, z którymi relacje były często trudne, a oni sami działali pod presją rodziców i kuratorium. Ale gdy patrzy z dystansu, swoje szkolne lata uważa za dobre: – Nie doświadczałam ekstremalnych sytuacji, trafiałam zwykle na dobrych współpracowników. Bo szkoła zawsze miała swoje problemy, ale to ich kumulacja teraz sprawia, że nie chcę już w niej być. Mimo tego, że kocham pracę z uczniami. Obok kiepskich finansów idzie brak szacunku do nauczycieli: wałkowanie tego, ile zarabiamy, wyliczanie nam wakacji. To dla mnie najtrudniejsze. Są i wady naszej grupy zawodowej: nauczyciele to wspaniali ludzie, ale bardzo dużo narzekają. Oczywiście, często jest to jak najbardziej uzasadnione, ale może być wykańczające na co dzień w szkolnych murach.

– Nie chcę też być w szkole, która staje się upolityczniona – dodaje anglistka. – Myślę, że w województwie małopolskim nie ma pokoju nauczycielskiego, w którym działania naszego kuratorium nie byłyby odczuwalne. A to nie wpływa dobrze na pracę nauczyciela.

ROZPOCZĘCIE ROKU | – Moje życie zawsze toczyło się od września do września. Mąż często śmiał się, że ja inaczej liczę lata, bo dla mnie nowy rok nie zaczyna się w styczniu – opowiada Joanna. – Czy w dzień rozpoczęcia roku zatęsknię? Na pewno jest wiele rzeczy, o których będę myśleć z sentymentem. Szkoda mi tej energii, którą włożyłam w szkołę. Na strychu stoją kartonowe pudła, do których zapakowałam zbierane przez lata pomoce dydaktyczne, książki, materiały na prace plastyczne dla dzieci. Mój budowany przez lata warsztat zamknęłam tam wśród kurzu i pajęczyn.

– Pierwszego września na pewno będę myślał o tym, że mnie tam, w szkole, nie ma. Zwłaszcza że byłem lubiany wśród uczniów, dyrekcja była zadowolona z mojej pracy. A gdybym został? Może nie byłoby tak źle? Te pytania do mnie wracają – opowiada Tomek. – Mam żal, bo edukowałem się do zawodu, który zawsze chciałem wykonywać, a odbiera mi się tę możliwość z tak błahego powodu, jakim są finanse. Ale mojego odejścia nie uzasadniam tylko nimi, bo dużo pracując, zarabiałem nieźle. To rodzaj mojego buntu wobec tego, co dziś dzieje się ze szkolnictwem. Nauczyciele coraz wyraźniej zauważają, że środowisko szkolne nie sprzyja również naszemu rozwojowi. Przykład? Mieliśmy szkolenia, ale nikt nie konsultował ich wyboru z nami. Jestem przekonany, że aby coś się gruntownie zmieniło w polskiej edukacji, to cały system musi runąć. I chyba chciałbym, żeby tak się stało.

Bożena: – Na pewno dziwnie będzie mi bez tego dzwonka i tablicy. Ale nie czuję żalu, że zostawiam edukację. Może małe ukłucie, kiedy przejeżdżam koło mojej starej szkoły, gdzie spędziłam dwadzieścia lat życia i zostawiłam całą młodość.

– Wrzesień będzie dla mnie ciężki. Dla mnie ta praca była... – Anecie łamie się głos, milknie na chwilę, sięga po chusteczkę. – Muszę to rozstanie jeszcze przepracować. Jest mi po ludzku przykro, że sytuacja w oświacie zmusiła mnie do odejścia z zawodu, który kocham i w którym wiem, że mogłabym dalej dobrze pracować. Praca z dziećmi daje bardzo dużo satysfakcji, ale nie mogę dłużej robić tego w szkole, bo nie jestem w stanie zadbać ↦

Jak odchodzą nauczyciele

SĄ TRZY WAŻNE LICZBY dotyczące polskiej kadry pedagogicznej, którymi minister Czarnek żongluje wedle widzimisię i nie bacząc na różnice – mówi „Tygodnikowi" rzeczniczka Związku Nauczycielstwa Polskiego Magdalena Kaszulanis.

Pierwsza z nich – dochodząca do **700 TYSIĘCY** – to liczba wszystkich nauczycieli zatrudnionych w oświacie. Zawiera jednak nie tylko pedagogów tzw. tablicowych, ale też urzędników. Druga, **650-660 TYSIĘCY**, dotyczy liczby etatów. Jest też ta odnosząca się do nauczycieli przy szkolnych tablicach – **600 TYSIĘCY** (to wszystko dane z minionego roku szkolnego, te świeże poznamy dopiero na jesieni).

I TU ZACZYNA SIĘ SPÓR. Szkolni dyrektorzy i wielu ekspertów bije na alarm, że tegorocznej fali odejść z zawodu nie da się porównać z żadną wcześniejszą. Z kolei resort edukacji i nauki twierdzi, że nauczycielskie wakaty to coroczne zjawisko ruchów kadrowych – szczególnie widoczne u progu roku szkolnego.

RZECZ W TYM, że wakatów tych (głównie nauczycieli przedmiotów ścisłych i języków obcych) jest bardzo dużo: jeszcze do niedawna na stronach kuratoriów było 20 tys. ogłoszeń. A to, jak zauważa Magdalena Kaszulanis, niecała prawda o niedoborach: – Wielu dyrektorów, którzy od lat borykają się z wakatami, zamiast dawać ogłoszenia, nauczyło się stosować „kadrowe by-passy". Chodzi albo o zastępstwa, które dla uczniów są fatalnym rozwiązaniem, albo godziny ponadwymiarowe, albo wysyłanie zatrudnionych już pedagogów na kursy, by mogli uczyć też innych przedmiotów. Rekordzista, dyrektor łódzkiego Zespołu Szkół Rzemiosła, będzie z konieczności uczył siedmiu, w tym języka obcego, polskiego, WF-u, fizyki i etyki. Ministerstwo może wypierać problem braku kadry, ale od tego wypierania problem nie zniknie. ©℗ PW

↦ o siebie finansowo. Rozważam założenie działalności, żeby prowadzić korepetycje i w ten sposób realizować się w nauczaniu – opowiada polonistka. – Kończąc pracę, zostawiłam klasę siódmą, moją wychowawczą. Wiem, że to nie jest neutralny język, jakim powinno się mówić o pracy, ale tak czułam: że ich zostawiam, porzucam. Miałam duże wsparcie od części rodziców, którzy rozumieją, że wielu nauczycieli nie ma wyjścia.

DŁUGA PRZERWA | – Znam kilka osób, które też odeszły. Ale w mniejszym mieście czy na wsi, kiedy jest się nauczycielem z wieloletnim stażem, praca w szkole wciąż jest atrakcyjna i bezpieczna. Zwłaszcza jak jesteś kobietą, której nie zostało wiele do emerytury – mówi Bożena. – Nie wiem, czy zmiana okaże się dla mnie naprawdę dobra, czy będę zadowolona. Dopiero zaczynam. Jeśli nie wyjdzie tu, gdzie jestem teraz, to będę szukać dalej. Szanuję moich kolegów i koleżanki, którzy zostają w zawodzie, ale nie wydaje mi się realne, że jeszcze kiedyś wrócę. Opowiadam o swojej decyzji z myślą o tych nauczycielach, którzy boją się, że są już za starzy na zmiany. Odchodzę z nauczania, bo teraz to ja chciałabym mieć szansę się czegoś nauczyć.

– Moi znajomi, którzy odchodzą, opowiadają mi, że nadal nie ma nauczyciela na ich miejsce. Problem braku kadr jest naprawdę duży. Myślę, że ciężko będzie załatać te dziury – mówi Tomek.

– Uczniowie z kolei boją się tego, kto przyjdzie ich uczyć, bo doskonale wiemy, że nauczyciele są różni: tacy, którzy lubią pracę, i ci, którzy znaleźli się w szkole nie wiadomo dlaczego. Usłyszałem od uczniów, że boją się też, że nie przyjdzie nikt. W jednej ze szkół, w której pracowałem, przez dwa miesiące nie można było znaleźć nauczyciela od ścisłego przedmiotu, uczniowie byli wysyłani do domu albo mieli zastępstwa, które nic nie wnosiły – opowiada geograf.

I dodaje: – Gdy powiedziałem uczniom, że odchodzę, pytali mnie, dlaczego zmieniam zawód, co będę robił, czy nie będę tęsknił za szkołą. Ich reakcje były bardzo dojrzałe. Ci z mojej klasy wychowawczej, kiedy podzieliłem się z nimi decyzją o odejściu, wstali z ławek i zaczęli klaskać.

©℗ EWELINA BURDA

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione.

Państwo w kanale

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Mija miesiąc od początku katastrofy na Odrze, a agencje rządowe ani służby wciąż nie potrafią ustalić jej przyczyn. Choć są one jasne.

Z katastrofą ekologiczną na Odrze się nam na razie upiekło. Od drugiej co do wielkości rzeki w Polsce nie zależy wyżywienie milionów ludzi, nie ma tam również działających ujęć wody powierzchniowej. Problem w tym, że ta katastrofa dopiero się rozkręca. Masowy zakwit złotych alg – wskazywany ostatnio jako przyczyna problemu – jest tylko jednym ze skutków i może nieść za sobą kolejne tragiczne następstwa. Zresztą WWF Polska już alarmuje, że mamy do czynienia z wtórnym skażeniem rzeki, bo rozpoczął się rozkład ryb i małży, a pochodzący z tego procesu amoniak zabija kolejne zwierzęta.

Wbrew pozorom, prawdziwa przyczyna problemów nie jest zagadką, a na podstawie podobnych katastrof ekologicznych, wywołanych w analogiczny sposób jak u nas, można nawet próbować wyciągnąć wnioski, co z Odrą będzie się działo i które rzeki mogą podzielić jej los.

Zakwit z kosmosu

Najpierw były informacje o tym, że w próbkach wody z Odry jest rtęć. Później, że przyczyną tragedii jest trujący mezytylen i bardzo wysokie stężenie soli. Wreszcie jako winne wskazano toksyny wydzielane przez złote algi. W kakofonii spekulacji, niedomówień i politycznych wrzasków rzadko przebijał się głos naukowców, że to tylko hipotezy i wcale nie muszą się wykluczać, bo na przyczyny w zasadzie wszystkich katastrof – nie tylko środowiskowych, ale też lotniczych czy drogowych – zwykle składa się wiele elementów, z których żaden w pojedynkę nie mógłby spowodować większych zniszczeń.

Jednym z niewielu pewników w sprawie Odry jest to, że doszło tam do ogromnego zakwitu glonów. Naukowcy z Instytutu Ekologii Słodkowodnej i Rybactwa Śródlądowego im. Leibniza, Uniwersytetu w Lipsku oraz firmy Brockmann Consult przeanalizowali dane z satelity Copernicus Sentinel 2. Wiadomo dzięki nim, że pod koniec lipca na Odrze w okolicach Opola doszło do wzrostu stężenia chlorofilu. Na początku sierpnia na wysokości Wrocławia był on już bardzo wysoki, a niespełna dwa tygodnie później zakwit, niczym fala, przesunął się w dół rzeki, rozprzestrzeniając na większy jej obszar. Chlorofil, obecny m.in. w glonach, zmienia kolor wody, dlatego widać go z kosmosu. Żeby stwierdzić, co wytwarza tak duże ilości chlorofilu, wystarczyło pobrać próbki z Odry. I tu pojawia się złota alga.

– W bardzo wielu miejscach liczba komórek tego konkretnego gatunku wynosiła ponad 50 proc. wszystkich obecnych w próbkach glonów – mówi „Tygodnikowi" prof. Justyna Wolińska z Instytutu Ekologii Słodkowodnej i Rybactwa Śródlądowego im. Leibniza w Berlinie.

Według Ministerstwa Klimatu *Prymnesium parvum*, czyli złote algi, to gatunek, którego „występowanie stwierdzono w Europie do tej pory tylko kilkukrotnie i jest mało znany badaczom". To nie do końca prawda. Złote algi występują powszechnie i zostały opisane przez naukowców już w pierwszej połowie zeszłego wieku, gdy doprowadziły do masowego wymierania ryb w rejonie Jutlandii w 1938 r. i Zelandii w 1939 r. Mało tego, setki prac naukowych dokładnie wskazują, jakie czynniki są niezbędne, by takie algi znalazły przyjazne środowisko do nagłego rozwoju. I w jaki sposób człowiek może się przyczynić do tego procesu.

Optymalne warunki

Złote algi występują na całym świecie, ale do ich katastrofalnych wykwi-

ROBERT STACHNIK / REPORTER

Natlenianie Odry, Szczecin, 25 sierpnia 2022 r.

tów dochodzi tylko w specyficznych warunkach. Glon najlepiej rozwija się w miejscach, gdzie woda słodka miesza się ze słoną i osiąga temperaturę od 10 do 27 st. C. Wówczas złota alga zaczyna się gwałtownie namnażać. By w pełni wykorzystać optymalną sytuację, wydziela toksyny zwalczające inne algi i jednokomórkowe zwierzęta, które mogłyby próbować się nią żywić. Cytotoksyna rozpuszcza rywali, a złote algi wchłaniają ich materiał organiczny, by wykorzystać go do dalszego namnażania. W ten sposób glony są w stanie błyskawicznie zdominować cały ekosystem. Tu jednak prosta metoda podboju zawodzi, bo emisja toksyn nie kończy się w chwili, gdy jednokomórkowa konkurencja zostaje wybita. Stężenie wciąż rośnie i wkrótce złote algi stanowią zagrożenie już nie tylko dla jednokomórkowców. Wydzielana przez nie ichtiotoksyna uszkadza komórki skrzeli ryb, małży, raków, płazów czy większego planktonu. Zwierzęta zaczynają krwawić i umierają przez uduszenie.

Kiedy dobre czasy się kończą, złote algi przechodzą w stan uśpienia. Jedna z form ich komórek to cysta, która czeka, aż warunki znów staną się optymalne. Kiedy glon raz się pojawi, zagrożenie z jego strony nie znika już nigdy. Wcześniejsze badania polskich wód nie wykazywały jego obecności.

– Może był, ale w mikroskopijnych ilościach – mówi prof. Wolińska i zaznacza, że tego typu glony się bardzo łatwo przenoszą. – Mogą być roznoszone przez wiatr czy ptaki i jeśli znajdą odpowiednie warunki, jak teraz w Odrze, mogą się uaktywnić i namnażać – stwierdza.

Podobnego zdania jest dr Sebastian Szklarek, ekohydrolog z Polskiej Akademii Nauk: – Zawleczone do Odry złote algi mogły długo czekać na przyjazną do rozwoju chwilę i ją wykorzystały, szczególnie że nie miały konkurencji ze strony innych występujących w słonych wodach gatunków.

Te nowe, sprzyjające warunki w słodkowodnej Odrze to najprawdopodobniej bardzo niski poziom jej wód i wysokie temperatury, ale przede wszystkim bardzo wysoki poziom zasolenia pochodzącego z zakładów przemysłowych. To problem nie tylko na Odrze, a normy środowiskowe przekraczane są od lat. Doskonale obrazuje to następujący fakt. Przeprowadzone w 1871 r. badania Wisły na wysokości Krakowa wykazały, że znajdowało się w niej wówczas 6-7 mg soli na litr wody. W tym samym miejscu od lat zasolenie waha się na poziomie 1000-1500 mg. W zeszłym tygodniu w litrze wody z Odry w okolicach Kostrzyna różnego rodzaju soli było około 2000 mg.

– Teraz wiemy, że mamy toksyczny zakwit. Wiemy, że w próbkach, które zbadaliśmy w dolnym odcinku Odry, ponad połowa wszystkich glonów to było właśnie *Prymnesium parvum*. Wiemy również, że gdyby nie było zasolonej wody, ten glon by się tam nie namnożył. Gdy się to połączy, wnioski są oczywiste, ale naszą rolą, jako naukowców, jest udostępnianie faktów. Nie jesteśmy od ścigania sprawców – mówi prof. Wolińska.

Zrzuty i zarzuty

Jakie dokładnie było zasolenie Odry w ostatnich dniach lipca, gdy doszło do katastrofy, i gdzie dokładnie do tego wzrostu doszło? – Tego nie wiemy, ponieważ u nas nie robi się takich pomiarów automatycznie – przyznaje dr Szklarek. – Na razie wnioski możemy czerpać z pomiarów automatycznej stacji we Frankfurcie, które wykazały, że zasolenie na tym odcinku zaczęło rosnąć około 6 sierpnia i trwało około tygodnia. To sugeruje, że winowajcą raczej jest kopalnia niż zakład przemysłowy – twierdzi dr Szklarek.

Kopalnie, podobnie jak inne zakłady, mogą robić zrzuty do rzeki, jeśli mają odpowiednie zezwolenie wydane przez Wody Polskie. Część zakładów zaopatrzona jest w specjalne systemy, które dokonują zrzutów tylko przy odpowiednio niskim stanie zasolenia. Sęk w tym, że nie wszystkie takimi systemami dysponują.

– Jednocześnie przecież żaden prywatny właściciel nie powie, że zrzucił więcej, niż mógł, a ponieważ nie ma danych z systematycznych kontroli, to nie mamy gwarancji, że tak się nie stało – mówi prof. Zbigniew Karaczun, sozolog ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, ekspert Koalicji Klimatycznej. – Tak samo jak nie mamy pewności, jeśli faktycznie hipoteza o złotych algach jest prawdziwa, że ten glon nie trafił do Odry właśnie z takim kopalnianym zrzutem. ↦

↦ Choć od początku katastrofy ekologicznej na Odrze mija miesiąc, nie sposób dojść, kto, kiedy ani jakiej wielkości zrzutów słonej wody dokonywał do rzeki i jej dopływów. Rząd ani żadna z jego agencji nie udostępniły takich danych. Jedyne, czym dysponujemy, to oświadczenia firm, które broniąc się przed zarzutami, same takie komunikaty wydały.

Pierwsza taka katastrofa

Przed latami 80. XX wieku zakwity złotych alg dotyczyły niemal wyłącznie wód słonych lub słonawych. Pierwsze przypadki wprowadzenia ich do słodkich rzek odnotowano w Teksasie w rzece Pecos w 1985 r., ale glon szybko zasiedlił co najmniej 33 inne zbiorniki wodne i szacuje się, że od tego czasu zabił 35 mln ryb. Najdziwniejszy zakwit miał miejsce 13 lat temu i był pierwszym, za który całkowitą odpowiedzialność ponosił człowiek. 27 sierpnia 2009 r. w Dan Cincotta biolog z Wydziału Zasobów Naturalnych stanu Zachodnia Wirginia prowadził rutynową kontrolę niewielkiej rzeki Dunkard Creek. Sprawdzał m.in. przewodność elektryczną wody, co pozwala określić stopień jej zasolenia. Przy pierwszym pomiarze uznał, że jego przyrząd pomiarowy jest zepsuty, bo wskazał 20 tys. mikrosiemensów na centymetr kwadratowy. Kilka kroków dalej – 40 tys. Biolog nigdy wcześniej nie widział wyniku wyższego niż 5 tys. Nieoczyszczona woda z kopalni zazwyczaj ma 1000-1500 mikrosiemensów.

W ciągu kilku kolejnych dni znaleziono, według różnych szacunków, od 20 do 60 tys. martwych ryb o krwawiących skrzelach. Na liczącym 50 km odcinku rzeki życie zamarło. Nigdy jednoznacznie nie wskazano sprawcy, ale za tak wysokie stężenia soli raczej nie mogły odpowiadać tylko okoliczne kopalnie. Prawdopodobnie do odprowadzanej z nich wody dołączyła też ta pochodząca z tzw. szczelinowania – wydobycia gazu łupkowego poprzez wypłukiwanie go spod ziemi za pomocą roztworów, których zasolenie jest 10-20 razy wyższe niż w wodzie morskiej. Firma Consol, prowadząca w okolicy dwa zakłady wydobywające gaz, choć nigdy nie przyznała się do winy, zapłaciła ponad 5 mln dolarów grzywny i zobowiązała się do stworzenia oczyszczalni solanki za 50 mln dolarów.

Dla rzeki nie było jednak happy endu. Choć już po roku wróciła do niej większość gatunków ryb, to nawet 10 lat później ich populacja była daleka od pierwotnej. Żaden z 14 gatunków małż nie wrócił w ogóle, mimo prób reintrodukcji.

> Wiemy, że mamy toksyczny zakwit, że w próbkach z dolnego odcinka Odry ponad połowa wszystkich glonów to były złote algi, wiemy, że bez zasolonej wody by się tam nie namnożyły. **Gdy się to połączy, wnioski są oczywiste.**

Na marginesie warto przypomnieć sobie nasze marzenia sprzed lat – o Polsce jako łupkowej potędze. Chyba jednak dobrze, że się nie spełniły.

Szczęście w nieszczęściu

Gdyby główną przyczyną masowego wymierania ryb w Odrze była rtęć, to trucizna utrzymywałaby się w ekosystemie przez dziesięciolecia. W przypadku złotych alg, choć pozostaną już one w Odrze i będą powracać, zagrożenie znika szybko. – Te toksyny mają krótką żywotność – mówi prof. Wolińska. – Rozkładają się i nie ma po nich śladu w środowisku. To szczęście w nieszczęściu.

Co jednak nie oznacza, że Odra prędko odżyje. – To jest śmierć ekosystemu na co najmniej kilkadziesiąt lat. Z rzeki wyciągane są nie tylko małe ryby i narybek. Straciliśmy tam reproduktorów, czyli kilkunasto- czy nieraz kilkudziesięcioletnie osobniki – zaznacza prof. Karaczun, podkreślając, że również dla ptaków i ssaków żywiących się rybami będzie oznaczało to albo niemożność przeżycia zimy, albo konieczność opuszczenia terenów Odry w poszukiwaniu pokarmu.

Ta tragedia nie wzięła się znikąd. Wnioski z dwóch kontroli NIK, ale również ostrzeżenia od Komisji Europejskiej sprzed czterech lat o możliwych zakwitach alg wywołanych złą gospodarką ściekową, czy wreszcie groźba 6 mld euro kary w sprawie, którą Polska ma przed Trybunałem Sprawiedliwości UE, dobitnie świadczą o tym, że stan rzek nie był dla naszych rządzących priorytetem. Widać to także na przykładzie Kanału Gliwickiego czy Kłodnicy, w których przez kilka miesięcy poprzedzających wymieranie ryb na Odrze inspektorzy wykrywali przekroczenie norm czystości. Azot, siarczany, chlorki, sód czy potas miały trafiać do wody z położonych nad nimi zakładów przemysłowych.

Czy te zanieczyszczenia miały wpływ na to, co następnie wydarzyło się w Odrze, uruchamiając efekt domina? Tego wykluczyć się nie da. Jak ustalił Onet, nie zrobiono w zasadzie nic dla powstrzymania pogarszającej się sytuacji, a prokuratorskie śledztwo jak dotąd nie przyniosło rezultatów.

Z wyników badań próbek wody z Odry, wykonanych w laboratorium w Czechach, które przedstawił w zeszłym tygodniu Główny Inspektorat Ochrony Środowiska, płynie wniosek, że Kanał Gliwicki był 15 sierpnia bardzo silnie zasolony. Nawet sześciokrotnie bardziej niż wskazywały pomiary wykonane w dolnym biegu Odry.

Celowo czy przez głupotę

Złote algi wielkie nie są – to przedstawicieli tego gatunku mieści się na krawędzi kartki papieru. Mimo to w starciu z glonem aparat państwa, który powinien nas chronić, poległ.

– To, co się stało na Odrze, pokazało, że służby inspekcyjne kompletnie nie działają – mówi prof. Karaczun. – Te służby zostały mocno osłabione, a w zasadzie zniszczone w ciągu ostatnich siedmiu lat. Pytanie, czy celowo, czy przez głupotę, ale obie odpowiedzi są fatalne.

Zwłaszcza że powinniśmy sobie powiedzieć jasno: podobnych tragedii będzie coraz więcej i nie będą dotyczyły wyłącznie rzek. Z powodu zmian klimatycznych ekosystemy stają się coraz mniej stabilne i nawet działania, które dotąd nie przynosiły dramatycznych skutków, jak spuszczanie ścieków do rzek, teraz mogą prowadzić do koszmarów. Przy niskim poziomie rzeki każda ingerencja w jej skład niesie o wiele poważniejsze skutki.

– System przyrodniczy nie zmienia się liniowo, tylko skokowo – tłumaczy prof. Karaczun. – Jeśli wrzucimy do rzeki 100 kg soli, to nie znaczy, że będzie trochę gorzej, niż gdybyśmy wrzucili tam 95 kg soli. Gdy przekroczymy pewien próg pojemności środowiskowej, to cały ekosystem może się zupełnie zmienić. I to właśnie stało się na Odrze.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

DAREK DELMANOWICZ / PAP

Magazyn gazu ziemnego w Brzeźnicy k. Dębicy, sierpień 2016 r.

To będzie ciężka zima

PIOTR WÓJCIK

Przez lata konsumowaliśmy rosyjskie surowce nie zważając, że rachunki płacimy agresywnemu reżimowi. Uwolnienie się od tej zależności może być bardzo trudne.

Dopiero po napaści na Ukrainę kraje Europy zrozumiały, jak wiele z naszych pieniędzy szło na uzbrojenie Moskwy. W efekcie dziś przygotowujemy się na przetrwanie zimy, która upłynie pod znakiem wysokich cen energii, a może nawet niedoborów niektórych surowców. Z taką sytuacją jeszcze się nie mierzyliśmy.

Drogi, ale niezbędny

Najwięcej uwagi przykuwa kwestia gazu. Gazprom zakręcił nam kurek z błękitnym paliwem, gdyż Polska nie zamierzała płacić za niego w rublach. Zaczęliśmy się ratować importem z innych kierunków, szczególnie z Niemiec. Czyli nadal kupowaliśmy surowiec z Rosji, tylko przez pośrednika. Wczesnym latem nawet jedna trzecia importowanego przez Polskę gazu przypływała do nas zza Odry. Problem w tym, że Rosjanie postanowili zaszantażować także Niemcy, wstrzymując czasowo dostawy gazociągiem Nord Stream 1. Oficjalnie twierdzili, że to tylko „przerwa techniczna", jest jednak wielce prawdopodobne, że zimą Rosjanie podbiją stawkę i ponowią swój szantaż. Dla Niemiec byłaby to katastrofalna wiadomość – zużywają prawie jedną czwartą gazu konsumowanego w całej UE.

Będzie to fatalne także dla nas, gdyż zostaniemy zmuszeni, by konkurować z Berlinem o surowiec z Norwegii. W nadchodzących latach ma być on jednym z filarów naszego bezpieczeństwa energetycznego. Płynąć ma do nas przez gazociąg Baltic Pipe, który częściowo zostanie uruchomiony jeszcze tej jesieni, a na pełną skalę w przyszłym roku. By wykorzystać jego potencjał, Polska powinna nie tylko zarezerwować sobie przepustowość w gazociągu, ale też zakontraktować surowiec. Budowa instalacji to dopiero połowa sukcesu – coś musi nią jeszcze płynąć.

– W tym roku prawdopodobnie uda się zapełnić tę rurę dzięki wydobyciu PGNiG – twierdzi Wojciech Jakóbik, analityk sektora energetycznego. – W przyszłym roku pełna moc gazociągu będzie wynosić 10 miliardów metrów sześciennych. PGNiG zapłaciło już za dostęp do przepustowości 8 mld. Nie ma jednak pełnej kontraktacji samego surowca.

Nieoficjalnie można usłyszeć, że rozmowy zbliżają się do finiszu. Wiosną mówiło się o negocjacjach z kilkoma partnerami: Totalem, Shellem i norweskim Equinorem, wciąż jednak nie ma rozstrzygnięcia. A to oznacza, że negocjacje zakończą się najprawdopodobniej w okresie wyżu cenowego. Norweski gaz w dobie kryzysu będzie więc bardzo drogi, ale i tak trzeba będzie go kupić, bo konsekwencje niedoborów kosztowałyby nas jeszcze więcej.

Kupowanie gazu w zimie, gdy jego ceny osiągną niebotyczny poziom, będzie bolesne. I dlatego tak istotne jest jak najszybsze pełne zatłoczenie magazynów. Według unijnego rozporządzenia wszystkie państwa UE powinny to zrobić w co najmniej 80 proc. do 1 października. Obecnie magazyny w całej UE zatłoczone są już w 78 proc., a w Polsce w prawie stu. Problem w tym, że nasze magazyny są małe. Wszystkie rezerwy wystarczą na zaledwie jedną siódmą rocznego krajowego zużycia. Czyli mniej niż dwa miesiące.

– Od kilku lat zwiększamy pojemność magazynów. Jeszcze niedawno mieliśmy 2,7 mld metrów sześciennych pojemności, teraz mamy ponad 3 mld. A to oznacza, że gospodarstwa domowe, zużywające rocznie właśnie 3 mld metrów sześc. gazu, powinny być bezpieczne nawet w najgorszym scenariuszu – przekonuje Jakóbik. – Nasze całkowite roczne zużycie to jednak 20 mld. Dlatego w czarnym scenariuszu możliwe jest ograniczenie dostaw gazu dla przemysłu, ale nie należy siać paniki, te ograniczenia będą kontrolowane. O ile w ogóle będą potrzebne, gdyż przedsiębiorstwa same już ograniczają produkcję. Gaz jest tak drogi, że wielu firm nie stać na płacenie rachunków. ↦

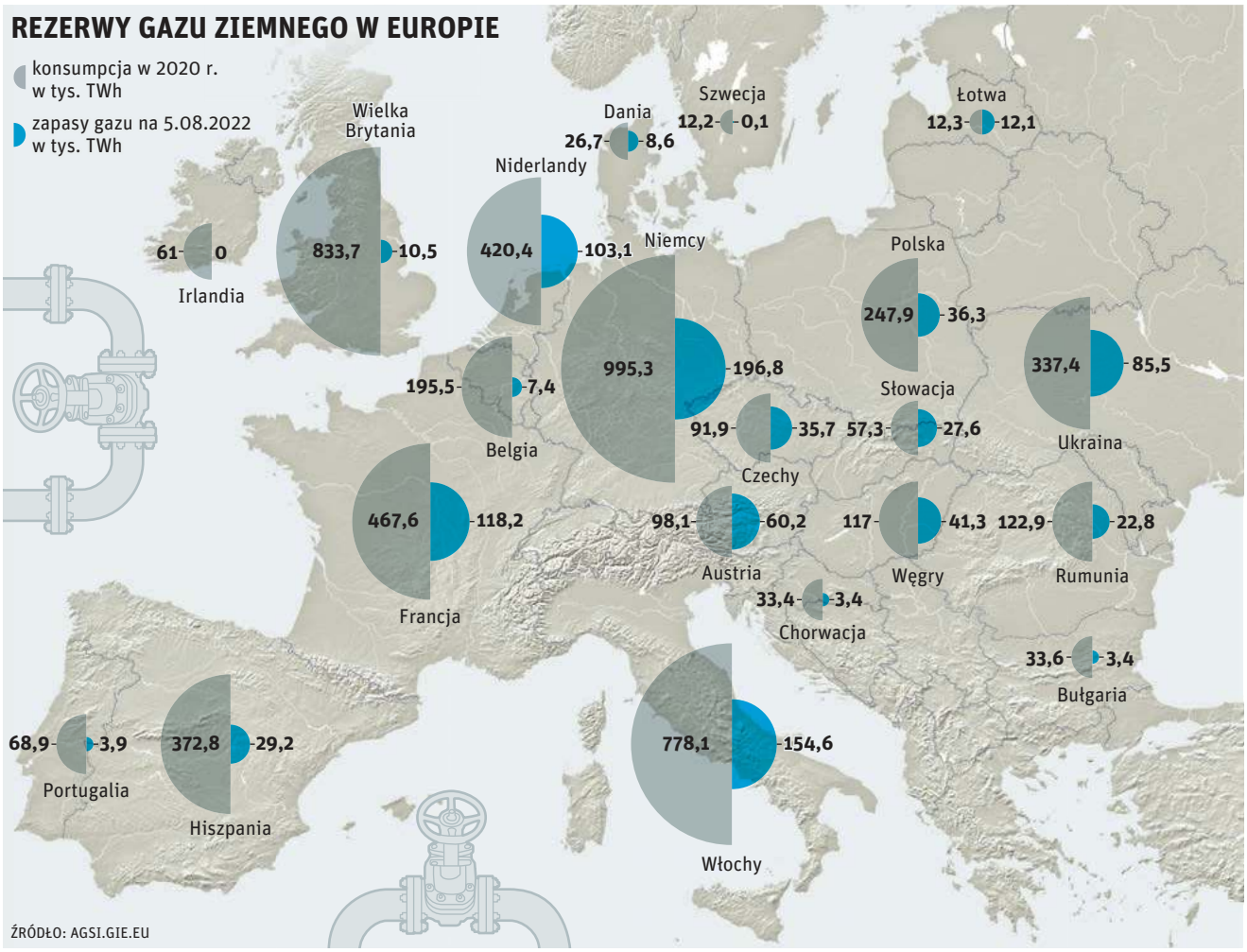

↦ Ta wywołana drożyzną „destrukcja popytu" może ograniczyć nasze roczne zużycie nawet do 17-18 mld metrów sześc.

Wspólnie zdziałamy więcej

Jest dopiero końcówka lata, a mamy już przedsmak tego, co może wydarzyć się zimą. Grupa Azoty tymczasowo zmniejszyła produkcję nawozów, gdyż ceny gazu są tak wysokie, iż stała się ona nieopłacalna. Podobnie uczynił inny producent, Anwil z Włocławka, który w ogóle ją wstrzymał. Niedobór nawozów oznaczać może niższe plony w przyszłym roku, a więc wyższe ceny żywności. W ten sposób tegoroczny kryzys energetyczny wpłynąć może na przyszłoroczną inflację. A to zaledwie jeden z przykładów potencjalnych konsekwencji.

Unia Europejska przyjęła rozporządzenie, wedle którego państwa członkowskie dobrowolnie ograniczą zużycie gazu o 15 proc. w okresie 1 sierpnia – 31 marca. Rada UE może jednak zatwierdzić stan alarmowy, w którym państwa członkowskie będą zobowiązane do większych ograniczeń. Celem tego rozwiązania jest „poczynienie oszczędności na nadchodzącą zimę, tak by przygotować się na ewentualne zakłócenia w dostawach gazu z Rosji, która stale używa dostaw energii jako broni". Według unijnego planu państwa członkowskie powinny traktować priorytetowo odbiorców chronionych; ewentualne wyłączenia gazu dla gospodarstw domowych i podmiotów użyteczności publicznej miałyby miejsce na samym końcu.

– Polska zrealizowałaby unijny cel nawet bez tych regulacji, gdyż, według danych Ministerstwa Klimatu, w tym roku nasze zużycie spadnie prawdopodobnie o 17 proc. – wskazuje Jakóbik. – Jest tak drogo, że Polacy ograniczają zużycie z własnej woli.

Aktualne ceny gazu winduje nie tylko postawa Rosji, ale też wzmożone zakupy. Państwa UE nabywają gaz na potęgę, by zapełnić swoje magazyny w wymaganych 80 proc. W przyszłym roku limit ten jeszcze wzrośnie – do 90 proc. Kluczowe jest więc uruchomienie mechanizmu wspólnych zakupów gazu, dzięki czemu państwa Europy nie rywalizowałaby między sobą, lecz nabywały surowiec jako jeden silny podmiot, mogący wpływać na ceny. W kwietniu UE uruchomiła platformę do wspólnych zakupów, jednak są one tylko fakultatywne.

– Wspólne zakupy gazu, postulowane przez Polskę jeszcze w 2014 r., byłyby świetnym rozwiązaniem, którego niestety do tej pory wiele krajów nie popierało – wskazuje Wojciech Jakóbik. – Tymczasem unijne zakupy gazu już pokazały swój potencjał. Gdy w maju Rosjanie zakręcili kurek Bułgarom, ci od razu otrzymali miliard metrów sześciennych z puli do dyspozycji Komisji Europejskiej, która zarezerwowała go w Azerbejdżanie jeszcze jesienią 2021 r., gdy wywiad amerykański dopiero uprzedzał o zbliżającej się agresji na Ukrainę.

Mało węgla w kraju węgla

Dla dwóch milionów gospodarstw domowych ogrzewających się wyłącznie piecami węglowymi to dostępność naszego narodowego dobra będzie kluczowa dla przetrwania zimy. Obecnie go brakuje, więc w punktach skupu ceny sięgają

3-4 tys. zł za tonę, co jeszcze w zeszłym roku wydawałoby się niewyobrażalne (według GUS, w 2021 r. tona węgla kosztowała średnio niecały tysiąc złotych).

Rząd prowadzi interwencyjny skup surowca za pośrednictwem spółek węglowych i obiecuje, że zimą go nie zabraknie. Specjaliści z branży mają jednak wątpliwości.

– Rząd nie prowadzi transparentnej polityki informacyjnej, więc trudno powiedzieć, na jakim etapie jest sprowadzanie węgla do Polski. Organizacje branżowe importerów węgla wskazują, że te braki są znaczne – mówi Piotr Maciążek, ekspert rynku energii. – Prawdopodobnie proces kontraktacji węgla nie idzie dobrze. Świadczą o tym szczątkowe informacje dochodzące z rządu. Skoro minister Anna Moskwa informuje, że próbujemy sprowadzać węgiel kolejno z Australii, USA, Kolumbii i RPA, to dla każdej osoby z branży jest oczywiste, że większość firm globalnych jest zakontraktowanych pod korek i nie ma jednego dostawcy, który mógłby dostarczyć nam odpowiednią ilość.

W lipcu doszło też do nieoczekiwanego wyłączenia bloków w czterech dużych elektrowniach, m.in. w Turowie i Kozienicach. To może być kolejna poszlaka, że z dostępem do węgla jest w Polsce wyjątkowo mizernie, co dotyczy nawet energetyki, która do tej pory wydawała się bezpieczna.

– Tego lata na Towarowej Giełdzie Energii możemy obserwować nieustanne komunikaty, że większość bloków energetycznych nie pracuje na sto procent swoich możliwości – zauważa Maciążek. – Elektrownie węglowe ograniczają produkcję energii elektrycznej, gdyż nie ma wystarczającego dostępu do paliwa. Prawdopodobnie w ten sposób prowadzone są oszczędności celem zgromadzenia zapasów na zimę.

Nawet jeśli węgiel uda się wreszcie do Polski dostarczyć, to trzeba będzie go jeszcze rozwieźć po kraju. Tymczasem w naszym systemie logistycznym jest wiele „wąskich gardeł", które mogą uniemożliwić odpowiednią dystrybucję przed zimą.

– Nasz system logistyczny jest nieprzystosowany do przewozu znacznych ilości importowanego węgla – wskazuje Piotr Maciążek. – PKP Cargo w ostatnich latach sprzedał znaczną część węglarek, czyli wagonów do przewozu węgla, gdyż nie było na nie zapotrzebowania. Śmiem wątpić, że nasze spółki kolejowe mają możliwości, by ten węgiel rozwieźć. Poza tym porty są obciążone eksportem ukraińskiego zboża, kolej zresztą też. A przecież w tym samym momencie musimy jeszcze reorientować dostawy ropy, co także dodatkowo obciąża porty.

Bezpośrednią przyczyną obecnych problemów z dostępem do węgla jest embargo na surowiec z Rosji, które samo w sobie jest słuszne, ale zostało wprowadzone bez odpowiednich przygotowań. Wcześniej należało podjąć próbę zakontraktowania surowca z innych źródeł i dać czas importerom na sprowadzenie węgla, który już został przez nich opłacony.

– Polska jako jedyna wprowadziła embargo na rosyjski węgiel natychmiast. Wszyscy nasi sąsiedzi wdrożyli jakiś okres przejściowy, by móc stworzyć sobie zapasy – twierdzi Maciążek. – Ta decyzja była nietransparentna i wyszła od premiera bez konsultacji z Ministerstwem Klimatu. Świadczy o tym sytuacja sprzed kilku tygodni, gdy prasa [„Dziennik Gazeta Prawna" – red.] nieoczekiwanie dotarła do listu minister Moskwy z końca lutego, w którym informowała, że luka węglowa może być potężna.

Transfery zamiast inwestycji

Teoretycznie moglibyśmy sami wykopać więcej węgla spod ziemi. Premier Morawiecki wielokrotnie przecież zapewniał, że zwiększymy krajowe wydobycie. To jednak nie takie proste. W ostatnich latach nie inwestowano w nowe ściany, chodniki i maszyny.

– Nie wierzę w zapewnienia, według których mamy możliwości zwiększenia wydobycia krajowego. To nie jest sklep spożywczy, do którego przychodzi się po bułkę. Zresztą prezes Polskiej Grupy Górniczej sam przyznał dla portalu WNP.pl, że jest prezesem masy upadłościowej, a nie spółki – zauważa Piotr Maciążek. – Odchodzenie od węgla jest trendem globalnym, a górnictwo jest branżą schyłkową. Obecnie obserwujemy „babie lato" węgla, ale ono potrwa może półtora roku. Wojna w Ukrainie przyspieszy już nie tylko dekarbonizację, ale także odchodzenie od innych paliw kopalnych, w szczególności od gazu.

Przyczyną problemów z ogrzaniem domów najbliższą zimą nie będzie więc tylko brak węgla, ale przede wszystkim zbyt wolna wymiana instalacji cieplnych. Należy zapytać, dlaczego w 2022 r. wciąż kilka milionów gospodarstw domowych ogrzewa swoje domy piecami węglowymi? W Polsce jest spalane 87 proc. węgla wykorzystywanego w gospodarstwach domowych w całej UE. Ma to fatalne konsekwencje dla zdrowia Polek i Polaków, którzy co roku umierają tysiącami z powodu smogu. Jesteśmy ostatnim takim krajem w Europie.

Rząd Morawieckiego, przewidując drastyczny wzrost cen surowców energetycznych najbliższą zimą, uruchamia kolejne programy rekompensujące wyższe rachunki. Najpierw wprowadził dodatek 3 tys. zł. dla wszystkich gospodarstw domowych, które ogrzewają się kotłami węglowymi. Będzie to kosztować budżet 11,5 mld zł. Z kolei 23 sierpnia Rada Ministrów przyjęła projekt analogicznych dodatków dla właścicieli domów opalanych piecami spalającymi inne surowce – gaz, pellet i olej opałowy. Wysokość dodatku zależeć będzie od rodzaju surowca. Programem tym zostaną też pośrednio objęte gospodarstwa domowe podpięte do sieci ciepłowniczych. Zablokowanie wzrostu taryf za ciepło na poziomie maksymalnie 40 proc. – czyli i tak wysokim – zostanie zrekompensowane producentom z budżetu. Koszt tego programu będzie jeszcze wyższy niż dodatek węglowy i wyniesie prawie 14 mld zł.

– Nierozsądne jest to, że nie ma żadnego kryterium dochodowego. Wesprzeć trzeba najbiedniejszych, a nie wszystkich, żebyśmy nie mieli za chwilę jeszcze wyższej inflacji – wskazuje Piotr Maciążek. – Można by wykorzystać resztę tych pieniędzy inaczej, np. dofinansowując instalację pomp ciepła. W sposób, który proponuje rząd, przepalimy miliardy złotych na coś, co w ogóle nie jest przyszłościowe. Te dodatki zostały skonstruowane według logiki toczącej się już kampanii wyborczej.

W obecnej sytuacji pomoc dla mniej zarabiających jest bez wątpienia potrzebna. Jednak objęcie wsparciem od państwa właściwie wszystkich zaczyna przypominać desperację. Rządzący najwyraźniej pogodzili się z faktem, że nadchodzącą zimą czekają nas drastyczne wzrosty cen energii, i próbują jedynie, za wszelką cenę, ograniczyć straty wyborców. To nieszczęście w nieszczęściu, że największy od dekad kryzys energetyczny dopadnie nas niecały rok przed wyborami.

© PIOTR WÓJCIK

„TP" 32 / 2022

Bez nas cię nie ma

Czytając artykuł Tomasza Terlikowskiego „Kościelna sauna" (**powszech.net/sauna**) przypomniałem sobie dwie ważne sytuacje z mojego życia, którymi chciałbym się podzielić. Byłem w połowie moich studiów w jednym z zakonnych seminariów. Przeżywałem głęboki bunt wobec obrazu Boga, który we mnie żył, oraz struktur zakonnych, w których tkwiłem. Miałem nad sobą dwóch przełożonych. Jeden z nich zachował się naprawdę mądrze. Wspierał mnie w szukaniu prawdy o mnie, wysłuchał, nie zatrzymywał. Drugi – odwrotnie. „Tyle tutaj otrzymałeś i teraz tak łatwo chcesz to wszystko zostawić i odejść?" – pytał. Jeszcze inna rozmowa odbyła się dwa lata po moich święceniach. Chciałem odejść z zakonu. Mój ordynariusz zapytał ironicznie: „A co ty będziesz robił? Z czego się utrzymasz?". W artykule red. Terlikowskiego jest mowa o seminariach, które uczą „lojalności wobec kasty". Te dwie rozmowy potwierdzają tę tezę. Były dla mnie komunikatami: „Jesteś nam coś winien"; „Bez nas cię nie ma". TYMOTEUSZ

Czuję się oszukana

Tomasz Terlikowski coraz dobitniej zgłasza potrzebę dogłębnej analizy przyczyn odkrywanych przez media skandalicznych zdarzeń, w których w rolach głównych występują księża mocno ustawieni w hierarchii Kościoła katolickiego. Popieram mocno tę postawę jako przedstawicielka tzw. szaraczków. Nie tylko młodzi przestają chodzić do kościoła. Jestem po siedemdziesiątce i trzy lata temu wyszłam z kościoła podczas kazania, gdyż mój proboszcz w Środę Popielcową odniósł się do newsów dotyczących przestępstw pedofilskich w Kościele katolickim, uznając te newsy za dzieło Szatana. Nie zachwiało to w najmniejszym stopniu moją wiarą, ale czuję się oszukana przez mój Kościół, którego misją jest przybliżanie Jezusa. Nie godzę się ze stwierdzeniami niektórych teologów, że jedynie Kościół ma zdolność pośrednictwa między Bogiem a człowiekiem. Swoim dzieciom powiedziałam już, że życzę sobie pogrzebu świeckiego, pomimo że czuję się katoliczką i kocham Jezusa nade wszystko. BARBARA

List otwarty: O. Wiśniewski do prezesa Kaczyńskiego

Jestem już, jak Pan wie, starym człowiekiem i nie przypuszczałem, że przyjdzie mi jeszcze raz zabrać głos w sprawach publicznych. Dzisiaj, a więc 15 sierpnia, kiedy piszę ten tekst, Kościół obchodzi wielką uroczystość, a Polska święci Dzień Wolności i Niepodległości. Wczoraj wieczorem wysłuchałem z wielkim wzruszeniem koncertu religijnego „Abba Ojcze" nadawanego przez TVP1. Ale pół godziny wcześniej wysłuchałem Wiadomości nadawanych przez tę samą stację, w których – jak codziennie od wielu dni – „lały się" półprawdy i jawne kłamstwa, pomówienia konkurentów politycznych o działanie na szkodę Polski, zohydzanie Unii Europejskiej i najbliższego naszego sąsiada usytuowanego po drugiej stronie Odry. Drogi Panie Prezesie, przypominam sobie spotkanie sprzed lat, na którym był obecny – jeśli się nie mylę – także Pan, a podczas którego stwierdziliśmy, że fałsz, jakim karmiła ludzi władza komunistyczna, to była zbrodnia na Duszy Narodu. Mówiliśmy wtedy, że w Polsce, jaką zbudujemy, będziemy wyczuleni na prawdę i sprawiedliwość; że w „naszej Polsce" będzie szanowany każdy człowiek, także o odmiennych poglądach. I oto w wymarzonej, wolnej Polsce publiczna telewizja kierowana przez Jacka Kurskiego oskarża politycznych konkurentów o największe zbrodnie, o świadome niszczenie Polski, o świadome niszczenie polskiej rodziny i polskiej kultury, o plan zniszczenia Kościoła, o realizowanie interesów nie Polski, ale obcych mocarstw itd. To wszystko TVP czyni – co szczególnie bolesne – z odwoływaniem do Ewangelii i ubieraniem niegodziwości w szaty religijne. To jest zatruwanie Duszy Narodu! Nad tym nie można przejść do porządku dziennego! Tu nie można być obojętnym! Panie Prezesie, skoro zdecydowałem się na ten list, to nie mogę pominąć jeszcze jednego wątku. Pan osobiście dolewa oliwy do ognia. Czynił Pan to wielokrotnie, ale wspomnę jedynie Pańskie słowa z niedawnego wywiadu zamieszczonego w tygodniku „Sieci". Powiedział Pan: „Tusk zdecydował się już na skrajną brutalizację, wręcz animalizację życia publicznego. Wpisuję to w pewną tradycję! Nasi wrogowie zawsze chcieli Polski prymitywnej, wulgarnej, odrzucającej kulturę. To właśnie buduje Tusk na obce zamówienie". Muszę się Panu przyznać, że Pańskie wypowiedzi sprawiają mi często ból, niemal fizyczny. Ale, jak dotąd, nie straciłem wiary w to, że Pan naprawdę pragnie dobra dla Polski i Polaków. Dlatego piszę ten list. Jestem przekonany, że jedynie Pan może ukrócić tę straszną dewastację, która dokonuje się na naszych oczach. I o to z ufnością proszę.
LUDWIK M. WIŚNIEWSKI OP

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Tarnobrzegu I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 715/21 toczy się postępowanie z wniosku Romana Walskiego z uczestnictwem Franciszka Walskiego, Bronisława Wolak, Marii Wolak o stwierdzenie nabycia spadku po Katarzynie Kosior zd. Konias, c. Pawła i Marii, zm. 6 lutego 1946 r. w Stalach, ostatnio stale zamieszkałej w Stalach.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

DOROTA

Masłowska:
Mała śmierć

Przedostatnia niedziela wakacji. Wędrówki ludów; GPS kieruje nas do domu przez Szczecin i Poznań. Martwe ryby płyną rzekami żałobnie jak ostateczna mafijna groźba. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić; już ładnych parę lat ludzkość jakby sama sobie grozi, sama błaga siebie o litość i opamiętanie i sama sobie odpowiada „oj tam, oj tam". Umiera i dalej żyje. Płyną więc ryby i my też ospale suniemy w gorących strumieniach aut i przyczep, i camperów, śnięci i z wydętymi od wakacyjnej diety brzuchami.

Dzień jest blady, senny i gorący. Stacje benzynowe jak nadepnięte mrowiska. Pracownicy nie nadążają ze skręcaniem bułek i parówek w hot dogi, z zawijaniem w te sreberka. Drzwi toalet trzaskają, suszarki do rąk suszą. Kasy kasują. Syczą ekspresy z kawą, wymęczone pieski chłepczą wodę, palacze puszczają grzyby atomowe dymów, terminale drukują paragony grozy. Czuję się częścią subkultury „Polacy wracający z urlopu". Łączą nas ubrania w stylu „wszystko inne w praniu" i opalenizna typu „zasnąłem przecież tylko na chwilę". Niektórzy zrumienieni na suchej patelni, inni usmażeni w głębokim tłuszczu. Nierzadko na skarmelizowanym korpusie osadzona jest twarz mineralnie blada, lśniąca nadprzyrodzonym blaskiem wysokich filtrów. Pachnie kremem przeciwsłonecznym, spalinami, rozgrzanym wnętrzem samochodu. Nim zza garbu łódzkiego wyłonią się warszawskie wieżowce jak srebrne kolumny jakiegoś wielkiego soundsystemu, w głowie jeszcze huczy od RMF Maxxx, cymbergajów i piekielnych pogłosów dyskotek. Oczy ciągle oślepione, ciągle nie mogą pomieścić ogromu nadmorskich atrakcji, neonów, perseid i wesołych miasteczek.

Przez ostatnie dni z O. objechałyśmy ich kilka; wesołych czy też niewesołych, tego ciągle nie jestem pewna. Ale widziałam szczęśliwych ludzi, ludzi-dzieci. Ludzi płynących pirackim statkiem i bawiących się meduzami, kokoszących się na brzegach jak morskie słonie. Ludzi w uniwersalnym międzynarodowym geście ochlapywania się frużeliną z gofra i picia napoju gazowanego 2,5 litra z butelki. Widziałam przed Lewiatanem dziewczynę trzymającą coś w dłoni i czekającą czujnie, aż przejdę. Zdawało się, że zaraz zrobi coś potwornego, wyjmie doniczkę i wyhoduje marihuanę. Ale zza pleców usłyszałam tylko gwałtowny, mokry, zmysłowy szmer – to była bita śmietana, którą wsprejowała sobie prosto do gardła.

Rozkoszny orgiastyczny vibe nadmorskich wakacji udzielił się nam szybko. To spożywcze i zmysłowe Las Vegas: ani się nie obejrzysz, a już zagryzasz gluten cukrem, tłuszcze trans – fantą, bitą śmietanę – fryturą, a potem widzisz, jakby trochę z zewnątrz, samą siebie, jak wsiadasz na karuzelę.

Piszę „ty", ale tak naprawdę chodzi o mnie. Wagoniki rzęziły i klekotały, ponury ambient starej maszyny przypomniał mi o ulotnej naturze ludzkiego istnienia. Słysząc, jak żelazna sztaba zabezpieczająca zatrzaskuje się na moim brzuchu, ogarnięta nagłym przerażeniem spytałam starszego pana, który sprawdzał wagonik, czy na tym kiedyś jeździł. Ale ten stary wilk nadmorski zbył mnie poczciwie, że „ kiedyś", i żebym tylko „mocno trzymała się rączkami". Niby tajny znak od życia pod szadzią siwych włosów na jego przedramieniu zobaczyłam splątane z bliznami tatuaże wykonane przed laty w nierenomowanym studiu Manowce Losu albo Błędy Młodości. Zaklęta przez niego słowem „rączki" w dziecko, bez szemrania przystąpiłam do bawienia się.

Ściągnięta z Niemiec kupa żelastwa zbiera się w sobie i rusza. Wiatr szybko zdziera mi uśmiech jak słabo przyklejoną nalepkę. W głośnikach Scooter, w przełyku lód świderek, w oczach śmierć. Coś jak przykry, niechciany orgazm. Bałtyk zbliża się, przekręca do góry nogami, a potem oddala. Toksyczny dance staje się bardzo głośny, ale cyklicznie zanika i słychać tylko złowieszczy techniczny pomruk, z tych, jakie pojawiają się w filmach, kiedy ma zdarzyć się coś złego, ale dopiero za chwilę. Zamiast śmiać się w głos, cichnę i tężeję. Zamiast błyszczeć, gasnę. Pęd powietrza sprawia, że skóra na mojej twarzy zastyga w straszną skórzaną maskę i cichutko furgocze. Słyszę radosne piski dzieci i sama też próbuję trochę piszczeć, ale raczej wertuję w pośpiechu całe swoje życie. Myślę o tym, że nie napisałam testamentu; kot ma w misce bardzo mało bobków, a musi mu wystarczyć na całą wieczność, kiedy ja nie będę istnieć. Gdy w końcu wszystko zwalnia i widać, że przejażdżka zmierza ku końcowi, ogarnia mnie straszna melancholia niezabawnej zabawy. Patrzę na swoje „rączki" zaciśnięte paranoicznie na metalowym drągu; są czerwono-niebieskie, oplecione luźno żyłami. Próba zakradnięcia się do księstwa dzieci, nawet niestrzeżonego i bez żadnej selekcji, okazuje się połowicznie udana. Jest mi smutno, a O. boli głowa. Zostajemy zdemaskowane jako dorosłe i dożywotnio pozbawione prawa do bycia dziećmi. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 757/21 toczy się postępowanie z wniosku Janusza Krokosz o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na jego rzecz własności nieruchomości składającej się z działki ewid. nr: 1580 o pow. 0,46 ha, położonej w Jasieniu gm. Brzesko.
Wymieniona działka odpowiada p. grt. 479/8, 482/2, 485/4 i 485/5 powstałym z podziału parcel katastralnych ujawnionych w księgach wieczystych:
Nr TR1 B/00012547/2 i Nr TR1 B/00012548/9, w których jako współwłaściciele wpisani są: Agnieszka Biel, Marja Rogowska, Józef Biel, Andrzej Biel, Zofia Ponikwa, Jan Biel i Agnieszka z Jędryków Bilowa oraz Nr TR1 B/00001111/7, w której jako właściciel wpisany jest Jan Biel. W ewidencji gruntów jako osobę władającą wskazano Zofię Biel.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione.

WIARA

NIEŚWIĘTA WOJNA PATRIARCHY

Czy wsparcie przez Cyryla wojny z Ukrainą sprawi, że Rosyjska Cerkiew Prawosławna utraci powiązaną z nią kanonicznie Ukraińską Cerkiew Prawosławną Patriarchatu Moskiewskiego?

ANNA ŁABUSZEWSKA

Pół roku temu Rosja napadła na Ukrainę. Patriarcha Moskwy i całej Rusi Cyryl nie tylko nie potępił agresji, ale w swoich kazaniach wspiera rosyjską armię i politykę Putina. Cerkiew czasu agresywnej wojny pozostaje pod przywództwem Cyryla filarem władzy świeckiej.

Ikona dla generała

W pierwszych po wybuchu wojny kazaniach i wypowiedziach patriarcha Cyryl posługiwał się aparatem pojęciowym, a czasem wręcz cytatami z oficjalnej narracji Kremla wobec Ukrainy i wojny. „My z nikim nie chcemy walczyć. Rosja nigdy na nikogo nie napadała, a jedynie broniła swych rubieży. Daj Boże, aby i nadal nasza ojczyzna była właśnie taka – silna, potężna i kochana przez Boga" („Rosja nigdy na nikogo nie napadała" to cytat z wypowiedzi ministra spraw zagranicznych Siergieja Ławrowa, wielokrotnie potem

SERGEI SUPINSKY / AFP / EAST NEWS

powtarzany w różnych konfiguracjach przez członków rosyjskich władz).

W kolejnym kazaniu zwierzchnik Moskiewskiego Patriarchatu powtórzył jedną z ulubionych tez Putina, że w Rosji i Ukrainie mieszkają dwa bratnie narody, które *de facto* są jednym narodem. Ta teza nie po raz pierwszy została przywołana przez Cyryla, jest ona bowiem w pełni zgodna z realizowaną przez niego przez wiele lat koncepcją „russkiego miru" – wspólnej przestrzeni cywilizacyjnej słowiańskich narodów prawosławnych. Do tego zagadnienia jeszcze wrócimy.

W swoich kazaniach patriarcha wskazywał też na źródło zła. Nie, nie był to w jego ujęciu Kreml, który pogwałcił prawo międzynarodowe i rozpoczął niesprowokowaną agresję na sąsiednie państwo ani też armia rosyjska dopuszczająca się zbrodni na ukraińskich cywilach, o tym hierarcha nie wspominał. Owo zło to „antyrosyjskie siły", które próbują narzucić prawosławnym obce wartości. Zdaniem patriarchy „operacja specjalna" zaczęła się dlatego, że ludność Donbasu była zmuszana do udziału w „gej-paradach". W kolejnych tygodniach kilkakrotnie Cyryl wzywał do zjednoczenia się wokół władz w słusznej sprawie obrony przed wrogami wewnętrznymi i zewnętrznymi.

Badacz prawosławia Nikołaj Mitrochin, od lat pracujący w Bremie, w wywiadzie dla estońskiego „Postimeesa" zwraca uwagę na ostrożną pozycję patriarchy: „Cyryl zachowuje się powściągliwie, w wystąpieniach nigdy nie użył słów »wojna« czy »operacja specjalna«, ani słowa »Ukraina«. Prowadzi rozważną proputinowską propagandę, mając też z tyłu głowy to, że w Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej istnieje faszyzujące skrzydło. To ci duchowni, którzy otwarcie wzywają do wojny".

Czy jednak za takie „powściągliwe umiarkowanie" można uznać akt przekazania ikony w ręce generała Wiktora Zołotowa? Zołotow jest szefem RosGwardii (specjalna formacja powołana w ostatnich latach do tłumienia protestów i obrony władzy) i jednym z najbliższych współpracowników Putina. Cyryl wręczył mu święty obraz przedstawiający Bogurodzicę w Soborze Chrystusa Zbawiciela w Moskwie (najważniejszej świątyni rosyjskiego prawosławia) ze słowami: „Niech ta ikona będzie natchnieniem dla młodych członków RosGwardii, którzy składają przysięgę, wstępując na drogę obrony ojczyzny". Zołotow zapewnił, że jego podwładni w ramach „operacji specjalnej" w Ukrainie ramię w ramię ↦

Duchowni i wierni Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi Patriarchatu Moskiewskiego oczekują w Ławrze Peczerskiej na wybór nowego patriarchy (został nim metropolita Onufry). Kijów, 13 sierpnia 2014 r.

↦ z armią wykonają powierzone im zadania, a ikona będzie ich chronić i przyspieszy zwycięstwo.

Już wkrótce miało się okazać, że pobłogosławieni funkcjonariusze RosGwardii dokonali zbrodni w Buczy i innych ukraińskich miejscowościach.

Postawić przed trybunałem

Wrócę do ważnego motywu „russkiego miru" jako motoru działania Cerkwi Cyryla. Jak pisałam w artykule „Nie-Boży pomazaniec" („TP" 11/2022, czytaj na powszech.net/nie-bozy), teologiczna koncepcja „terytorium kanonicznego" – naturalnej strefy wpływów Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej na terenach „jednej Rusi", czyli Rosji, Ukrainy i Białorusi – współgra z lansowanym przez Kreml projektem „russkiego miru" (ruskiego świata), obejmującego te same ziemie „ruskie", będące naturalną strefą politycznych wpływów Moskwy.

Uderzenie na Ukrainę w lutym tego roku i próba zatrzymania jej siłą w ramach „russkiego miru" są szczytowym wykwitem wielkomocarstwowego myślenia Kremla. Cyryl pozostaje wierny założeniom koncepcji nierozerwalnych więzi łączących Rosję i Ukrainę.

Tej postawy nie podziela jednak wielu duchownych i wiernych Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego (UCP PM), ciągle – ale jak długo jeszcze? – największej struktury cerkiewnej Ukrainy.

Zdarzają się tam nawet bunty. Za taki można uznać inicjatywę duchownych UCP PM, którzy wystosowali list do głów Cerkwi lokalnych w sprawie postawienia patriarchy Cyryla przed cerkiewnym trybunałem: Soborem Biskupów Starożytnych Kościołów Wschodnich. Powodem miałaby być pozycja zwierzchnika Patriarchatu Moskiewskiego wobec rosyjskiej inwazji na Ukrainę i jego przywiązanie do idei „russkiego miru". Zdaniem autorów wezwania, Cyryl nadal propaguje w kazaniach doktrynę, która jest niezgodna z nauką Cerkwi i powinna zostać uznana za herezję, ponadto błogosławi działania rosyjskiej armii, co nazwano „zbrodnią moralną": „Patriarcha Cyryl nazywał wiernych z Ukrainy swoją trzodą, za którą ponosi odpowiedzialność, a dziś błogosławi to, że rosyjskie wojska fizycznie unicestwiają ową trzodę".

Inicjatywa zebrała około czterystu podpisów i zniknęła z porządku dnia. Dużo poważniejsze konsekwencje może mieć to, co nastąpiło pod koniec maja na soborze UCP PM, zwołanym przez patriarchę Onufrego (zwierzchnik UCP PM już w lutym ostro potępił wkroczenie Rosji do Ukrainy i wielokrotnie krytykował Cyryla).

> Ukraińscy prawosławni zależni od Moskwy, **próbują się od tej zależności uwolnić.** Ale w taki sposób, by nie narazić się na zarzut schizmy.

Na soborze wniesione zostały zmiany do statutu, które oznaczają *de facto*, choć nie *de iure*, oddzielenie się UCP PM od zwierzchnictwa Patriarchatu Moskiewskiego.

Osobno, ale jednak razem

Sobór podjął decyzję „o samodzielności i niezależności UCP PM od Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Sobór potępił wojnę, widząc w niej naruszenie przykazania Bożego »nie zabijaj« i wyraził współczucie wobec tych, którzy ucierpieli na skutek wojny. Sobór zwrócił się też do świeckich władz Federacji Rosyjskiej z prośbą o kontynuowanie rozmów pokojowych".

Ogłoszenie samodzielności nie oznacza jednak zerwania. Ukraińscy duchowni w UCP PM podkreślali, że ich Cerkiew jest w pełni niezależna od trzydziestu lat, a przyjęte dokumenty jedynie usankcjonowały stan faktyczny.

Jak widać, stanowisko soboru okazało się nader ostrożne. Bo choć ukraińscy duchowni wyrazili niezgodę wobec zachowania Cyryla w sprawie konfliktu w Ukrainie, to nie potępili go ani nie wykreślili jego imienia z listy tych, za których się modlą. Pozostawili kwestię wspominania imienia Cyryla w modlitwach do decyzji poszczególnych eparchii.

Hierarchowie UCP PM szukają rozwiązania, które z jednej strony pozwoliłoby im uwolnić się spod zwierzchnictwa Moskwy, a z drugiej umożliwiło pozostanie w strukturze światowego prawosławia bez narażania się na wykluczenie, anatemy i zarzuty herezji czy tworzenia nielegalnych struktur itd. – co trzydzieści lat temu było udziałem Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Kijowskiego, niemającej statusu Cerkwi kanonicznej, czyli uznanej przez resztę prawosławnych Cerkwi.

Podczas soboru nie padło hasło zapewnienia sobie autokefalii. Co więcej, UCP PM podkreśliła swój dystans wobec autokefalicznej Prawosławnej Cerkwi Ukrainy (PCU), działającej od 2018 r. na podstawie tomosu przyznanego przez patriarchę Konstantynopola (tej Cerkwi nie uznaje za kanoniczną nie tylko Patriarchat Moskwy, ale jeszcze kilka innych lokalnych Cerkwi). PCU jednoznacznie potępia inwazję Rosji i zbrodnie dokonywane przez Rosjan na Ukraińcach, mocno wspiera władze ukraińskie w walce z najeźdźcą. Od początku wojny nastąpiły znaczące ruchy tektoniczne – do PCU przeszło ponad czterysta parafii należących do UCP MP. Czy ostrożne stanowisko duchowieństwa UCP MP powstrzyma ten proces?

Rosyjska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego nie bawi się w delikatne zabiegi. 7 czerwca synod Cerkwi dokonał aneksji Krymu – przejął krymskie eparchie Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej. Zostały one podporządkowane bezpośrednio patriarsze Cyrylowi. Aneksja cerkiewna zrównała się z aneksją świecką.

Straty, kadry i sankcje

Od rosyjskich ostrzałów giną nie tylko ludzie. W samym obwodzie donieckim Rosjanie zniszczyli ponad czterdzieści świątyń, w tym także te należące do UCP PM. Nie oszczędzili nawet jednego z najświętszych sanktuariów prawosławia: 5 czerwca spłonęła Pustelnia Wszystkich Świętych Ławry Świętogórskiej. Część mnichów zginęła, inni zostali ranni. Obserwatorzy wychwycili, że patriarcha Cyryl nie wspomniał o tych ofiarach i nie wezwał do modlitwy za zabitych duchownych z ławry, modli się natomiast za zabitych kapelanów Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Taka dziwna selekcja.

Oficjalnie Cerkiew i sam patriarcha zajmują się niesieniem pomocy dla uchodźców z Ukrainy, którzy znaleźli się w Rosji. Duchowieństwo prawosławne stara się dystansować od wydarzeń na froncie. Antywojenne wystąpienia należą do rzadkości. Głośna była sprawa Ioanna Burdina z eparchii kostromskiej, który przed liturgią w cerkwi wypowiedział się przeciwko wojnie. Ktoś z wiernych doniósł o tym na policję. Sporządzono protokół,

Burdin został uznany za winnego „dyskredytacji armii rosyjskiej" i skazany na grzywnę w wysokości 35 tys. rubli. Duchowni, którzy na samym początku inwazji zbierali podpisy pod apelem o powstrzymanie wojny, umilkli. Pojawiła się natomiast sugestia, że ich inicjatywa była sterowana i kontrolowana przez hierarchię. Sprawę wyciszono.

Jak zauważa dziennikarka specjalizująca się w tematyce cerkiewnej Swietłana Sołodownik, postawa Cerkwi wynika z tego, że „posłusznie płynie ona w głównym nurcie postanowień Kremla i nie odchyla się od wyznaczonej linii dosłownie na jotę. I nie jest to kwestia ostatnich dni, a wielu lat, kiedy to Cerkiew wybrała określoną manierę zachowania wobec ważnych spraw społecznych".

Hierarchia Patriarchatu Moskiewskiego żyje własnym życiem, choć wpływ wydarzeń na scenie politycznej jest zauważalny. Odszedł ze stanowiska metropolita Hilarion, „minister spraw zagranicznych" Patriarchatu. Dobrze się zapowiadał, mówiło się nawet, że będzie następcą Cyryla. Miał doświadczenie pracy za granicą, znał się na zachodniej muzyce, sam komponował.

Jak napisał na Telegramie politolog Iwan Prieobrażenski, Hilarion „w ostatnim czasie wystąpił jako radykał, a nie dyplomata. Przyczynił się do pogorszenia i tak kiepskich stosunków z patriarchą Konstantynopola, potem obraził UCP PM za ogłoszenie samodzielności od Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Z drugiej strony chodzą słuchy, że to właśnie Hilarion pomógł za pośrednictwem władz Węgier wykluczyć patriarchę Cyryla z szóstego pakietu sankcji UE. W świetle tych plotek nie wydaje się przypadkiem, że Hilarion zostanie głową eparchii budapeszteńsko-węgierskiej, metropolitą Budapesztu i Węgier. Człowiek Kremla i Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej w UE przy węgierskim premierze Viktorze Orbánie, realny ambasador Rosji".

Sankcje wobec patriarchy Cyryla były przez pewien czas bardzo ważnym tematem wałkowanym w rosyjskich mediach, oficjalni komentatorzy podkreślali, że to krok bez precedensu, aby osobę duchowną karać w taki sposób. Ostatecznie we wspomnianym szóstym pakiecie sankcji UE jego nazwisko się faktycznie nie znalazło. Ale Wielka Brytania umieściła Władimira Gundiajewa (tak brzmi świeckie imię i nazwisko patriarchy) na swojej liście sankcyjnej. Hierarcha nie może wjechać na terytorium Wielkiej Brytanii, zostaną też zamrożone jego aktywa. W uzasadnieniu decyzji podkreślono, że patriarcha wielokrotnie w swoich wypowiedziach popierał agresywną politykę Putina.

Świątynia przyszłej wojny

Jednym z zarzutów krytyków wobec patriarchy było też sprawowanie liturgii w Głównej Katedrze Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej – mrocznej budowli zbudowanej niedawno pod Moskwą. Kontrowersje wokół świątyni powstały już podczas budowy. Za zgodą biskupa artysta wykonujący zdobienie ścian cerkwi umieścił w centrum wielkiej historycznej mozaiki wizerunki Putina, ministra obrony Siergieja Szojgu i przewodniczącej Rady Federacji Walentiny Matwijenko. Mozaika była związana z przyłączeniem Krymu do Rosji w 2014 r., dlatego – jak twierdził biskup – obecność w kompozycji najważniejszych osób w państwie była w pełni uzasadniona. Według relacji rzecznika Kremla, Putin nie zaakceptował koncepcji dzieła, w ciągu kilku dni zostało ono zatem pozbawione oblicza prezydenta i innych notabli.

Kolejnym skandalem było umieszczenie na mozaice pod tytułem „Parada Zwycięstwa" wizerunku Józefa Stalina. Wybuchła zacięta dyskusja, zarówno w samej Cerkwi, jak i w armii. Jedni podkreślali zasługi Stalina dla odrodzenia religii w czasie wojny, inni – dla zwycięstwa nad Niemcami. Ostatecznie mozaikę przeniesiono do muzeum obok świątyni.

Nie tylko mozaiki wzbudziły emocje. „Świątynia nie jest obiektem sakralnym, należącym do Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, to pomnik odsłonięty z okazji 75-lecia zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyźnianej, próba przedstawienia ideologii państwowej językiem sztuki cerkiewnej" – pisał portal Colta.ru. Krytycy wskazywali nie tylko na bliskie związki Cerkwi i państwa wpisane w los katedry, ale zastanawiali się nad tym, czemu wnętrze jest ciemne. Niektórym nasuwało to skojarzenia z satanizmem. W sieci pojawiły się nawet wiadomości (potem zdementowane), że jedno z malowideł przedstawia rakietę „Satana", co miało podkreślać ukryte prawdziwe przeznaczenie budowli dla tajemnych pogańskich rytuałów. Wyrażano też wątpliwości, dlaczego w katedrze umieszczono rzeczy należące do Adolfa Hitlera. Czy to relikwie? Dlaczego patriarcha, wyświęcając świątynię, również i te rzeczy poświęcił? Czy to prawosławna świątynia, czy świątynia Hitlera?

W poprawnej politycznie gazecie „Kommiersant" w listopadzie 2020 r. ukazała się publikacja poświęcona wojskowej katedrze. Nosiła ona tytuł „Świątynia przyszłej wojny".

© ANNA ŁABUSZEWSKA

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 143/20 toczy się postępowanie z wniosku Spółdzielni Mieszkaniowej w Ząbkowicach Śląskich o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłym Czesławie Piotrowskim, urodzonym dnia 13 stycznia 1951 r., synu Jana i Anny, zmarłym dnia 5 maja 2018 r. w Kłodzku, ostatnio zamieszkałym w Ziębicach.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Czesławie Piotrowskim, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 215/21 toczy się postępowanie z wniosku Banku Spółdzielczego w Ząbkowicach Śląskich o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłej Ewie Pełka (rodowe Piwińska) urodzonej dnia 1 stycznia 1955 r., córce Józefa i Anny, zmarłej dnia 23 listopada 2019 r. w Ząbkowicach Śląskich, ostatnio zamieszkałej w Ząbkowicach Śląskich.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Ewie Pełka, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Wbite do głowy

JAN RYBICKI

Imam Janusz Aleksandrowicz przyznaje, że „czysto" tatarskich ślubów jest coraz mniej. Ich wspólnota za bardzo się skurczyła, a powiązania rodzinne psują plany matrymonialne. Żadne bale tego nie zmienią.

Dwójka chłopców szła wiejską, brukowaną drogą.

– Tatar! Tatar! – krzyknął jeden z nich do bawiącego się na podwórku Bronka. Żaden z ich trójki nie chodził jeszcze do szkoły.

– Sam jesteś Tatar! – odkrzyknął skośnooki Bronek. Nie wiedział, co to znaczy, ale miał przeczucie, że nic dobrego.

Dopiero wtedy rodzice i starsi bracia wytłumaczyli mu, że rzeczywiście jest Tatarem, tak jak oni.

– Żebyś nie poszedł teraz i jakiegoś przezwiska mu nie wymyślił – upomniała go mama.

Kiedy Bronek szedł do szkoły, wiedział już, że w prostej linii pochodzi od pułkownika Samuela Krzeczowskiego, któremu król Sobieski nadał ziemię w ich wiosce, Kruszynianach, że jego przodkowie bili się za Polskę w chorągwiach tatarskich, że jego ojciec walczył z Niemcami, i że może być ze swojego pochodzenia dumny.

Czuł jednocześnie, że w klasie lepiej się nie wychylać i nie następować nikomu na odcisk, bo wtedy koledzy będą go znów nazywać „Tatarem" – i wcale nie będą mieli na myśli zasług jego rodziny. W klasie był jedynym „z naszych". Był więc grzeczny, dawał od siebie ściągać i unikał konfliktów. Lubiano go.

Chodził z rodzicami i rodzeństwem do meczetu – niewielkiego, drewnianego, pomalowanego na zielono budynku z trzema wieżyczkami. Nie wiedział, co znaczą gardłowe, arabskie słowa wygłaszane przez imama. Powtarzał po innych gesty skłonów.

W Kruszynianach była też cerkiew – rodzina Bronka bywała w niej na ślubach i pogrzebach sąsiadów. Prawosławni też się kłaniali, choć nie tak nisko jak muzułmanie, i słuchali niezrozumiałych dla siebie słów w języku starocerkiewnosłowiańskim. Katolicy jeździli się modlić do pobliskiego kościoła, gdzie ksiądz recytował stare, łacińskie modlitwy. Rodzice mówili Bronkowi, że jest jeden Bóg. Nie pytał, dlaczego oni wierzą po swojemu, a ich sąsiedzi – po swojemu. Tak było: dla Bronka oczywistość, w której nie było nic do rozumienia.

Jego rodzina była kiedyś bogata. Przed wojną mieli 68 hektarów, pochodzących jeszcze z królewskiego nadania. Mama Bronka chroniła się przed słońcem parasolką, kiedy jechała furmanką zawieźć jedzenie najemnym rolnikom. Reforma rolna po wojnie zostawiła im ochłapy.

– O, bieda u nich była – wspomina starsza kobieta, którą zagaduję na ganku. – A wie pan co, ci Tatarzy to chyba za Tuskiem są – dorzuca nagle, niepytana. Tatarskiego by nie zjadła. Kiedyś przynieśli jakieś swoje pierożki, to jej mama wyrzuciła, „dla ptaszków". Za Tatara by nie wyszła, w życiu. Są i przyjemni Tatarzy, owszem. Też ludzie. Ale trzeba uważać.

Bronisław byłby zdziwiony, gdyby to usłyszał. Żyli przecież zgodnie. Imam na święta nie wzywał do modlitwy z minaretu, zaśpiewując azan na całą wieś – robił to w środku, gdy wszyscy się zeszli. Tatarzy w niedzielę starali się nie wykonywać żadnych hałaśliwych prac, żeby nie zakłócać świętego dnia swoich sąsiadów. Pomagali sobie nawzajem przy polu. Większość z Tatarów przynajmniej goszcząc u chrześcijan nie odmawiała kawałka wieprzowiny czy kieliszka. Jeśli się kłócili z sąsiadami, to o miedzę, nie o Boga. Od katolików i prawosławnych odróżniały ich rysy twarzy i kilka dni w roku, muzułmańskie święta.

„To mnie budowało"

Zjeżdżali się wtedy goście: głównie Tatarzy z okolic, inni z daleka – z Gdańska, Gorzowa Wielkopolskiego. W niektórych domach robiło się tłoczno, dzieci spały w stodole na sianie.

Największym świętem był Kurban Bajram, święto ofiarowania. Wtedy mama Bronka od rana wałkowała ciasto na pierekaczewnik – kilka wielkich płatów, tak cienkich, że prawie przezroczystych. Zawijała je z mięsem według przepisu swojej mamy, która nauczyła się go od swojej mamy – i tak do samego początku istnienia pierekaczewnika.

Później szło się do meczetu, wszyscy w najlepszych ubraniach. Mama Bronka, na co dzień pomagająca przy gospodarstwie, stawała się znów elegancka, jak przed wojną. W świą-

MICHAŁ KOŚĆ / AGENCJA WSCHÓD / FORUM

Kurban Bajram w Kruszynianach, 9 lipca 2022 r.

tyni ścisk – z gośćmi było ich 100, 200 osób, czasem nie wszyscy mieścili się w środku.

Rodzina, która miała i chciała pokazać, że ma, stawiała ofiarne zwierzę, zazwyczaj barana. Oprowadzano je trzy razy wokół meczetu i zarzynano, by później podzielić się jego mięsem. Szło się na mizar, cmentarz, po południu długo biesiadowano. Pod wieczór albo następnego dnia goście wyjeżdżali, ale bardziej pobożni gospodarze starali się powstrzymać od prac przez kolejne trzy dni, do końca świątecznego okresu.

Bronisław wyjechał z Kruszynian do Białegostoku już po podstawówce, ale na święta, kiedy tylko się dało, wracał. Pomagał też organizować tatarskie bale, które miały być okazją do zapoznania się Tatarów i Tatarek na wydaniu.

– Bo to nieładnie było, grzech nawet, wydać córkę Tatarkę za katolika czy prawosławnego – oświadcza Stanisława, sędziwa Tatarka. O pokolenie młodszemu Bronisławowi nie przyszłoby do głowy, że to grzech. Ale złożyło się tak, że ożenił się z Tatarką.

– Pamiętaj Bronek, żebyś o meczet, mizar dbał, kiedy mnie zabraknie – powtarzał mu ojciec, przewodniczący muzułmańskiej gminy wyznaniowej w Kruszynianach. Prosił, żeby – jeśli będzie go stać – zbudował swój dom na kawałku ziemi, którą król nadał rodzinie, i związał ją znowu z nazwiskiem ich rodu – Talkowskich. Chłopak nie złościł się o te napomnienia ojca.

– Nigdy nie miałem jakiegoś buntu, zawsze byłem świadom swojego pochodzenia – mówi teraz 70-letni Bronisław. Był dumny z wkładu Tatarów w obronę dawnej Rzeczypospolitej. Ze swojego ojca – że kiedy otrzymał kartę mobilizacyjną w 1939 r., mimo że miał młodą żonę i dwójkę dzieci, poszedł na wojnę. I z tego, że później wrócił do kraju, chociaż miał możliwość wyjechać z rodziną za ocean.

– Tutaj była jego ziemia, korzenie. I to mnie budowało, że to jest dobrze – mówi.

Wyprawa po wiedzę

– Gdyby nie nasza religia, islam, to już dawno zatracilibyśmy świadomość swojej odrębności – mówi Talkowski.

Przez stulecia Tatarzy stanowili większość środowiska muzułmańskiego w Polsce. Zaczęło się to zmieniać w latach 70., kiedy do Polski przyjeżdżali na stypendia pierwsi studenci z krajów arabskich.

Byli ratunkiem dla środowiska Tatarów. O problemie mówiło się w ich środowisku od dawna – nie ma komu uczyć dzieci islamu. Kiedy Bronisław był jeszcze chłopcem, w Kruszynianach był imam, Ali Bajraszewski. Odprawiał świąteczne modlitwy, prowadził ceremonie nadania dziecku imienia, udzielał ślubów, odprawiał pogrzeby i uczył religii. Po jego śmierci do Kruszynian imam już tylko przyjeżdżał.

Tatarskich imamów w latach 80. było kilku. Jeśli kiedyś znali język arabski, to już dawno zdążyli go zapomnieć – umieli odczytać wersy Koranu, ale już ich nie rozumieli. Gdy nie byli pewni, jak przeprowadzić daną modlitwę, nie mieli kogo zapytać. Trzeba by pojechać za granicę, zaczerpnąć wiedzy u źródeł, na południu. W PRL-u zadanie równie niewykonalne, co pielgrzymka do Mekki.

Bronisława religii uczył jeszcze Tatar. Jego o dwadzieścia lat młodszego krewnego, Janusza Aleksandrowicza – już studenci z zagranicy, którzy przyjeżdżali do jego miasteczka na lekcje w weekend. W niewielkiej, może kilkunastoosobowej grupie były dzieci w różnym wieku, więc zadanie nie było łatwe, ale starali się. Na tyle klarownie, na ile pozwalała im ich polszczyzna, tłumaczyli tatarskim dzieciom podstawy ich wspólnej religii. To od nich Janusz dowiedział się, że należy się modlić pięć razy dziennie, wieprzowiny i alkoholu nie spożywać nie tylko podczas Ramadanu, tylko wcale, a w trakcie Ramadanu od świtu do zachodu słońca – nie jeść nic.

W wakacje organizowali kilkudniowe obozy. Chłopak pojechał z nimi w góry. Studenci grali z nastolatkami w piłkę, chodzili z nimi na spacery i opowiadali o Allahu, Mahomecie i Jezusie. Na tym obozie piętnastoletni Janusz Aleksandrowicz poczuł, że rzeczywiście jest muzułmaninem.

– Być może dlatego, że byliśmy w tym razem, wspólnie modliliśmy się pięć razy dziennie? – zastanawia się na głos. Po powrocie postanowił, że będzie podczas Ramadanu utrzymywać ścisły post i modlić się codziennie. Teraz weszło mu to w zwyczaj, choć na początku było ciężko. Kiedy koledzy jedli na przerwach kanapki, burczało mu w brzuchu. Często nie miał możliwości się pomodlić w wyznaczonym czasie i robił to dopiero wieczorem – czasem wszystkie pięć modlitw pod rząd. Wolał tak niż na widoku, na pokaz.

Gdy skończył liceum, dowiedział się od któregoś ze swoich nauczycieli religii, że pojawiła się możliwość wyjazdu do Francji, na studia prawa koranicznego. Wciąż jeszcze każdy z pięciu meczetów, w których spotykali się Tatarzy, miał swojego imama, ale byli to ludzie w wieku emerytalnym. Janusz Aleksandrowicz wiedział, że nie ma ich kto zastąpić. Uznał, że to będzie jego zadanie.

Żeby się utrzymać we Francji, pracował. Zachodnie zarobki robiły na nim wrażenie – za miesięczną, minimalną pensję mógł sobie kupić 10-letni samochód, na który w Polsce musiałby zbierać miesiącami, jeśli nie latami. Jak mówi – miał widoki na ślub z pewną Marokanką, francuski paszport i łatwiejsze niż w Polsce życie.

– Nie zapomniałem, kim jestem. Pojechałem z nastawieniem, żeby zdobyć jak najwięcej wiedzy i przekazać ją innym Tatarom – mówi.

Wrócił. Ożenił się z Tatarką.

Nasza religia

Tak jak planował, został nauczycielem religii muzułmańskiej, później pomocnikiem imama, a w końcu imamem dla mieszkańców Kruszynian – chociaż mieszka w Białymstoku. W międzyczasie ↦

↦ stosunki pomiędzy środowiskami muzułmanów-Tatarów i muzułmanów-przyjezdnych zdążyły się nieco ochłodzić.

Studenci z krajów arabskich mieli własne organizacje – Stowarzyszenie Studentów Muzułmańskich i później Muzułmańskie Stowarzyszenie Kształtowania Kulturalnego, swój meczet w wynajmowanym domu w Białymstoku. Tatarzy skupiali się w założonym jeszcze przed wojną Muzułmańskim Związku Religijnym.

– Na początku lat dwutysięcznych prowadzono rozmowy dotyczące możliwości współpracy w ramach związku – opowiada Tomasz Miśkiewicz, przewodniczący.

Najwyraźniej ich nie znaleziono – w 2003 r. powstała Liga Muzułmańska. Obecnie liczy sobie ok. 35 tys. członków i skupia głównie muzułmanów pochodzenia arabskiego i tureckiego. Do MZR jest zapisanych ok. 500 członków, w większości Tatarów – chociaż działają w jego ramach Turkowie czy Arabowie, m.in. jako imamowie.

Tomasz Miśkiewicz tłumaczy, że powstanie drugiego związku religijnego wynikało z wielu powodów – administracyjnych, politycznych, dyplomatycznych, personalnych. Być może chodziło też o to, że czasem muzułmanom z różnych środowisk trudno znaleźć wspólny język.

– Nie izolujemy się od nich, ale nie pałamy wielkimi uczuciami... – mówi Bronisław Talkowski. Uważa, że religia przyjezdnych muzułmanów ma zabarwienie wynikające raczej z kultury niż z zasad ich wspólnej religii. Niektórzy z przyjezdnych muzułmanów sądzili, że to islam Tatarów ma „zabarwienie". To rodziło napięcia.

– My po prostu jesteśmy troszkę inni – podsumowuje Talkowski, chociaż nie kwestionuje zasług studentów w kształceniu tatarskiej młodzieży.

– Tak, Arabowie uczyli tatarskiego na religii – przyznaje siwa Stefania. Ma na myśli arabski – jej przodkowie rzeczywiście posługiwali się własnym językiem, ale zapomnieli go tak dawno temu, że nawet jej prababka nie mogła go słyszeć.

– Ale po swojemu tatarskiego uczyli! – dorzuca jej syn.

– Oni wymawiają inaczej – tłumaczy kobieta. Teraz, kiedy imam się modli, to co najwyżej końcówki złapie. Modli się po swojemu, jak umie.

Nie chodzi zresztą tylko o obcokrajowców. – Teraz ci nowocześni imamowie, uczeni, to robią jakby nie naszą religię – tłumaczą. Podają przykład – pogrzeby. Kiedyś ludzie stali w rzędzie, od północnej strony. Dalej imam i od południowej strony składano ciało – a teraz wszyscy w kółeczku stoją!

– To ludzi irytowało i irytuje – przyznają.

Nie izolujemy się od nich, ale nie pałamy też wielkimi uczuciami

– mówią polscy Tatarzy o Lidze Muzułmańskiej zrzeszającej przyjezdnych muzułmanów.

Jak było, będzie

Dawno temu, jeszcze przed wojną, kiedy Stefania była dziewczynką, Jakub Szynkiewicz, religijny przywódca polskich Tatarów, zwołał zebranie imamów. Szynkiewicz miał ciemną karnację, skośne oczy i nosił podkręcanego, czarnego wąsa. Był doktorem filozofii, znał doskonale arabski i kilka innych języków bliskowschodnich, przełożył na polski fragmenty Koranu. Jeździł na Bliski Wschód, uczestniczył w obradach światowego kongresu muzułmańskiego w Egipcie.

Wyłożył tatarskim imamom powód ich zjazdu. Mówił niewątpliwie bardzo uczenie, być może z pamięci przywołując wersety z uczonych ksiąg – w każdej gminie zwyczaje pogrzebowe wyglądają inaczej. Należy to usystematyzować, zadbać o to, żeby było zgodnie z muzułmańskim prawem – oznajmił.

– Mufti, nie będziesz nas pouczał. Jak było od dawna, tak będzie dalej – powiedział jeden z przybyłych, gdy Szynkiewicz skończył przemawiać.

Za czasów Szynkiewicza Tatarów w Polsce mieszkało około 3 tys. W spisie powszechnym z 2011 r. przynależność do tej grupy etnicznej zadeklarowało niespełna 2 tys. osób. W latach 90., poza Januszem Aleksandrowiczem wyjechało kilka osób, by studiować prawo szariatu. Trójka z nich została imamami. Od tego czasu żaden z Tatarów nie poszedł w ich ślady.

Aleksandrowicz pamięta pierwsze lata, kiedy sprawował swoją funkcję. Zdarzało mu się udzielać i dwóch tatarskich ślubów miesięcznie. Ostatnia ceremonia zaślubin, której przewodniczył, odbyła się chyba trzy lat temu – sam już nawet nie pamięta. Pogrzebów za to przybywa – ma ich kilka, kilkanaście w roku.

– Może jeszcze parę lat i przyjdą dzieci osób, którym wtedy udzielałem ślubów? – mówi z nadzieją Aleksandrowicz. Przyznaje, że „czysto" tatarskich ślubów jest coraz mniej. Ich grupa za bardzo się skurczyła, powiązania rodzinne psują matrymonialne plany. Żadne bale tego nie zmienią.

Kruszyniany się jednak nie wyludniają. Domki kupują, budują Tatarzy z miast – przyjeżdżają na weekendy, na stałe. Do Kruszynian wrócił też Bronisław Talkowski. Postawił dom na kawałku ziemi nadanej kiedyś jego rodzinie przez króla i tak jak jego ojciec został wybrany przewodniczącym tutejszej muzułmańskiej gminy wyznaniowej.

Działa tu Centrum Edukacji i Kultury Muzułmańskiej Tatarów Polskich, które powstało między innymi dzięki jego wysiłkom. Od kilku lat organizuje się Sabantuj, tatarskie święto plonów, występuje istniejący od ponad 20 lat tatarski zespół wokalno-taneczny Buńczuk.

Dla Stefanii to nowinki. Dla niej bycie Tatarem nie jest o tym. Jej rodzina dwa razy podarowała na Kurban Bajram barana ofiarnego. Zwyczaj nakazywał siedmiokrotnie wziąć udział w rytualnym obmyciu ciała przed pogrzebem – ona obmywała dwanaście razy. Wychowała swoje dzieci na muzułmanów, chociaż na święta Bożego Narodzenia stawiała im choinkę, by nie czuły się gorsze. Jej prawnuk jest katolikiem – nie ma o to żalu. Chociaż ona swojej wiary by nie zmieniła.

– No więc co to jest ta tatarskość, pani zdaniem?

Patrzy na mnie oczami o intensywnej barwie.

– To jest to, co wbite do głowy – mówi.

© JAN RYBICKI

Korzystałem ze „Słownika biograficznego Tatarów polskich w XX wieku" pod red. Aleksandra Miśkiewicza (2016).

Imiona niektórych rozmówców zostały zmienione.

Wyświęcona na księdza

TOMASZ MAĆKOWIAK, DZIENNIKARZ:

Jeśli chcemy walczyć z klerykalizmem, wzorców powinniśmy szukać w czeskim Kościele podziemnym z czasów komunistycznych.

MATERIAŁY PRASOWE

Ludmila Javorová

ARTUR SPORNIAK: Po co pisać książkę o święceniach kapłańskich, skoro od początku były nieważne?

TOMASZ MAĆKOWIAK: Nie zajmuję się rozstrzyganiem, czy te święcenia były ważne – nie jestem specjalistą od prawa kanonicznego. Wiem o dwóch poważnych przeszkodach: po pierwsze, że otrzymała je kobieta – Czeszka Ludmila Javorová, 28 grudnia 1970 r. w domu rodzinnym biskupa podziemnego Kościoła Feliksa Davídka na przedmieściach Brna. Po drugie – z opisu tych święceń można nabrać wątpliwości, czy zostały one przyjęte dobrowolnie, to znaczy, czy nacisk psychiczny Davídka nie był tu decydujący.

Gdy parę lat temu po raz pierwszy usłyszałem o Javorovej, rzeczywiście od razu pomyślałem o nieważności święceń. Gdy jednak zacząłem bliżej przyglądać się jej historii, zobaczyłem, że sprawa jest skomplikowana i ciekawa.

Pisze Pan, że czytelnik wychowany w Polsce, słysząc o wyświęceniu kobiety, myśli od razu, że to jakiś „kuriozalny wybryk". Tymczasem sprawa była poważna.

Davídek był postacią nieszablonową, co nie znaczy szaloną. Był gruntownie wykształcony. To oddany Kościołowi ksiądz, a potem – biskup. Przez kilka lat pracował nad teologicznym uzasadnieniem swojego kroku, do którego przekonywał podziemne otoczenie, co mu się częściowo tylko udało. Wcześniej przez 14 latach (od 1950 do 1964 r.) doświadczył ciężkiego więzienia. Odprawiał msze leżąc w łóżku, używając łyżeczki do herbaty zamiast kielicha oraz okruchów chleba i wina zrobionego ze sfermentowanych rodzynek wydłubanych z ciasta. Po tych doświadczeniach wiedział, że Kościół w nowej sytuacji musi wyglądać zupełnie inaczej niż dotychczas – dawnej XIX-wiecznej klerykalnej struktury z drobiazgowym rytuałem i ścisłymi przepisami nie da się utrzymać.

W Czechosłowacji w owym czasie za wyjście w sutannie na ulice można było zarobić parę lat więzienia. Davídek myślał też nad tym, żeby w razie powrotu wielkiej fali prześladowań (w 1968 r. do Czechosłowacji wjechały radzieckie czołgi) uwięzione kobiety miały dostęp do sakramentów. W męskich więzieniach zwykle siedział zawsze jakiś ksiądz, który mógł rozgrzeszyć czy potajemnie sprawować mszę. Kobiety takich szans nie miały. I on tylko pod tym warunkiem – czyli na wypadek powrotu represji i uwięzienia – wyświęcił Javorovą i podobno jeszcze dwie kobiety, których nazwisk nikt nigdy nie zdradził.

W Pana książce „Byłam katolickim księdzem. Historia Ludmily Javorovej, kobiety wyświęconej w Czechach" jest przejmująca scena, w której Davídek orientuje się, że za więziennym murem znajduje się kobiecy oddział i wykrzykuje formułę rozgrzeszenia, za co oczywiście trafia do karceru.

Jedna z więźniarek po latach poświadczyła, że słyszała wykrzykiwaną po łacinie formułę rozgrzeszenia. Pan mówi, że scena jest przejmująca, ale z tego także się podśmiewano. Spotkałem w Czechach katolików, którzy traktowali tę sytuację jako kuriozum.

Dziś – zwłaszcza po pandemii – zdajemy sobie sprawę, że jest np. coś takiego, jak komunia duchowa. Czy Davídek trochę nie za bardzo magicznie traktował religię? Formuły sakramentów Boga nie ograniczają.

Bardzo mnie ciekawi, co o koncepcjach Davídka powiedzieliby dziś teologowie, a zwłaszcza teolożki. Pamiętajmy, że był kształcony przed soborem.

Jak funkcjonował podziemny Kościół?

Za komuny w Czechosłowacji Kościół poddano represjom z polskiego punktu widzenia trudnym do wyobrażenia. Życie religijne w całości zostało podporządkowane państwu. Zakony zostały ↦

↦ zlikwidowane. Wielu księży i biskupów trafiło do więzień. Choć można było być księdzem na parafii, nawet dostawało się państwową pensję, bo Kościół jako relikt przeszłości podlegał ministerstwu kultury, ale diecezjami rządzili sekretarze ds. wyznań i bez ich zgody nic nie można było zrobić. Za wspólne czytanie Pisma w akademiku szło się na parę lat do więzienia. Ostatnie przypadki mordów skrytobójczych zdarzały się jeszcze pod koniec lat 80.

Gdy pod koniec lat 40. rozpoczęły się represje, powstał problem, jak zapewnić Kościołowi przetrwanie. Wzorowano się na przywileju meksykańskim (w latach 20. XX wieku podczas rządów w Meksyku antykościelnej dyktatury Watykan pozwolił na sprawowanie obrzędów i sakramentów bez zachowania wymaganych kanonicznie form). Na podstawie tego przywileju w latach 40. w warunkach utajenia wyświęcono na biskupa m.in. ks. Františka Tomáška, który jako blisko 90-letni kardynał i prymas witał Jana Pawła II w Pradze w 1990 r. Ponieważ jednak były to warunki tajności, szybko okazało się, że nie wiadomo, kto za co odpowiada. Z powodów bezpieczeństwa nie tworzono archiwów. Od razu i właściwie wszędzie spontanicznie powstawały grupy świeckich, które próbowały żyć po chrześcijańsku. Był to jednak Kościół katakumbowy i maksymalnie niesformalizowany. Spotkałem się z mężczyzną, który prowadził grupę komunistycznych pionierów – oni wyjeżdżali na obóz do lasu w białych koszulach i czerwonych chustach z wpiętym znaczkiem Lenina, a w lesie zdejmowali chusty, mężczyzna przebierał się i odprawiał mszę, bo był tajnie wyświęconym księdzem.

W książce porównuje Pan Kościół podziemny do pierwszych wspólnot chrześcijańskich.

W Czechach katolicy żyją i zachowują się tak, że przyzwyczajonym do masowego katolicyzmu Polakom przypomina to pierwszych chrześcijan. Oni wszystko musieli robić sami. Nie tylko żadna sąsiadka ich nie chwaliła, że ładnie udekorowali ołtarz, ale najzwyczajniej mogli trafić do więzienia, bo sąsiedzi ich zakapowali. Gdy ich obserwuję, mam wrażenie, że to środowisko nabrało pewności siebie – tzn. widziało tylu skorumpowanych, kolaborujących czy złamanych księży i biskupów, że dla nich Kościół oficjalny bardzo szybko stracił nimb świętości, który w Polsce dość jeszcze mocno promieniuje.

Pesymistyczne proroctwa Davídka na szczęście się nie sprawdziły – komuna upadła. Spotkanie Kościoła podziemnego z kolaborującym Kościołem oficjalnym w warunkach wolności nie było łatwe.

W Czechach przeważa pogląd, że doświadczenie Kościoła podziemnego zostało w zasadzie odrzucone. Chodziło o to, żeby nie było dużego skandalu, więc głośnych anatem także nie było. Czesi na Polaków patrzą nieco z góry, ale instynktownie uważają nas za „swoich". Tak też postrzegali Jana Pawła II – dla nich nie był to może „nasz" papież, ale na pewno bardziej „swój" niż Włoch czy Niemiec. Zakładali, że akurat ten papież będzie ich dobrze rozumiał. Tymczasem właśnie on potraktował Kościół podziemny czysto biurokratycznie, bez cienia empatii. Dla mnie osobiście to niezmiernie przykre, wstyd mi za to.

Wciąż mówiono o porozumieniu, ale członkowie Kościoła podziemnego czuli się upokarzani. Rozmowy wyglądały mniej więcej tak: z jednej strony siedział prałat przysłany z Watykanu w nienagannej sutannie z fioletowymi guzikami, który mówił tylko po włosku, słuchał klasycznej muzyki i był smakoszem dobrych win, a z drugiej strony siedział murarz, który miał spracowane ręce, bo całe życie pracował fizycznie, ale oprócz tego przyjął tajne święcenia, czytał teologiczną literaturę i w ukryciu prowadził duszpasterstwo. I oni rozmawiali, czy jego święcenia były ważne. W końcu zdecydowano, że większość święceń należy powtórzyć.

Część się temu podporządkowała i weszła w oficjalne struktury kościelne. Część się nie podporządkowała i nadal żyje, tak jak żyli w podziemiu. Uczestniczyłem w mszach, gdzie w jakiejś salce spotyka się grupa przyjaciół, bez szat liturgicznych – w koszulach i swetrach – siadają do stołu Pańskiego i odprawiają mszę tak, jak robili to wcześniej. Jeden z wyświęconych w latach 70. żonatych tajnych księży na co dzień prowadzi firmę remontującą dachy kościołów, a podczas wakacji zastępuje proboszcza i odprawia mszę w lokalnym kościele. W kraju brakuje księży, więc biskup przymyka na to oko i tylko nie pozwala odnotowywać tych mszy w parafialnych księgach, by Watykan się nie dowiedział.

Wielu tajnie wyświęconym duchownym watykańskie potwierdzenie święceń kojarzy się z licencją na odprawianie mszy wydawaną przez komunistów. Dlatego nie zgodzili się na ich powtórzenie. Zwłaszcza jeśli z powodu tych święceń siedzieli w więzieniu. Natomiast co do święceń kobiet, to w ogóle nie mogło być o nich mowy. Na Javorovej Kościół wymusił podpisanie oświadczenia, że nie będzie z nikim o nich rozmawiać. Na szczęście Javorová nie wypełniła tej obietnicy i powstały dwie książki opowiadające jej historię.

Pisze Pan, że to niewykorzystane przez Kościół doświadczenie podziemnej religijności staje się dzisiaj coraz bardziej aktualne – „nadal leży na stole". W jakim sensie?

Gdy podczas synodu poświęconego Amazonii przeczytałem, że w jakiejś oddalonej wiosce życie religijne organizuje miejscowa liderka, która jest katechetką, a ksiądz przypływa łódką raz na dwa lata i wtedy ludzie przystępują do sakramentów, to pomyślałem: dlaczego nie zastosować doświadczeń Kościoła podziemnego z komunistycznej Czechosłowacji i nie wyświęcać „wypróbowanych świeckich"? Część wyświęconych potajemnie księży miała żony, bo byli święceni w obrządku greckokatolickim, a potem stawali się birytualistami – w ten sposób obchodzono wymóg celibatu, a jednocześnie usypiano czujność bezpieki. Skąd opory przed święceniem żonatych w Amazonii?

Prześladowania stawały się kryterium tego, co ważne w Kościele. Ważna była wspólna modlitwa, sakramenty, pogłębianie życia duchowego, prawość. Mniej ważna była sutanna, ornat, celibat... Pytanie, czy także płeć wyświęcanego.

Jestem przekonany, że to pytanie wciąż przed nami stoi.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

TOMASZ MAĆKOWIAK *jest dziennikarzem. W latach 90. praski korespondent „Gazety Wyborczej". Ostatnio wydał w wydawnictwie Znak „Byłam katolickim księdzem. Historia Ludmily Javorovej, kobiety wyświęconej w Czechach" (2022).*

ZUZANNA

Radzik:
Mapa

Spacer pamięci, marsz pamięci, upamiętnienie, opłakiwanie. Niemal dzień w dzień przez ostatni miesiąc. W tym roku dzieje się tego więcej niż kiedykolwiek, rocznicowo, bo mija 80 lat. Nie tylko jednak z powodu rocznicy, ale też dlatego, że są w miejscach, gdzie żyli polscy Żydzi, miastach i miasteczkach ludzie, którzy uważają, że pamiętać trzeba. Małe i większe stowarzyszenia, tworzone przez małżeństwo, rodzinę czy grupę przyjaciół. Rzadziej konieczność organizacji smutnej rocznicy jest jasna dla burmistrzów czy proboszczów, choć takich miejsc też jest sporo.

Czyli Polska bardziej pamięta czy nie pamięta? Rozumie, co się wydarzyło, czy nie rozumie? Chwilowo ważniejsze jest dla mnie, że mimo niesprzyjającej atmosfery politycznej, burz dyplomatycznych i niekoniecznie przychylnych kontekstów lokalnych dzieją się wydarzenia pamięci tam, gdzie działo się cierpienie. Marsze, spacery, wykłady, upamiętnienia, tablice odnawiane, pomniki nowe, wcześniej brakujące. Prawie dzień w dzień. Tak jak dzień w dzień działa się ta wielka deportacja.

To jest lato opłakiwania niewystarczająco opłakanych, bo czym innym może być ta 80. rocznica Akcji Reinhardt: zaplanowanej, systematycznej deportacji do przygotowanych na to obozów śmierci. Rocznica rozproszona na tak wiele miejsc i wiele dat, że może umknąć. Zagłada większości polskich Żydów, która miała swój rytm, falami kolejnych deportacji przychodziła do miasteczek, by w końcu zabrać wszystkich. Zaczęła się wiosną wraz z uruchomieniem obozu w Bełżcu w marcu, a w kwietniu – w Sobiborze. Potem przyspieszyła latem, wraz z deportacją z warszawskiego getta do świeżo oddanej do użytku Treblinki. Tam tylko w sierpniu zginie jakieś 300 tys. Żydów z Warszawy, i jeszcze inni z okolic. W tym samym czasie mniej więcej tyle samo osób zamordowanych zostanie w Sobiborze i Bełżcu. Sierpień 1942 r. jest ponoć najkrwawszy w kilkunastomiesięcznej kampanii zniszczenia. Jesienią tego roku dobudowano komory gazowe na Majdanku. Akcja deportacyjna skończyła się kolejnej jesieni.

Widzę krwawy rytm sierpniowych deportacji w swoim służbowym kalendarzu, pełnym zaproszeń na obchody. Układają mi w głowie geograficzne fale zniszczenia. Podkarpacie i wschodnia Małopolska już w zasadzie od połowy lipca, bo przecież w Dębicy 21 lipca były smutne obchody, potem znów w połowie sierpnia, bo Rymanów (13 sierpnia), Dukla (14 sierpnia). Potem Biecz 17 sierpnia, dzień później Limanowa, a już następnego dnia Gorlice. Mapa Zagłady. A równolegle mapa prawych ludzi, którzy pamiętają i nie dają zapomnieć innym. To nie jest lista transportów, tych było więcej. Ani lista pamięci, bo nie o wszystkim wiem. Wiesz, co wydarzyło się w 1942 r. w twojej miejscowości? A co w tym roku, w rocznicę?

Połowa sierpnia to też Mazowsze. Jak zwykle, czyli jak od dwudziestu lat, ruszył 19 sierpnia marsz pamięci w Otwocku (rozpoczęty jako oddolna inicjatywa), po nim 21 sierpnia szedł marsz z Rembertowa i Falenicy. Parę dni później, 22 sierpnia, pamiętano w Mińsku Mazowieckim.

Równolegle 21 sierpnia Warta, ale też Biegonice oraz Grybów, gdzie mieszkańcy i potomkowie spotkali się przy anonimowej masowej mogile „360 Żydów" w Białej Niżnej, oraz przy imiennym pomniku 1774 Żydów na cmentarzu żydowskim w Grybowie. Dzień później, 22 sierpnia, Mszana Dolna, gdzie też odbyło się odsłonięcie pomnika i spotkanie z potomkami. Tego samego dnia również Wieluń, Myślenice, Dobczyce.

W ostatnich dniach sierpnia fala deportacji dotknęła okolice Nowego Targu. Zatem w Nowym Sączu i Krościenku (28 sierpnia), Rabce-Zdroju (28 sierpnia – marsz pamięci zawsze w ostatnią niedzielę tego miesiąca), a także Makowie Podhalańskim (w tym roku obchody po raz pierwszy). I to wcale nie koniec. We wrześniu w Brzesku (11 września o 16.00 marsz pamięci), a 16 września w Dąbrowie Tarnowskiej i Jędrzejowie, 20 września w Szczekocinach, 26 września w Pułtusku. W październiku i listopadzie Zamojszczyzna, na przykład Zamość 16 października, 2 listopada Biłgoraj. Tego samego dnia wiele kilometrów dalej Dąbrowa Białostocka i dwa dni później Orla.

Dzień po dniu, kilka miejscowości tego samego dnia. Szli, jechali. Oczywiście oprócz tych „niezdolnych do transportu", których rozstrzeliwano na cmentarzach, za miastem, czasem tysiącami. Leżą tam, w do dziś lub do niedawna anonimowych masowych grobach. Do niedawna, bo są miejsca takie jak Nowy Targ, gdzie, trudem badaczki Zagłady Karoliny Panz, odzyskali imiona, które wykuto na nagrobku. Karolina akurat mówi, że nie robi tego, byśmy my, dzisiejsi mieszkańcy Polski, pamiętali, ale w hołdzie dla ofiar, ocalałych i ich rodzin. Nieważne, ile osób przyjdzie na upamiętnienie. Ważne, że przyjedzie z rodziną Janett. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 269/22 toczy się postępowanie z wniosku Konrada Karabana i Renaty Karaban o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie nieruchomości położonych w Radomyślu nad Sanem, oznaczonych numerami ewidencyjnymi 1336 i 1672 o łącznej powierzchni 0,3020 ha, na które został wydany akt własności ziemi na rzecz Bronisławy Werndl, zamieszkałej we Wrocławiu, po której spadek nabył syn Stanisław Werndl.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli i wykazali swoje prawa do nieruchomości pod rygorem stwierdzenia zasiedzenia, jeżeli zostanie ono udowodnione.

ROSYJSKIE GRY Z ATOMEM

TADEUSZ IWAŃSKI

Prawdopodobieństwo, że na południu Ukrainy nastąpi powtórka z Czarnobyla, jest niewielkie. Co nie znaczy, że nie ma niebezpieczeństwa.

To nie jest fabryka kiełbasy, to obiekt atomowy. To, co rosyjska armia tu wyrabia, to jest jądrowy terroryzm" – mówił w wywiadzie dla BBC Ukraina proszący o anonimowość pracownik Zaporoskiej Elektrowni Atomowej (ZEA).

Od początku sierpnia sytuacja w tej elektrowni, położonej w strefie walk, staje się jednym z najgorętszych tematów nie tylko w Ukrainie. Koncern Enerhoatom – operator ukraińskich elektrowni jądrowych – alarmuje, że w ZEA istnieje ryzyko poważnej awarii. Wtórują mu władze państwowe: działania Rosji nazywają szantażem atomowym i wzywają ją do demilitaryzacji obszaru elektrowni bez warunków wstępnych. Niepokoi się też świat – ostrzały elektrowni przez wojska rosyjskie sprawiają, że powracają widma Czarnobyla i Fukuszimy.

DIMITAR DILKOFF / AFP / EAST NEWS

Ćwiczenia ukraińskiej Państwowej Służby ds. Sytuacji Nadzwyczajnych w mieście Zaporoże na wypadek ewentualnego incydentu w Zaporoskiej Elektrowni Atomowej. Miasto leży po ukraińskiej stronie frontu w pobliżu siłowni. 17 sierpnia 2022 r.

Grady obok reaktorów

Zaporoska Elektrownia Atomowa to składający się z sześciu bloków kolos o mocy 6 megawatów – największy taki w Europie. Jest on położony w specjalnie wzniesionym dla jego obsługi monomieście o optymistycznej nazwie Enerhodar, na brzegu Zbiornika Kachowskiego. To kolejna gigantyczna konstrukcja czasów sowieckich, zbudowana na Dnieprze w latach 50. XX stulecia, o obwodzie prawie tysiąca kilometrów, długości 230 km i powierzchni ponad 2 tys. km kwadratowych.

Siłownia została zajęta przez wojska rosyjskie jeszcze w pierwszych dniach marca, wkrótce po rozpoczęciu inwazji na pełną skalę. Podobnie jak w nieczynnej Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej nieopodal Kijowa, w której okupant rozmieścił wówczas swoich żołnierzy, sprzęt i punkt dowodzenia (Rosjanie zamierzali stamtąd kierować operacją wzięcia stolicy Ukrainy) – także na terenie ZEA rozlokowano wojsko.

Jego liczebność szacuje się na ok. 500 żołnierzy, wyposażonych w wieloprowadnicowe wyrzutnie rakiet Grad, bojowe wozy piechoty i inne uzbrojenie. Z tych Gradów okupanci ostrzeliwują m.in. kontrolowany przez Ukraińców Nikopol, położony na przeciwległym brzegu zbiornika – licząc, że atakowani nie będą odpowiadać ogniem w kierunku elektrowni.

Ponadto część budynków oraz drogi dojazdowe miały zostać zaminowane, do ZEA skierowano także grupę rosyjskich inżynierów z koncernu Rosatom, pod nadzorem których pracuje teraz ukraiński personel siłowni.

Pracuje – to łatwo powiedzieć. Według relacji anonimowych pracowników ZEA ich poziom stresu jest ogromny, a dodatkowo podwyższają go wyrywkowe aresztowania pod zarzutem współpracy z ukraińską armią. Z tego powodu część kadry zrezygnowała z pracy lub uciekła na tereny kontrolowane przez wojsko ukraińskie, tworząc tym samym poważne luki w obsadzie. Pomimo okupacji obiektu, jeszcze do 25 sierpnia dwa bloki wciąż działały na potrzeby ukraińskiej sieci elektroenergetycznej, oddając energię ostatnią działającą linią wysokich napięć 750 kV.

Jednak tego właśnie dnia i ona – kluczowa dla zapewnienia stabilnych dostaw prądu do elektrowni – dwukrotnie się wyłączała. Powodem miały być pożary na hałdach z odpadami paleniskowymi, spowodowane rosyjskimi ostrzałami. W rezultacie oba bloki – po raz pierwszy w historii – także się wyłączyły. I choć niedziałające reaktory rodzą mniejsze ryzyko poważnej awarii niż działające, problemem pozostaje zapewnienie stabilnych dostaw prądu na potrzeby własne ZEA, przede wszystkim do pracy systemów chłodzenia.

Według stanu na godzinę ósmą rano w piątek 26 sierpnia oba bloki wciąż były wyłączone, w nocy wyremontowano też linię 750 kV, energię zaś skierowano do elektrowni inną linią o mniejszym napięciu. Sytuacja się ustabilizowała (na jak długo?), ale wielki problem pozostał.

Toporny schemat

Od początku sierpnia Rosjanie zintensyfikowali ostrzał ZEA. Zniszczone miały zostać m.in. instalacje mierzące poziom radiacji, budynki na terenie elektrowni, a także linie wysokiego napięcia 330 kV i 150 kV, które łączą siłownię z Zaporoską Elektrownią Cieplną – jest ona ważnym źródłem mocy na potrzeby działalności ZEA. Pociski miały przelatywać nad reaktorami, a także spadać w okolicach zbiorników chroniących zużyte paliwo jądrowe.

Choć obie strony oskarżają się o bezmyślny i ryzykowny ostrzał siłowni, po stronie rosyjskiej da się zauważyć pewną prawidłowość. Przykładowo 22 sierpnia ostrzały zbiegły się w czasie z obecnością na miejscu rosyjskiej ekipy telewizyjnej, a następnie z wnioskiem Moskwy o zwołanie specjalnego posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ na temat sytuacji w elektrowni.

Ten toporny schemat ma na celu obarczenie winą Kijowa i uświadomienie światu, że rzekomo to wojska rosyjskie są gwarantem bezpieczeństwa siłowni. Twierdzenia te są absurdalne – ukraińscy pracownicy informują o strzałach z jednego miejsca na terenie elektrowni w drugie, a nakierowywać je ma rosyjski personel w taki sposób, aby z jednej strony nie wywołały poważnych uszkodzeń, a z drugiej stanowiły wystarczająco ↦

↦ wiarygodny „dowód” dla rosyjskiej propagandy.

Dla zwiększenia „atrakcyjności” przekazu oddziały okupanta miały wykorzystywać także zdobyczne ukraińskie uzbrojenie, aby pozorować sprawstwo Kijowa.

Scenariusz mało realny

Uderzenie rakietą w elektrownię, powodujące wybuch reaktora i wydostanie się na zewnątrz śmiertelnych substancji, które następnie zostaną rozniesione przez zachodnie wiatry do Europy, to na szczęście tyleż spektakularny, co skrajnie mało prawdopodobny scenariusz rozwoju wypadków.

W Zaporoskiej Elektrowni Atomowej reaktor sowieckiej konstrukcji WWER-1000 zlokalizowany jest bowiem pod ziemią i dodatkowo – prócz grubościennego zbiornika ciśnieniowego – chroniony jest przez specjalną obudowę bezpieczeństwa w kształcie kopuły wznoszącej się ponad murami bloku. Aby rakieta dosięgnęła reaktora, ostrzał musiałby być więc precyzyjny, zapewne wielokrotny i do tego pociskami kierowanymi o dużej sile rażenia – słowem, ktoś musiałby być bardzo zdeterminowany i wielce się postarać, aby w ten sposób zniszczyć reaktor i wywołać katastrofę.

Zależy też, który blok miałby zostać ostrzelany: działający czy wyłączony. Drugi wariant rodziłby znacznie mniejsze ryzyko, gdyż paliwo jądrowe zostało już wystarczająco schłodzone, a krótko żyjące cząstki radioaktywne zdążyły się w większości rozpaść.

Ryzyko także dla Rosji

Niskie prawdopodobieństwo scenariusza spektakularnego nie wyklucza jednak innych – mniej widowiskowych, ale także niebezpiecznych.

Kluczowe dla bezpieczeństwa chłodzenie reaktorów i kontenerów zawierających paliwo już zużyte, choć wciąż zawierające cząstki aktywne (składowane zarówno wewnątrz kopuły w specjalnych basenach, jak i poza nią), jest możliwe dzięki dostawom prądu spoza elektrowni. Trwałe przerwanie pozostałych linii przesyłowych – dwie linie z Zaporoskiej Elektrowni Cieplnej były już niejednokrotnie niszczone, a następnie remontowane – i tym samym przerwanie chłodzenia zwiększa ryzyko stopienia się rdzenia.

> Moskwa zabiega, by międzynarodowi eksperci wjechali na teren ZEA od strony okupowanego południa. **Kijów taką opcję wyklucza.**

Taka sytuacja wytworzyłaby warunki podobne do tych, które wystąpiły w Fukuszimie w 2011 r., gdy wybuch wodoru rozszczelnił kopułę i umożliwił przedostanie się do atmosfery cząstek radioaktywnych, co spowodowało katastrofę. Choć w odwodzie pozostają jeszcze dieslowskie agregaty prądotwórcze zasilające pompy, to ich czas działania jest ograniczony. Trudno też ocenić, czy rosyjskie wojsko nie rozkradło ropy do agregatów albo czy nie zostaną one zniszczone.

W połowie sierpnia naukowcy z ukraińskiej Akademii Nauk przeprowadzili symulację skutków uszkodzenia rdzenia jednego reaktora. Wynikało z niej, że chmura radioaktywna dotarłaby do Polski, Węgier i Słowacji oraz do krajów bałtyckich. Wiele jednak zależałoby od skali awarii i od warunków atmosferycznych, w tym od siły i kierunku wiatru. Powoduje to niemałe ryzyko dla samej Rosji – wszak tego dnia równie dobrze może wiać silny północno-wschodni wiatr.

Drugiego Czarnobyla nie będzie

Inny rodzaj ryzyka, skutkującego jednak mniejszymi rozmiarami katastrofy, wiązałby się ze zniszczeniem zużytego paliwa, które znajduje się na otwartej przestrzeni. Wprawdzie kontenery, w których jest ono składowane, mają zabezpieczenia, lecz nie były testowane na okoliczność ostrzału np. z granatnika.

Tak czy inaczej, często pojawiające się w mediach skojarzenie kryzysu w Zaporoskiej Elektrowni Atomowej z „drugim Czarnobylem” wydaje się nadużyciem. Jest bowiem kilka znaczących różnic: w Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej zainstalowany był inny typ reaktora – nie WWER (wodorowo-wodny), lecz RBMK, czyli reaktor kanałowy dużej mocy, mieszczący cząstki grafitowe. Wtedy, w kwietniu 1986 r., wybuch w Czarnobylu nastąpił właśnie w tej części reaktora, a radioaktywne cząstki grafitu dostały się do powietrza.

Poza tym reaktor w Czarnobylu nie był chroniony wspomnianą już wyżej obudową bezpieczeństwa w kształcie kopuły, której celem jest zatrzymanie – w razie awarii – większości cząstek radioaktywnych.

Operacja synchronizacja

Potencjalne niebezpieczeństwo wiąże się też z planami Rosji, aby odłączyć Zaporoską Elektrownię Atomową od sieci ukraińskiej i przyłączyć do sieci rosyjskiej, o czym informowało kierownictwo Enerhoatomu.

Według rosyjskich planów wyprodukowana energia miałaby być wtedy doprowadzona na Krym, a być może także dalej aż do rosyjskiego Kraju Krasnodarskiego. Od 2015 r., kiedy to najprawdopodobniej Tatarzy Krymscy w ramach blokady półwyspu zniszczyli sieci wysokiego napięcia prowadzące z kontynentalnej Ukrainy na Krym, cierpi on na deficyt taniego prądu.

Wprawdzie w latach 2018 i 2019 Rosjanie uruchomili dwie elektrownie o łącznej mocy prawie jednego megawata, pokrywające lokalne zapotrzebowanie na prąd, jednak w czerwcu tego roku ukraińska armia zniszczyła platformy wydobywcze gazu na Morzu Czarnym – podczas gdy to pozyskiwany z nich surowiec służył jako paliwo do tych siłowni. W efekcie niedobory powróciły. Aby im zapobiec, szczególnie w zbliżającym się sezonie grzewczym, okupacyjne władze południa Ukrainy miały w lipcu wyremontować linię wysokiego napięcia prowadzącą na Krym, aby choćby częściowo umożliwić w ten sposób przesyłanie tam energii z kontynentalnej Ukrainy, czyli z ZEA.

Operacja jej przyłączenia do sieci rosyjskiej wymagałaby pracy elektrowni w trybie izolowanym. Czyli znów – wiązałaby się z odłączeniem zewnętrznego zasilania na krótki okres między odłączeniem od jednego systemu a podłączeniem do drugiego. Jest to operacja wykonalna, ale w warunkach wojny wysoce ryzykowna.

Nie wiadomo, czy dojdzie ona do skutku: po sierpniowych ukraińskich atakach na cele na Krymie pojawiły się doniesienia, że zniszczona została także rozdzielnia w miejscowości Dżankoj, kluczowa dla tego procesu. Nie można wykluczyć, że jednym z celów precyzyjnej akcji Kijowa było właśnie niedopuszczenie do przyłączenia ZEA do rosyjskiej sieci.

ED JONES / AFP / EAST NEWS

Widok na Zaporoską Elektrownię Atomową z miasta Nikopol, położonego na północnym brzegu Dniepru, który jest broniony przez Ukraińców. Pozycje rosyjskie są na południowym brzegu. Na pierwszym planie Dniepr. Kwiecień 2022 r.

Plany eksportu do Europy

Część ukraińskich środowisk eksperckich, będących w opozycji do prezydenta Zełenskiego i jego ekipy, zarzuca kierownictwu Enerhoatomu nieodpowiedzialne działania, mające zwiększać ryzyko awarii. Argumentują oni, że już w pierwszych dniach po zajęciu siłowni przez Rosjan, albo nawet wcześniej, ukraiński operator powinien był wyłączyć wszystkie reaktory, wprowadzając je w stan tzw. zimnego wyłączenia (*cold shutdown*). Taka operacja obniżyłaby temperaturę paliwa, a tym samym ryzyko poważnej awarii reaktora.

Niechęci do podjęcia takiego działania krytycy upatrują w rzekomym priorytecie władz Ukrainy, jakim ma być nie tyle zasilanie w prąd ukraińskiego systemu w sezonie grzewczym, co sprzedaż energii za granicę.

Jest tu coś na rzeczy. Po synchronizacji systemu energetycznego Ukrainy z systemem Unii Europejskiej – co nastąpiło w marcu – Kijów zaczął snuć szeroko zakrojone plany związane ze znaczącym zwiększeniem eksportu prądu do Europy. Tym bardziej że popyt krajowy na prąd – za sprawą zniszczeń infrastruktury przesyłowej, przemysłowej i komunalnej, a także kryzysu gospodarczego – spadł o 40 proc. Tymczasem na tle deficytów i rosnących cen nośników energii, tańszy ukraiński prąd wydaje się produktem wysoce pożądanym w Europie.

Pierwsze przesyły liniami do Słowacji i Rumunii, które miały miejsce w lipcu, zakończyły się sukcesem, a w kolejnych miesiącach przepustowość z Ukrainy ma być zwiększana. W przyszłym roku być może ponownie, po 30 latach przerwy, uruchomiona zostanie linia prowadząca z Chmielnickiej Elektrowni Jądrowej do Rzeszowa – prace remontowe, zakładające przesył prądu o napięciu 440 kV, już się rozpoczęły.

Wraz z rewitalizacją tego połączenia Kijów ma nadzieję, że eksport prądu w najbliższych latach stanie się żyłą złota podobną do tej, którą w przeszłości był tranzyt rosyjskiego gazu. Rząd szacuje, że dochód może wynieść nawet 2 mld dolarów rocznie. W warunkach wojny, gdy ukraiński budżet trzeszczy w szwach i jest zdany na zachodnie wsparcie finansowe, jest to suma nie do pogardzenia.

Szantaż wobec Zachodu

Zwłaszcza w ostatnich dniach sytuacja wokół Zaporoskiej Elektrowni Atomowej wywołuje poruszenie i w świecie, i Ukrainie. Pamięć o katastrofie w Czarnobylu i trauma po niej mocno rezonują w ukraińskim społeczeństwie – aby uspokoić nastroje, mer Enerhodaru informował o dostawie do miasta 25 tys. tabletek jodku potasu, leku mającego chronić tarczycę.

Działania Rosji spotkały się z potępieniem wspólnoty międzynarodowej. Specjalne oświadczenie w tej sprawie wystosowały 42 kraje, dwukrotnie krytyka na Kreml spadała ostatnio także na posiedzeniach Rady Bezpieczeństwa ONZ. Rosja sama je zresztą zwoływała – w celu szerzenia dezinformacji. Nikt rozsądny nie wierzy jednak w rosyjską wersję, zgodnie z którą to Ukraińcy bezmyślnie ostrzeliwują elektrownię, aby ją odbić. Celem Rosji jest tu zresztą nie tyle skompromitowanie Ukrainy, co przede wszystkim zaszantażowanie Zachodu: jak nie wycofacie wsparcia militarnego i finansowego dla Kijowa, to urządzimy nuklearne piekło. Okresowe odwoływanie ukraińskiego personelu czy groźby wyłączenia elektrowni mają tu na celu podkręcanie napięcia.

Kijów także nie przebiera w słowach, nazywając działania Rosji jądrowym terroryzmem. Prezydent Zełenski żąda natychmiastowego opuszczenia elektrowni przez okupanta. Padają też postulaty nałożenia sankcji na rosyjski sektor jądrowy.

Czekając na MAEA

W tle potyczek słownych toczą się rozmowy na temat dopuszczenia na teren ZEA specjalnej, a nawet stałej misji Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA). Ukraina apeluje o takie rozwiązanie, Agencja je zapowiada – uznając sytuację za ekstremalnie poważną i niebezpieczną – a Rosja niby nie jest przeciwko.

Na przeszkodzie stoi jednak polityka. Moskwa zabiega bowiem o to, aby eksperci wjechali na teren ZEA od strony okupowanego południa. Kijów taką opcję wyklucza. Ukraina obawia się także o wiarygodność oceny – wszak członkiem MAEA jest też Rosja, pracują w niej eksperci ze wspierających ją państw, a zastępcą dyrektora generalnego Agencji, odpowiedzialnym za energię jądrową, jest Michaił Czudakow, były wiceszef Rosenergoatomu (operatora rosyjskich siłowni jądrowych). Wolno się obawiać, że będzie mieć on wpływ na raport końcowy Agencji.

Na razie świat czeka więc na misję MAEA – ma przyjechać na przełomie sierpnia i września, a Enerhoatom codziennie niestrudzenie przypomina o naruszaniu norm bezpieczeństwa radiacyjnego i pożarowego w Zaporoskiej Elektrowni Atomowej. © TADEUSZ IWAŃSKI

Autor jest kierownikiem zespołu Ukrainy, Białorusi i Mołdawii w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia.

Tekst został ukończony 26 sierpnia rano.

LIU XIAOMING / GETTY IMAGES

Łodzie rybackie na Morzu Południowochińskim. Prowincja Guangdong, Chiny, 16 sierpnia 2022 r.

Cienka przerywana linia

TOMASZ AUGUSTYNIAK Z BANGKOKU

Na Morzu Południowochińskim trwa cisza przed burzą. Coraz bardziej zmilitaryzowany akwen, o który Chiny spierają się z państwami Azji, przypomina pole minowe. Choć eskalacja nie byłaby w niczyim interesie, może ją wywołać przypadek.

Gdy w połowie sierpnia portowi celnicy w Ningbo na wschodzie Chin zarekwirowali tysiące przeznaczonych na eksport map, poza Azją nie odbiło się to szerokim echem. O konfiskacie napisał hongkoński dziennik „South China Morning Post" i doniosły chińskie media państwowe; dowiedzieli się o niej także telewidzowie na Filipinach.

Chińskie służby celne zainteresowały się mapami, ponieważ nie zaznaczono na nich roszczeń Pekinu do wód Morza Południowochińskiego – bogatego w zasoby i strategicznie położonego akwenu, nad którym azjatyckie mocarstwo z roku na rok wzmacnia swoją kontrolę.

Chińczycy już od dziesięcioleci zgłaszali pretensje – motywowane historycznie – do niemal całej powierzchni tego płytkiego tropikalnego morza. Granice roszczeń, sięgające 1800 kilometrów od swoich wybrzeży, oznaczają tzw. linią dziewięciu kresek. Żaden inny kraj nie uznaje tych żądań, bo obejmują one wyłączne strefy ekonomiczne, które zgodnie z prawem międzynarodowym należą do sąsiadów: Filipin, Wietnamu, Malezji, Brunei i Indonezji.

Ale rywalizacja o Morze Południowochińskie daleko wykracza poza regionalny spór o terytorium – chodzi w niej o globalny handel, o panowanie nad szlakami żeglugowymi i o zasoby. Przez strategiczne wody odbywa się blisko jedna trzecia światowego handlu morskiego: rocznie przepływają tędy towary o wartości szacowanej na 3-5 bln dolarów. Są także bogate łowiska i złoża paliw kopalnych. USA oceniają, że pod dnem spoczywa tutaj 11 mld baryłek ropy naftowej i 58 bln metrów sześciennych gazu ziemnego. Chińskie szacunki są wielokrotnie wyższe: według Pekinu może to być, odpowiednio, 125 mld baryłek i ponad 150 bln metrów sześciennych.

To dlatego na tych wodach od kilku lat trwa coraz bardziej ryzykowny taniec okrętów należących do kilkunastu krajów. Podczas gdy Chińczycy budują sztuczne ufortyfikowane wyspy, Amerykanie wraz ze swymi sojusznikami prowadzą manewry i patrole, określane mianem ćwiczeń, mających chronić swobodę żeglugi.

Ryzyko konfrontacji między największymi flotami wojennymi świata jest na Morzu Południowochińskim największe. Tymczasem okoliczne państwa Azji Południowo-Wschodniej ostrożnie nawigują przez zdradliwe wody, poruszając się po cienkiej linii między obroną swoich terytoriów a korzyściami gospodarczymi ze współpracy z Państwem Środka.

Linie na mapie

W lipcu minęło sześć lat od chwili, gdy Stały Trybunał Arbitrażowy w Hadze obalił roszczenia terytorialne Chin wobec Filipin.

Trybunał – powołując się na przyjętą w 1982 r. Konwencję Narodów Zjednoczonych o prawie morza (UNCLOS) – orzekł, że nie ma dowodów, iż Chiny kiedykolwiek sprawowały wyłączną kontrolę nad spornymi wodami, brak więc jest podstaw do powoływania się przez nie na historyczne prawa. Rząd w Pekinie orzeczenie zignorował. Teraz, w jego rocznicę, w Manili, stolicy Filipin, odbyła się niewielka demonstracja, której uczestnicy wzywali prezydenta Ferdinanda Marcosa Juniora do bardziej zdecydowanej ochrony filipińskich wód.

Chińczycy uważają za swoją należącą do Filipin płyciznę Scarborough na wschodzie oraz archipelag Spratlejów na południu Morza Południowochińskiego. W 1974 r., po krótkiej bitwie, zagarnęły od Wietnamu Południowego leżące na północy Wyspy Paracelskie. Na zatłoczonych Spratlejach stacjonują dziś nieduże garnizony z niemal wszystkich państw zaangażowanych w spór, które uważają te wyspy za część swoich terytoriów.

Kraje regionu argumentują, że zgodnie z konwencją UNCLOS przysługuje im prawo do wód terytorialnych na obszarze do 12 mil morskich od swoich wybrzeży i do wyłącznych stref ekonomicznych, rozciągających się na 200 mil. Na tych wodach powinny mieć wyłączność na połowy i wydobywanie zasobów. Teoretycznie.

Byle nie drażnić Pekinu

Pekin wyraźnie zaostrzył swój kurs na strategicznych wodach po 2013 r., gdy władzę objął obecny przywódca Xi Jinping. Nie tylko przyspieszono budowę sztucznych wysp i baz wojskowych na atolach oraz rafach koralowych. Okręty chińskiej straży przybrzeżnej i załogi uzbrojonych kutrów zaczęły coraz bardziej nękać rybaków wietnamskich, filipińskich, malezyjskich, a nawet indonezyjskich. Częściej zaczęło dochodzić też do incydentów z okrętami i patrolami powietrznymi, z wtargnięciami Chińczyków na wody sąsiadów.

Wielu zachodnich i azjatyckich analityków ocenia, że metodą faktów dokonanych Pekin chce zapewnić sobie dominację w tym regionie i zabezpieczyć w ten sposób swoje roszczenia.

Jeszcze kilka lat temu Malezja i Indonezja – ta druga coraz częściej wciągana w konflikt o Morze Południowochińskie, choć sama nie uważa się za jego stronę – zdecydowanie odpowiadały na wtargnięcia na swoje wody. Padały ostrzegawcze salwy, indonezyjska marynarka ścigała i aresztowała załogi chińskich trawlerów, które prowadziły nielegalne połowy, oraz publikowała nagrania, na których zatapia cudzoziemskie jednostki.

Dziś takie konfrontacje są rzadkie. Shahriman Lockman, doświadczony analityk w Instytucie Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (ISIS), mieszczącym się w malezyjskiej stolicy Kuala Lumpur, mówi „Tygodnikowi", że elity państw regionu doszły do wniosku, że nie opłaca im się drażnić chińskiego smoka. – Z ich kalkulacji wynika, że lepiej mierzyć się z obecnością kilku chińskich okrętów w ich wyłącznej strefie ekonomicznej, niż zareagować przesadnie i spowodować nieproporcjonalnie dużą reakcję – ocenia.

Staranowali i odpłynęli

Indonezja, Malezja i Filipiny zdecydowały się złagodzić ton także ze względu na przynoszącą im korzyści wymianę handlową z potężnym sąsiadem, a także spodziewane chińskie inwestycje i dostawy szczepionek przeciwko koronawirusowi. Wprawdzie zależy im na integralności terytorialnej, ale cenią sobie też partnerstwo z Chinami.

Uległość azjatyckich sąsiadów nie położyła jednak kresu incydentom. Przeciwnie: Chińczycy, używając okrętów straży przybrzeżnej i uzbrojonych kutrów ochotniczej milicji, jeszcze bardziej utrudniają sąsiadom dostęp do ich własnych wód.

Szykany dotyczą zarówno jednostek marynarki tych krajów, statków należących do firm wydobywczych, jak i zwykłych rybaków, których łodzie Chińczycy atakują armatkami wodnymi i odbierają im sieci. W 2019 r. chińska jednostka, prawdopodobnie należąca do sił paramilitarnych, staranowała i zatopiła filipiński kuter w rejonie Ławicy Reed nieopodal prowincji Palawan na zachodzie Filipin, po czym odpłynęła. Na tonącym statku pozostało ponad dwudziestu rybaków. Wyłowili ich dopiero przepływający w pobliżu Wietnamczycy. Kilka miesięcy później podobny los spotkał w rejonie Wysp Paracelskich wietnamską łódź rybacką, z jej ośmioosobową załogą.

W maju 2021 r. Malezja poderwała myśliwce z bazy na wyspie Borneo, gdy nad jej wodami pojawiło się – według tamtejszych sił powietrznych – szesnaście maszyn chińskiego lotnictwa. Samoloty miały lecieć w formacji taktycznej i zbliżyć się do wybrzeży Malezji na odległość 60 mil morskich, ignorując wezwania kontrolerów do zawrócenia.

Malezyjskie lotnictwo nazwało ten incydent „poważnym zagrożeniem dla suwerenności narodowej i bezpieczeństwa w ruchu lotniczym", ale dyplomaci milczeli. Dopiero w październiku 2021 r. wezwali do MSZ chińskiego ambasadora, by wyrazić protest przeciw kolejnemu naruszeniu swoich wód przez chińskie statki.

Niedyplomatyczne środki

Chińczycy coraz częściej zapuszczają się też na indonezyjskie wody na północ od Wysp Natuna. Na przełomie roku 2019 i 2020 Dżakarta oskarżyła władze w Pekinie o wielokrotne wtargnięcia na swoje terytorium morskie i rozlokowała w rejonie konfliktu dodatkowe okręty, samoloty i oddziały wojska. Wizytę na rybackim archipelagu złożył prezydent Indonezji Joko Widodo, któremu towarzyszyli wysocy rangą oficerowie i urzędnicy.

Z kolei na początku 2021 r. głównodowodzący filipińskiego wojska, generał Cirilito Sobejana, z oburzeniem komentował chińskie oświadczenie, że tamtejsza straż przybrzeżna ma prawo strzelać do osób, które znajdą się na terytoriach uważanych przez Pekin za sobie podległe. „Nasi obywatele nie pływają na sporne wody, aby toczyć tam wojnę, tylko żeby zarobić na życie" – podkreślił generał i zapowiedział wzmocnienie patroli.

Wkrótce w rejonie płycizny Scarborough wykryto około dwustu chińskich kutrów i innych jednostek, według Filipin obsadzonych członkami paramilitarnej milicji. Gdy zaraz potem filipińska marynarka wojenna i straż przybrzeżna rozpoczęły w tym rejonie ćwiczenia, chińskie MSZ stanowczo zaprotestowało.

Temperaturę sporu, w którym stosuje się czasem niedyplomatyczne środki, dobrze pokazuje wypowiedź szefa filipińskiego MSZ Teodoro Locsina Juniora. W maju 2021 r. Locsin opublikował na Twitterze apel, w którym – używając ↦

↦ wulgarnego sformułowania – kazał Chinom wynosić się z filipińskich wód. 72-letni dyplomata porównał przy okazji komunistyczny rząd w Pekinie do „szpetnego przygłupa". Choć później przeprosił za te słowa, tłumacząc się gorącym temperamentem, to ówczesny prezydent Filipin Rodrigo Duterte zakazał pracownikom swojej administracji publicznych wypowiedzi o Morzu Południowochińskim.

Nie oznacza to jednak, że Filipiny czy inne państwa regionu zrezygnują ze swoich terytoriów.

W najbliższych latach Morze Południowochińskie będzie jeszcze bardziej zatłoczone wojskiem. Czy przez to stanie się bezpieczniejsze? To zależy od kalkulacji przywódców i generałów.

Przyczółki na rafach

W 2021 r. amerykańscy analitycy z US Naval War College wskazali w swoim raporcie, że zbudowane od zera miasteczko Sansha na Wyspie Woodego – największej w okupowanym przez Chiny archipelagu Wysp Paracelskich – nie jest już tylko nieznaczącą placówką. Posiada rozbudowany port i osiedle, stację uzdatniania wody morskiej, oczyszczalnię ścieków, szkołę, sąd i dostęp do sieci 5G, a z Chinami kontynentalnymi łączą je regularnie loty czarterowe. Wcześniej informowano o rozmieszczeniu na wyspie chińskich bombowców.

Rok później amerykańskie wojsko ogłosiło, że Chińczycy „w pełni zmilitaryzowali" co najmniej trzy z kilku sztucznych wysp, które zbudowali w archipelagu Spratlejów. Rozlokowano tam systemy rakiet przeciwokrętowych i przeciwlotniczych, sprzęt zagłuszający i laserowy oraz myśliwce.

Sam Pekin poinformował w 2020 r. o utworzeniu na obu archipelagach dwóch podległych sobie jednostek administracyjnych. W rejonie raf, które Filipiny uważają za swoją własność, otwarto dwie chińskie naukowe stacje badawcze. Opublikowano też listę ok. 80 nowych chińskich nazw nadanych wyspom, rafom, płyciznom i grzbietom śródoceanicznym.

W wielu z tych miejsc Chińczycy wznieśli bazy okrętów i samolotów (istnieją co najmniej cztery), radary, lądowiska dla śmigłowców, sztuczne porty, magazyny amunicji, urządzenia komunikacyjne itd. Zwiększa to również ich możliwości monitorowania aktywności rywali na przyległym morzu.

We własną grę

Dyplomaci z Chin i krajów Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej (ASEAN) wielokrotnie spotykali się w sprawie Morza Południowochińskiego. Za każdym razem dochodzili do wniosku, że związane z nim sprawy trzeba załatwiać na drodze rozmów i negocjacji. Mimo to w tym samym czasie Chińczycy nadal rozbudowywali tam porty, a ich okręty rutynowo patrolowały wody innych państw.

Równocześnie Pekin żąda od sąsiadów wstrzymania poszukiwań i wydobycia złóż w ich własnych strefach ekonomicznych (często wysyłając własne statki i okręty w rejon odwiertów) i negocjuje z państwami ASEAN kodeks postępowania na zapalnych obszarach. W założeniu umowa ma zmniejszyć napięcia i ułatwić rozwiązywanie sporów.

W istocie jednak Chińczycy chcieliby grać z sąsiadami we własną grę, a sprawy sporne załatwiać tylko dwustronnie. Chiński minister spraw zagranicznych Wang Yi i podlegli mu dyplomaci stale oskarżają „kraje spoza regionu" – jak to ujmują – o jego destabilizację. Ale niektórzy z sąsiadów widzą rzecz inaczej. Filipiny wielokrotnie deklarowały, że życzą sobie zachodniej obecności w regionie nawet po przyjęciu wspomnianego kodeksu.

Na wszelki wypadek Wietnam, Indonezja i Filipiny zaczęły rozbudowywać swoje możliwości obronne.

I tak, władze w Dżakarcie wybudowały na archipelagu Natuna doki dla okrętów podwodnych oraz nabrzeża mogące obsługiwać większe statki, a także lądowiska. Chcą też promować archipelag wśród turystów.

Z kolei Filipińczycy wyremontowali stary pas startowy i zbudowali nabrzeże na administrowanej przez siebie wyspie Thitu, gdzie od 20 lat funkcjonuje także cywilna osada. Lokalne władze zapowiedziały, że sprowadzą osadników na sąsiednią wyspę West York i zaproszą tam filipińskich wczasowiczów.

Działają też Wietnamczycy. Waszyngtońskie Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS) twierdzi, że na dwóch kontrolowanych przez siebie wyspach archipelagu Spratlego wietnamskie wojsko wzniosło infrastrukturę pod systemy przeciwlotnicze i obrony wybrzeża, a także bunkry i wieże komunikacyjne. Władze w Hanoi biorą też pod uwagę wystąpienie o międzynarodowy arbitraż w sprawie spornych terytoriów, co dałoby im do ręki dodatkowe argumenty.

USA i ich sojusznicy

Aby zrównoważyć wpływy Pekinu, w ostatnich latach tropikalne wody patrolują już nie tylko okręty USA, ale także państw sojuszniczych – w tym Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Japonii, Korei Południowej, Australii i Nowej Zelandii. Powody podsumowała w ubiegłym roku ówczesna niemiecka minister obrony Annegret Kramp-Karrenbauer: „Dla naszych partnerów w obszarze Indo-Pacyfiku rzeczywistość jest taka, że szlaki morskie nie są już otwarte i bezpieczne, a roszczenia terytorialne są wysuwane prawem silniejszego".

Gregory Poling, badacz wspomnianego think tanku CSIS, w świeżo wydanej książce „On Dangerous Ground: America's Century in the South China Sea" (Na niebezpiecznym gruncie: stulecie Ameryki na Morzu Południowochińskim) przyznaje, że w wypadku otwartego konfliktu zbrojnego Chiny mają na tym morzu tak dużą przewagę, że Stany musiałyby im je oddać.

Choć takiego konfliktu nikt nie chce, nie czyni go to niemożliwym. Poling przypomina o niebezpiecznych manewrach, jak choćby tych z 2018 r., gdy chiński niszczyciel rakietowy przepłynął w odległości 40 metrów od amerykańskiego okrętu USS „Decatur", niemal się z nim zderzając. Wiele razy mało brakowało, aby doszło do kolizji chińskich jednostek z filipińskimi łodziami transportującymi zaopatrzenie dla placówek na Spratlejach.

Zdaniem Polinga chińskie ambicje terytorialne zagrażają amerykańskiej zamożności i bezpieczeństwu, opartych na zasadzie wolności żeglugi. Naruszają również podstawową zasadę prawa międzynarodowego: równość państw. Gdyby jednak odpowiednio silny sojusz zaczął

izolować Chiny podobnie jak dzisiaj Rosję, Pekin mógłby dojść do wniosku, że jego konfrontacyjna polityka nie jest opłacalna.

Po cienkiej linii

W czasie niedawnej wizyty w Manili amerykański sekretarz stanu Antony Blinken potwierdził traktatowe zobowiązania USA i zadeklarował, że w wypadku zbrojnej agresji Waszyngton będzie bronił Filipin. Od 1951 r. Filipiny i Stany Zjednoczone łączy sojusz obronny. Wcześniej Blinken deklarował poparcie dla wszystkich państw Azji Południowo-Wschodniej, które opierają się naciskom Pekinu na Morzu Południowochińskim.

Ferdinand „Bongbong" Marcos Jr., nowy filipiński prezydent, zapewnił, że nie zgodzi się na zrezygnowanie z choćby jednego cala terytorium na rzecz jakiegokolwiek obcego państwa. Wcześniej, jeszcze podczas kampanii wyborczej, powiedział jednak, że jako przywódca będzie musiał poruszać się po „bardzo, bardzo cienkiej linii" między jednym mocarstwem a drugim, i że zamierza kontynuować dialog z Pekinem.

Równocześnie Filipiny zapowiedziały dalszą modernizację swojej armii, której budżet w 2023 r. ma wzrosnąć o 8 procent. Manila kupiła m.in. ponaddźwiękowe pociski manewrujące BrahMos, produkowane przez indyjsko-rosyjską spółkę. Sprzęt, przeznaczony do zwalczania okrętów, w 2023 r. ma trafić do jednostek obrony wybrzeża.

■■■

Shahriman Lockman uważa, że przed planowanym na jesień kongresem Chińskiej Partii Komunistycznej – kluczowym wydarzeniem dla konsolidacji władzy Xi Jinpinga – Pekin chce utrzymać spokój na Morzu Południowochińskim, ale że ta cisza nie potrwa długo.

Jedno na tych wodach pozostaje pewne: w najbliższych latach będą jeszcze bardziej zatłoczone wojskiem i jeszcze bardziej ufortyfikowane. Czy przez to staną się bezpieczniejsze? To zależy od wyniku strategicznych kalkulacji przywódców i generałów.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK

Autor jest korespondentem i analitykiem w Azji Południowo-Wschodniej. Z „Tygodnikiem" współpracuje od 2017 r.

JOANNA GOCŁOWSKA-BOLEK

Centrum Méridy, sierpień 2022 r.

Aby przeżyć

JOANNA GOCŁOWSKA-BOLEK Z MÉRIDY (ZACHODNIA WENEZUELA)

Mérida była kiedyś bogatym miastem. Teraz ludzie uciekają do stolicy lub za granicę. Po ponad dwóch dekadach socjalizmu Wenezuelczycy muszą walczyć o przetrwanie. Choć nie wszyscy.

Lotnisko krajowe w Méridzie, kiedyś ćwierćmilionowym mieście, jest zupełnie inne od międzynarodowego. Tamto było prawie puste. A na krajowym sporo ludzi, kilka lotów dziennie. Wenezuela to ogromny kraj, nie ma dróg i kolei, podróżowanie samolotem to jedyna opcja.

Urzędnik przy stoliku spisuje długopisem nazwiska z dokumentów do zeszyciku. Przy moim nazwisku ma problem, próbuje dwa razy, kreśli, w końcu zostaje tylko „Joanna" i numer paszportu. „Ty jesteś Joanna z Polski" – uśmiecha się. „Polonia, Wojtyla, Walesa, Lewandowski". I jeszcze: „Wodka, wodka". „Podróżujesz sama?" – wraca pytanie na wszystkich punktach kontrolnych.

W samolocie jestem chyba jedyną pasażerką z Europy. Pilot wita mnie przez megafon „Joanna z Polski". Dostaję brawa.

Kto mógł, wyjechał

Odpędzam tłum lokalnych taksówkarzy, sprzedawców i naciągaczy. Nie kupuję wymiętoszonych przekąsek ani ↦

↦ kolorowych napojów w plastikowych woreczkach. Ktoś mnie szarpie za rękaw, ktoś popycha, podbiega policjant i grozi mu palcem.

Wsiadam do „mojego" samochodu, zamówionego wcześniej na cały pobyt w Méridzie. Siedzi w nim kierowca Fabián i „jego kobieta", czyli Lenina Stalina. „Jestem Nina" – przedstawia się na dzień dobry. Siadam z tyłu. Nina mówi cały czas, opowiada o Méridzie. Było to bogate miasto, teraz bieda. Ludzie pouciekali do stołecznego Caracas albo do Kolumbii i Chile. Nina opowiada o szwagierce, bratanicy, o koleżankach, sąsiadkach. Wszyscy wyjechali. Niektórzy zostawili starych rodziców, dziadków. Niektórzy wraz z dziadkami małe dzieci.

Przejeżdżamy przez opustoszałe wsie. Opuszczone domy, zamknięte sklepiki, porzucone auta wrośnięte w ogródki. Nie ma tu nikogo. Czasem między domami zaplącze się wychudzony pies albo koza. Z kiedyś 28-milionowej Wenezueli w ciągu ostatnich dwóch dekad wyjechało za granicę 6,8 mln ludzi. Wielu z tych, co zostali, przeniosło się z prowincji do Caracas – stolica w ciągu dekady zyskała blisko 2 mln mieszkańców, rozrosły się fawele dookoła miasta. Czy im tam lepiej niż tutaj?

Doba w kolejce

Długa droga przez las deszczowy, przez Andy. Lotnisko leży półtorej godziny od miasta. Kiedyś było czynne lotnisko w samej Méridzie, ale od lat jest nieczynne – zdewastowane, z dziurawym pasem startowym, z rozkradzionym wyposażeniem. Nikt go nie zamierza remontować. Trzeba korzystać z tego odległego lotniska pośrodku niczego.

Zatem wszyscy przebijają się przez dżunglę do miasta, a droga, która pewnie kiedyś była główną arterią, wije się między górskimi pasmami. Co jakiś czas znika we wnętrzu góry. Tunele ciągną się kilometrami. Kiedyś musiało to być imponujące, teraz – niewygodne i niebezpieczne, bo asfalt się urywa, miejscami rwące rzeki wyłupały kawałki zbocza, trzeba znać drogę, aby wiedzieć, gdzie zwolnić, co ominąć, jak przejechać bokiem.

Na drogach mnóstwo złomu – bo trudno to nazwać samochodami. Jeżdżą na słowo honoru. Wiele aut rozkraczonych na poboczach, wokół zniechęceni kierowcy, bez nadziei na pomoc.

Mijamy ze dwie stacje benzynowe, opuszczone, zarośnięte dżunglą. Na kolejnej, czynnej, wije się kolejka na wiele kilometrów. Po benzynę czeka się co najmniej dobę. I nie można tankować do pełna. Jeszcze niedawno ropa była niemal za darmo, w dowolnych ilościach, zawsze. Zdarzają się napady złodziei na cysterny z paliwem.

Kawa w tunelu

„Mój" taksówkarz jedzie nieostrożnie, wpada w dziury, hamuje i przyspiesza bez sensu. Chcę zapiąć pasy, ale nie działają. Wjeżdżamy w tunel i ścigamy się z innymi. „Mój" taksówkarz podjeżdża za blisko, ten drugi przyspiesza. Tamto auto nie wytrzymuje, urywa mu się kawał blachy i uderza w naszą przednią szybę. Huk, hamowanie, zarzuca nas na ścianę.

Wygrzebujemy się z auta. Ten drugi samochód też się zatrzymał. Wybiega z niego mężczyzna, na oko 40-latek, chwyta się za głowę, przeklina. Nie może zapalić silnika i uciec, dlatego tak krzyczy. Kolejne auta zatrzymują się, blokują mu drogę ucieczki. Ktoś wzywa policję, czekamy długo. Tu nie ma ubezpieczeń i odszkodowań. Nie ma jak reperować samochodów, bo brakuje części zamiennych i nie działają warsztaty.

W końcu nadjeżdżają mundurowi. Wysłuchują wersji „mojego" taksówkarza, wyciągają tamtego na środek i zaczynają go okładać pięściami, potem kopać. „Płać, musisz zapłacić!" – wykrzykują. Słyszę, że w jego samochodzie płacze dziecko. Krzyczę, by go zostawili. Policjanci zdziwieni, kim jestem. Tłumaczę, że jestem zagraniczną dziennikarką i wszystko opiszę. „Mój" taksówkarz każe mi się zamknąć i wsadza mnie na siłę do samochodu. Policjanci grożą mi: „Żadnych zdjęć, nie nagrywać". Ale puszczają tamtego faceta. Z jego auta wybiega dziecko, może 4-letni chłopczyk, i przytula się do niego z płaczem: „Tatuś, tatuś, boję się...".

Tunel jest już całkiem zablokowany przez ciężarówkę z bydłem na ubój. Śmierdzi niesamowicie, krowy ryczą. Próbuję dodzwonić się do znajomych, którzy na mnie czekają, ale w tunelu nie mam zasięgu. No to czekam. Ktoś puka w szybę. Jakaś kobieta podaje mi kubek kawy z termosu. Kawa jest gęsta, lepka od cukru, pachnie Andami. Cudowna.

Policja na motorach wraca. Chłopczyk zaczyna krzyczeć ze strachu, zsikał się na środku drogi. Jego ojciec blady jak papier. Wysiadam znowu, podchodzę do nich. Złe spojrzenia. Ale jest spokojnie. Już nikt nikogo nie bije. Facet podpisuje jakiś dokument. Daje policji zwitek banknotów. Kręcą głowami, że mało. Wyciąga jeszcze coś i daje „mojemu" taksówkarzowi.

W końcu auta dookoła rozjeżdżają się. Krowy też. I my odjeżdżamy ledwie poruszającym się samochodem. Droga do miasta zajmuje kolejne trzy godziny, bo przednia szyba rozbita, trzyma się na słowo honoru, chybocze, nic nie widać, a samochód co chwila staje.

Tukany za oknem

Za to hotel wynagradza wszystkie trudy. Jest przepiękny. To raczej *posada* niż hotel. Składa się z wielu małych domków, pomiędzy nimi cudowna zieleń, a w przejściach między domkami, w holu i restauracji wiszą obrazy z galerii sztuki. A nuż jakiś zbłąkany turysta się skusi?

Tylko że tu nie ma turystów. Hotel jest niemal pusty.

W recepcji wisi ładna płaskorzeźba Jana Pawła II, przyozdobiona kwiatkiem.

Biorę prysznic w lodowatej wodzie, strzepuję z łóżka jaszczurki i tropikalne robale, i kładę się, żeby trochę się przespać, zanim obudzą mnie rozwrzeszczane papugi i tęczowodziobe tukany.

Zagłodzeni

Universidad de Los Andes. Swego czasu jedna z najważniejszych uczelni w Wenezueli i w ogóle w krajach andyjskich. Przestronny kampus, dużo zieleni, zacienione alejki. Kiedyś zapewne piękne uniwersyteckie miasteczko, dziś popadające w ruinę. Budynki osuwają się ze stoków, dróżki pozarastane, chodniki dziurawe.

Trwa trymestr letni, sporo studentów. Naprawdę sporo? Na uczelni jeszcze kilka lat temu studiowało 60 tys. osób, teraz zostało niespełna 15 tysięcy. A reszta? Uciekła z powodu biedy. Część do Kolumbii, niektórzy do Caracas. „Aby tam studiować?" – pytam. Śmiech. Nie, aby tam próbować przeżyć.

Spora sala, klimatyzowana. Ludzi pełno, chyba zgonili tu wszystkich studentów obecnych na kampusie. Jest trochę problemów technicznych z prezentacją, więc zaczynam od krótkiej lekcji o Polsce. Potem prezentacja już działa. Mówię o polskiej gospodarce, transformacji, przemianach w Europie. Padają pytania. Pierwsze

PEDRO RANCES MATTEY / AFP / EAST NEWS

Caracas, stolica Wenezueli, maj 2022 r.

o demokrację. Ale też o to, co zrobić z gospodarką, jak mają dźwignąć się z kryzysu, z katastrofy ekonomicznej, jak zwalczyć hiperinflację. Jak zwalczyć biedę. Takich pytań w Caracas nie słyszałam.

Słucham opowieści o parze starszych profesorów tej uczelni, którzy przeszli na emeryturę, ale nie byli w stanie za nią przeżyć. Nie mieli krewnych za granicą. Nie kupowali lekarstw, w końcu przestali kupować jedzenie. Parę tygodni temu znaleziono ich zagłodzonych na śmierć w ich mieszkaniu.

Do Polski

Obiad w stołówce uniwersyteckiej. Przez okna wdziera się rozbujała roślinność. Ostatnio sporo padało, drzewa i krzewy rozrosły się ponad miarę, nikt tu niczego nie przycina, o nic nie dba, ogrodnicy uciekli już dawno, brakuje sprzątaczek i obsługi.

Wewnątrz mało ludzi, niewiele osób zamawia cokolwiek. Na nas czeka jakaś zupa i coś w rodzaju kanapek z gęstym zielonym sosem. Przy okazji dowiaduję się, że często nie ma wody i prądu, a talerze wtedy są tylko wycierane papierem. Wiem, że po tym posiłku będzie mnie bolał brzuch, ale grzecznie zjadam swoją porcję. Na szczęście kawa jest doskonała.

Niespodzianka: w holu przed biblioteką wisi nasza wystawa! Ta wystawa przygotowana na 200-lecie Uniwersytetu Warszawskiego. Wtedy, sześć lat temu, uczelnia w Méridzie dumnie wystawiała ją na naszą prośbę. Teraz ją odkurzyli i ustawili znowu. Spontanicznie wygłaszam w bibliotece pogadankę o UW. Dostaję brawa.

Wszyscy chcą jechać do Polski.

Gdzie Putin ma rację

Seminarium z kadrą profesorską. Rozmawiamy o polityce zagranicznej, a właściwie o Rosji i wojnie w Ukrainie. Bardzo ich to interesuje. Propaganda rosyjska jest tu niezwykle aktywna i widać, że robi swoje – choć to naukowcy, więc szukają także innych źródeł informacji, chcą poznać, zrozumieć. Jednak są przekonani o słuszności decyzji Putina. Tłumaczę, prostuję, wyjaśniam. Kiwają głowami. Co z tego zostanie?

Rozmawiamy o potencjalnej współpracy między uczelniami. Od razu wiem, że to będzie zbyt trudne. To się nie uda. Nie teraz. Może kiedyś.

Wymyślam pretekst, by nie iść z nimi na kolację. Odnajduję „mojego" taksówkarza. Z radością chwali się, że pożyczył nowy samochód od szwagra i zawiezie mnie do hotelu.

Nazwanie tego środka transportu „nowym samochodem" to nadużycie. Z przodu to jest toyota, z tyłu ford. Sklecony z dwóch odrębnych części, pouzupełniany dodatkami z innych marek, co się udało znaleźć i dopasować. Ale jeździ. „Zatankowany!" – oświadcza dumnie kierowca. Stał całą noc w kolejce, żeby zdobyć benzynę.

Po drodze zwiedzamy centrum Méridy. Piękne miasto z cudownymi, ciepłymi mieszkańcami.

Żyję dzięki dzieciom

Wieczorem spotkanie z ważnym profesorem, byłym burmistrzem Méridy. Umawiamy się w kawiarni hotelowej. Jest przepiękna, jak galeria sztuki. I pusta. Zamawiam kawę, sok i ciastko. On nie zamawia nic. „Widzisz, moja droga, nie stać mnie na nic. Nawet na kawę" – tłumaczy.

Spędzamy trzy godziny – on opowiada, ja słucham i co jakiś czas zadaję pytania. Pewnie naiwne. Mówi, że jako profesor kilka lat temu zarabiał równowartość ok. 2 tys. dolarów, stać go było na wygodne życie. Teraz zarabia 100 dolarów na miesiąc, jego żona nie zarabia w ogóle. Kawa w tej restauracyjce kosztowała 6 dolarów, sok z pomarańczy 4 dolary, a najprostsza arepa z warzywami 6,5 dolara. Ceny są drukowane na oddzielnej kartce, bo zmieniają się co chwila. Tu jest inflacja nawet w dolarach. Profesor wylicza: „Żyję tylko dzięki moim dzieciom. Mam czworo dzieci, dwoje mieszka w Montrealu, jedno w Madrycie i najmłodsza córka w Londynie. Oni mi co miesiąc przesyłają pieniądze. Bez tego umarłbym z głodu".

To najciekawsza z moich rozmów w Wenezueli. Uczę się rozumieć ten kraj i Wenezuelczyków. Widzę ogromne różnice między Caracas a prowincją. To dwa różne kraje. Oba nieszczęśliwe na swój sposób.

Do szpitala ze swoim

Umawiamy się jeszcze na drugi dzień, ale tym razem on zaprasza do domu, żona ma przygotować kolację. „Widzisz, nie stać mnie, aby zaprosić cię choćby na kawę do restauracji" – smutno podsumowuje.

Żona profesora okazuje się przemiłą starszą panią. Przygotowuje skromne, ale pyszne przekąski. Siadamy na wygodnej kanapie, w domu widać oznaki dawnej świetności i obecny upadek finansowy. Pełno obrazów, makatek, bibelotów, piękne meble.

Pani profesorowa opowiada, że zachorowała na raka. W Wenezueli nie ma lekarstw. Są szpitale, ale do szpitala trzeba zabrać wszystko swoje: lekarstwa, strzykawki, rękawiczki jednorazowe, nawet swój papier toaletowy. I zapłacić za paliwo do generatora prądu, bo często odcinają miejskie zasilanie. ↦

W Wenezueli w ogóle nie da się kupić żadnych lekarstw, chyba że w Caracas, gdzie funkcjonują cztery w miarę wyposażone apteki. Jednak też bez skomplikowanych leków. To jak się leczyć? Trzeba zapłacić przemytnikom, by przewieźli medykamenty przez zieloną granicę z Kolumbii. Do wyboru są dwie organizacje przestępcze, trudniące się takim przemytem. Pierwsza to partyzanci z ELN – rebelianci wygnani z Kolumbii, przygarnięci przez Nicolása Maduro, od dziewięciu lat prezydenta Wenezueli. Radzą sobie tu nieźle, przenieśli swoje kolumbijskie struktury narkohandlu po prostu na drugą stronę granicy. Druga to armia wenezuelska: wojsko na granicy zajmuje się przemytem ludzi, lekarstw, żywności. I oczywiście narkotyków.

Profesor i jego żona umówili się z gangsterami na przemyt chemioterapii z Kolumbii. Za jedną jej porcję musieli zapłacić 1400 dolarów. Potrzebne było osiem. Do tego inne lekarstwa. To pochłonęło wszystkie ich oszczędności, sprzedali samochód i wartościowe przedmioty. Ale żona wyzdrowiała.

A jeśli ktoś nie ma pieniędzy na przemycane lekarstwa? Cóż, to po prostu umiera.

Aby leczyć raka, trzeba opłacić przemytników, którzy przerzucą leki przez zieloną granicę. Do wyboru są dwie organizacje przemytnicze: kolumbijscy partyzanci i wenezuelska armia.

Socjalizm zawsze zwycięża

Mam lot do stolicy o szesnastej, ale rano lokalne władze ogłaszają, że tunele będą zamknięte z powodu prac remontowych. „Mój" taksówkarz tłumaczy, że trzeba jechać okrężną drogą, co najmniej cztery godziny.

Wyjeżdżamy z samego rana, a ledwie zdążę. Droga jest kręta, wąska, często się urywa, bo ostatnie deszcze rozmywają ją i nikt nie naprawia. Za to widoki gór zapierają dech w piersiach. Zatrzymujemy się czasem, by poszukać jakiegoś przejazdu, potem samochód rusza z trudem. Modlę się w duchu, żeby nie rozkraczył się gdzieś na tym pustkowiu, tu ani nie da się do nikogo dodzwonić, ani znaleźć innego transportu.

Przejeżdżamy przez kilka miejscowości. Raczej opuszczone, zaniedbane. Obraz potwornej nędzy. Na rozwalających się murach nieczynnej szkoły widać odrapane murale z podobiznami Maduro oraz jego poprzednika Hugo Cháveza, który w 1999 r. został prezydentem i rozpoczął socjalistyczny eksperyment.

„Socjalizm zawsze zwycięża" – głosi hasło na murze.

Na jednym z opuszczonych przystanków, na który od lat nie zajeżdża żaden autobus, siedzi młoda dziewczyna w ciąży. Płacze.

Influencerka

W Caracas prosto z lotniska kierowca wiezie mnie opancerzonym mercedesem na przyjęcie. Trafiam w środek imprezy. Na stole piętrzy się mnóstwo przekąsek, tak wykwintnie podanych, że nie wiem, jak się do nich zabrać. Nie zdążam zapoznać się z przekąskami, a już wjeżdżają palety grillowanych mięs. „Wołowina z Urugwaju, świeżo sprowadzona!" – słyszę zapewnienia. Drogi alkohol. Przy naszym stoliku siedzi dziesięć osób, a w całej restauracji, luksusowej i drogiej nawet jak na Caracas, jest pełno ludzi. Muzyka na żywo, nastrojowe oświetlenie. Z tarasu piękny widok na wybrzeże.

Siedzę obok tutejszej influencerki. Ufarbowana na bardzo jasny blond, paznokcie w kolorach flagi narodowej, staranny makijaż. Podkreśla, że skończyła studia za granicą. Opowiada głównie o nowych lokalach, które się otwierają w stolicy, o modnych klubach. Wspomina od niechcenia, że za jej obecność na tym przyjęciu, gdy tylko wrzuci zdjęcie tej restauracji na swojego Instagrama, zainkasuje 500 dolarów. Za jedno zdjęcie. Tak zarabia na życie.

Interesy

Właściciel restauracji zaprasza mnie do obejrzenia jego nowego sklepu, tuż obok. Sprowadza najlepsze alkohole świata. W lodówkach pełno mrożonego mięsa, z naklejonymi plakietkami: to z Argentyny, to z Urugwaju. Jest też sporo słodyczy, papierosy, cygara. Zwracam uwagę na jednorazowe grille, takie które u nas w Biedronce można kupić za kilkanaście złotych. Tu kosztują 70 dolarów i są towarem luksusowym. Brykiet do grilla i rozpałka też.

Właściciel tłumaczy, że do tej pory mieszkał w Miami i głównie tam robił interesy, ale od kiedy Donald Trump nałożył sankcje na Wenezuelczyków związanych z reżimem Maduro, już nie może wyjeżdżać do USA. Z nudów inwestuje w Caracas. Ma już kilka sklepów i dwie restauracje. Zajął się budowaniem biurowców, dwa już stoją, teraz buduje kolejne. „Caracas kwitnie" – przekonuje.

■■■

Na odchodne dostaję propozycję od influencerki. Koniecznie chce odkupić mój plecaczek. Jest kolorowy, skórzany, służy mi jako podręczna torebka. Wenezuelce spodobało się logo polskiej firmy, u nich nie ma takich. „Dam ci za niego 300 dolarów. Albo 400. Ile chcesz. Sprzedaj" – prosi.

Uparłam się i nie sprzedałam. Ale pozwoliłam, żeby zrobiła sobie z nim selfie. Wrzuci na Insta, to zalajkuję.

© JOANNA GOCŁOWSKA-BOLEK

Autorka jest latynoamerykanistką, pracuje na Uniwersytecie Warszawskim.

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Tychach I Wydziale Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 184/22, toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości gruntowej położonej w Tychach (43-100) przy ul. Myśliwskiej nr 120, obejmującej działkę gruntu o nr. 249/8 o powierzchni 0,0318 ha, dla której Sąd Rejonowy w Tychach prowadzi księgę wieczystą o nr. KA1T/00000009/. Ujawnionym właścicielem opisanej nieruchomości jest Józefa Broncel, c. Klemensa i Marii, zm. 28 kwietnia 1986 r. w Tychach, a aktualnie nieruchomość pozostaje w posiadaniu Romana Patola i Heleny Nachowiak-Patola.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Tychach i wykazali swoje prawo własności, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 36/2022

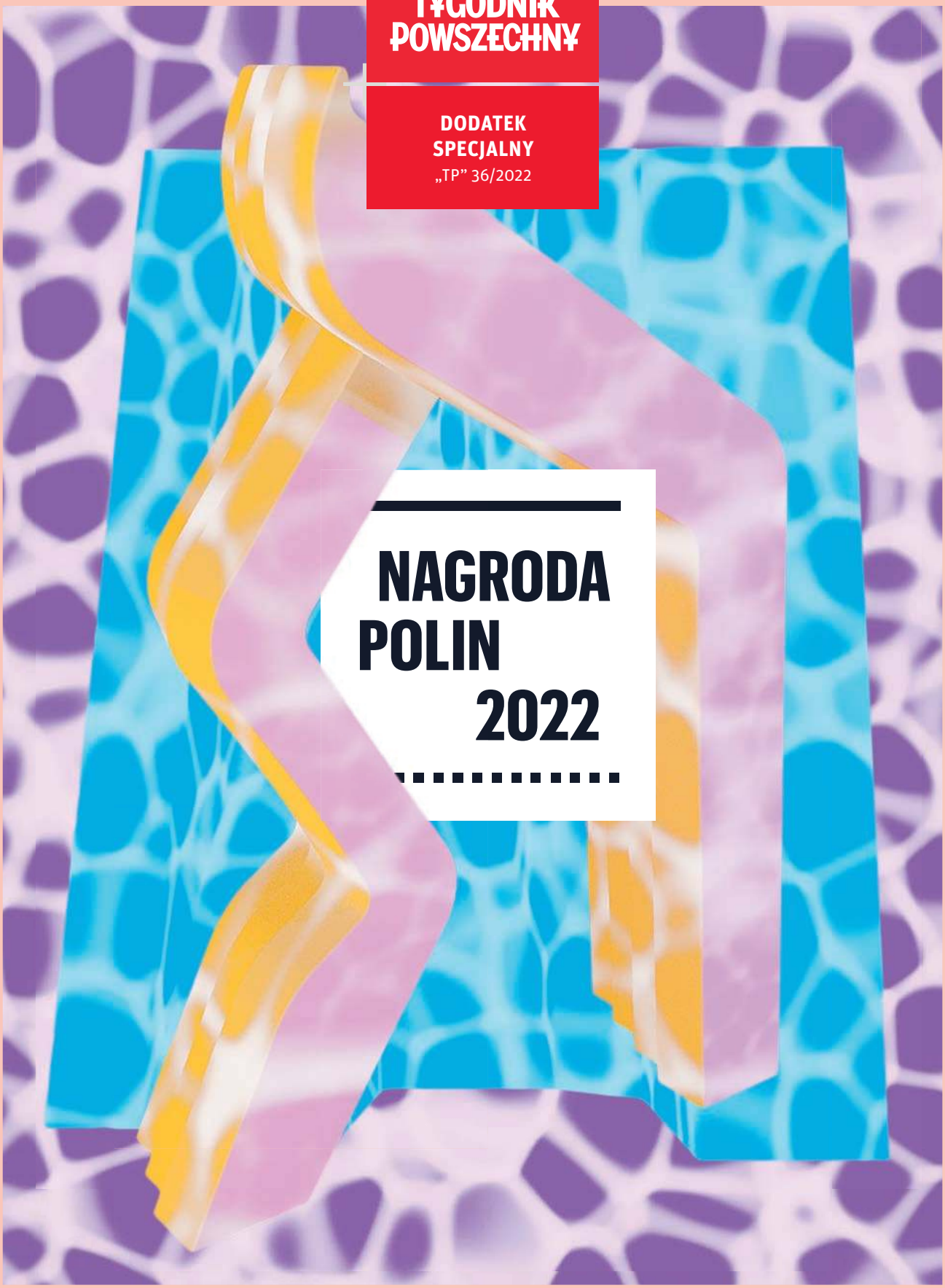

NAGRODA POLIN 2022

Szukając nadziei

W „skrwawione ziemie” znów wsiąka krew pomordowanych, a zbrodnie dokonane w Buczy i wielu innych ukraińskich miejscowościach mimowolnie przywołują obrazy sprzed 80 lat.

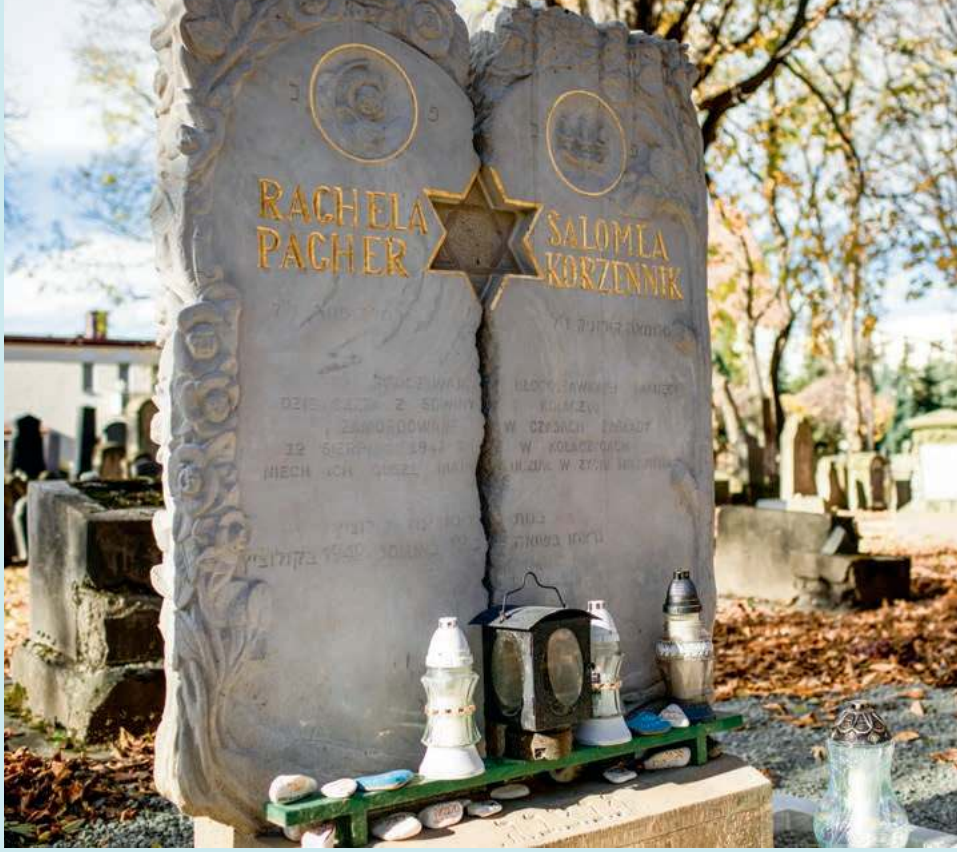

Upamiętnienie Sali Korzennik i Racheli Pacher na cmentarzu żydowskim w Tarnowie – dziewczynek zamordowanych w 1942 roku podczas likwidacji społeczności żydowskiej Jasła i okolic. Stało się ono możliwe dzięki działalności Ingi Marczyńskiej, która otrzymała wyróżnienie w konkursie Nagroda POLIN 2021.

Pod koniec listopada Muzeum POLIN po raz ósmy przyzna nagrody osobom lub organizacjom szczególnie zasłużonym dla ratowania materialnej i niematerialnej spuścizny polskich Żydów. Wyróżnimy tych, którzy poświęcają czas i energię, by pielęgnować to, co przetrwało kataklizmy XX wieku. Kataklizmy, które niemal doprowadziły do ustania życia żydowskiego na ziemiach polskich. Jednak to życie szczęśliwie przetrwało i wciąż, mimo wielu przeciwności, rozwija się. W wielu miastach i miasteczkach jest to zasługą finalistów konkursu Nagroda POLIN. Dzięki nim do tysiącletniej historii Żydów polskich wytrwale dopisywane są kolejne rozdziały.

Tegoroczną Nagrodę POLIN wręczać będziemy w czasie szczególnym. Wojna za naszymi granicami wywołana przez rosyjską agresję na Ukrainę dowodzi, że lekcje z dwudziestego stulecia nie zostały odrobione. W „skrwawione ziemie” znów wsiąka krew pomordowanych kobiet, mężczyzn i dzieci. Zbrodnie dokonane przez najeźdźców w Buczy i wielu innych ukraińskich miejscowościach mimowolnie przywołują obrazy sprzed 80 lat.

Choć w dzisiejszych czasach trudno o optymizm, nadziei szukać można właśnie w aktywistach i wolontariuszach – ludziach, którzy bezinteresownie chcą zmieniać świat. Kierują nimi najszlachetniejsze pobudki – niezależnie, czy pielęgnują pamięć o swoich żydowskich sąsiadach, czy przynoszą kanapki zgłodniałym ludziom, uciekającym przed wojną. Te wielkie pokłady dobra i miłości pozwalają wbrew wszystkiemu wierzyć, że dobre czasy i pokój w końcu nastaną.

© ZYGMUNT STĘPIŃSKI

Autor jest dyrektorem Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

NAGRODA POLIN zostanie przyznana w tym roku już po raz ósmy. 30 listopada trafi do osoby lub organizacji aktywnie działającej na rzecz ochrony pamięci o historii polskich Żydów. Zwycięzca i finaliści konkursu otrzymają nagrody finansowe. Łączna wysokość nagród pieniężnych dla laureata, wyróżnionych i nominowanych wynosi co najmniej 60 tysięcy złotych.

DO 30 WRZEŚNIA każdy może zgłosić swojego kandydata poprzez formularz umieszczony na stronie internetowej **www.polin.pl/nagroda**

Ogłoszenie laureatów konkursu odbędzie się 30 listopada 2022 roku podczas uroczystej gali w Muzeum POLIN. Wydarzenie będzie transmitowane w mediach społecznościowych Muzeum POLIN.

MECENASEM KONKURSU NAGRODA POLIN 2022 JEST JANKILEVITSCH FOUNDATION.
Nagrody pieniężne ufundowali: Tomek Ulatowski, Znamienity Darczyńca Muzeum POLIN, Odette and Nimrod S. Ariav Foundation, Ewa Masny-Askanas i Wiktor Askanas oraz anonimowy darczyńca.

ORGANIZATORZY:
Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN
STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Iceland Liechtenstein Norway grants
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
POLIN Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

Dać impuls do zmian

Mam nadzieję, że Nagroda POLIN coraz częściej będzie trafiać w ręce osób dbających o dziedzictwo Żydów polskich również za naszą wschodnią granicą.

Przed wojną w Polsce mieszkało blisko 3,5 miliona Żydów. Pozostawili oni po sobie wielkie materialne i kulturalne dziedzictwo, rozsiane po miastach, miasteczkach i wsiach nie tylko całej Polski, ale również dzisiejszej Ukrainy, Białorusi i Litwy.

Pierwszy obraz, jaki pojawia mi się przed oczami, gdy słyszę o spuściźnie żydowskiej, to cmentarz żydowski w Warszawie – zapewne dlatego, że cała rodzina mojego ojca jest tu pochowana. Hektary starych, zarośniętych macew tworzą krajobraz przesiąknięty pustką i ciszą – jest to miejsce wyjątkowe. W Polsce znajduje się około 1200 cmentarzy oraz setki synagog i innych budynków służących przed wojną społeczności żydowskiej. Większość z nich jest w złym stanie. Jedynie dzięki pracy lokalnych aktywistów, którzy wspierają nieliczną dziś społeczność żydowską, stan tych miejsc nie ulega dalszemu pogorszeniu. Nagroda POLIN jest formą podziękowania osobom dbającym o to, co pozostało po polskich Żydach.

Spuścizna polskich Żydów znajduje się nie tylko w Polsce. Pod koniec 2021 r. odwiedziłem miejsca związane z rodziną mojej matki, znajdujące się dziś w Ukrainie. Tam sytuacja wydawała mi się o wiele trudniejsza. Porzucone i zapomniane dziedzictwo żydowskie czekało na swój czas po okresie długiego zaniedbania. Aspiracje Ukraińców i powolnie rozpędzająca się modernizacja kraju dawały nadzieje, że podobnie jak w Polsce, tak i w Ukrainie znajdą się ludzie nieobojętni na naszą wspólną polsko-żydowsko-ukraińską historię. Wojna na jakiś czas spowolniła ten proces, jednak wierzę, że nie da się go już zatrzymać. Mam nadzieję, że Nagroda POLIN coraz częściej będzie trafiać w ręce osób dbających o dziedzictwo Żydów polskich także za naszą wschodnią granicą.

W ramach Programu Grantowego naszego Stowarzyszenia od 10 lat wspieramy grantami wszystkich tych, którzy przyczyniają się do zachowania dziedzictwa żydowskiego. W tym roku, chcąc dać impuls do zmian poza granicami Polski, zdecydowaliśmy, że zgłaszane projekty mogą być realizowane również w obrębie historycznych granic Polski. Serdecznie zachęcam do wystartowania w naszym konkursie grantowym, w którym można złożyć aplikację do 9 września. Dzięki tym lokalnym działaniom wspólnie dokonamy wielkiej zmiany.

© PIOTR WIŚLICKI

Autor jest przewodniczącym Stowarzyszenia Żydowskiego Instytutu Historycznego w Polsce.

MACIEK JAŹWIECKI / MUZEUM POLIN x2

Ludzie działający przeciw niepamięci

Liderzy Dialogu stawiają pomniki, tworzą i wieszają tablice upamiętniające. Dbają, by z niepamięci wydobyć na powrót przynajmniej imiona i nazwiska.

Strażnicy chroniący pamięć, aktywistki i aktywiści z całej Polski – z miejsc, gdzie mieszkali Żydzi i które przez stulecia współtworzyli. Osoby zdeterminowane, od lat lub od niedawna działające z przekonaniem, że dziedzictwo żydowskie w Polsce wymaga ochrony – a Żydzi, którzy tu żyli, zasługują, by dzisiejsi mieszkańcy Polski wiedzieli o nich, pamiętali i zdawali sobie sprawę z Zagłady, która działa się również w tych miejscowościach.

Od blisko dekady Forum Dialogu tworzy sieć osób zaangażowanych w poprawianie relacji polsko-żydowskich. Spotykamy się na dorocznych konferencjach ogólnopolskich (w tym roku wróciliśmy do tego po trzyletniej, pandemicznej przerwie), w grupach regionalnych, podczas szkoleń oraz na organizowanych przez nich wydarzeniach, upamiętniających społeczności żydowskie. W miejscowościach, gdzie nie mieszkają już Żydzi, ale są ich ślady, choć czasem zapomniane, zatarte w powojennych dekadach. Oni odkrywają te ślady, czasem zupełnie dosłownie, odkopując schody do synagogi, której już nie ma, lub odnajdując i dostarczając na teren cmentarzy żydowskich macewy wykorzystane w innych miejscach, np. jako budulec. Pokazują te pozostałości innym, opowiadają, dokumentują losy konkretnych rodzin. Stawiają pomniki, tworzą i wieszają tablice upamiętniające. Dbają, by z niepamięci wydobyć na powrót przynajmniej imiona i nazwiska. A gdy to możliwe, nawiązują relacje z rozsianymi po całym świecie potomkami dawnych sąsiadów. Zapraszają, by przyjechali i wspólnie, w rozmowie i czynie, odbudowują lub tworzą zupełnie nowe relacje polsko-żydowskie. W każdym sensie tej frazy.

To ludzkie działania przywracają pamięć – bo tak trzeba, bo są to winni zmarłym albo właśnie swoim dzieciom i dzisiejszym sąsiadom. Ich największym wrogiem jest samotność, pojawiająca się niechęć otoczenia, zmęczenie i wypalenie, brak środków, wir własnych spraw osobistych i zawodowych albo inne sprawy społeczne, które domagają się naszej uwagi. Nie zarzucają jednak troskliwej pamięci o dziedzictwie żydowskim, bo to dalej ważne dla nas wszystkich. Oby te działania były coraz łatwiejsze, a grono ich sojuszników coraz szersze.

© OLGA KACZMAREK

Autorka jest dyrektorką Forum Dialogu, członkinią kapituły Nagrody POLIN.

Finaliści konkursu Nagroda POLIN 2021

Nagroda POLIN jest przyznawana od 2015 roku.

Dotychczasowymi laureatami konkursu byli: Tomasz Pietrasiewicz, Jacek Koszczan, Joanna Podolska, Tomasz Wiśniewski, Natalia Bartczak, Paweł Kulig i Dariusz Popiela. Poznajcie lokalnych dziwałaczy społecznych, którzy znaleźli się w finale konkursu w ubiegłym roku.

MACIEK JAŹWIECKI / MUZEUM POLIN x6

DARIUSZ POPIELA, MAŁOPOLSKA

Sportowiec, mistrz olimpijski w kajakarstwie górskim. Współorganizator uroczystości rocznicowych związanych z tragedią Żydów oraz spotkań przybliżających kulturę żydowską w Nowym Sączu. Inicjator i koordynator budowy pomników upamiętniających z imienia i nazwiska Żydów, ofiary Zagłady z Krościenka nad Dunajcem, Grybowa i Czarnego Dunajca. W listopadzie 2021 r. na cmentarzu żydowskim w Nowym Targu upamiętnionych zostało prawie 2900 ofiar. W ramach projektu „Ludzie, nie liczby" realizowane są badania, mające na celu lokalizację i zabezpieczenie zbiorowych grobów, a także kwerendy archiwalne na temat żydowskich mieszkańców okolicznych miejscowości. Ich życiorysy publikowane są w internecie i lokalnych mediach.

Szczególnym elementem projektu są uroczystości, podczas których odczytywane są imiona i nazwiska wszystkich upamiętnionych ofiar Holokaustu. Dzięki tej akcji wiele z nich, po raz pierwszy od czasu Zagłady, zostało wypowiedziane na głos na cmentarzu w rodzinnych stronach zamordowanych. Jest to swego rodzaju symboliczny pochówek dla ofiar, które nawet tego podstawowego prawa zostały pozbawione. Ostatnia taka uroczystość odbyła się 7 listopada 2021 r. w Nowym Targu.

INGA MARCZYŃSKA, MAŁOPOLSKA I PODKARPACIE

Artystka-plastyk i edukatorka. Mieszka w Jaśle, lecz jej działalność obejmuje wiele innych miejscowości regionu. Dba o miejsca pamięci, o które często nikt inny się nie troszczy, prowadzi zajęcia edukacyjne dla młodzieży i warsztaty artystyczne poświęcone kulturze i tradycji żydowskiej.

Dzięki jej zaangażowaniu możliwe stało się przywrócenie pamięci o Sali Korzennik i Racheli Pacher. Po 79 latach dziewczyny z Kołaczyc, zamordowane w 1942 r. podczas likwidacji społeczności żydowskiej Jasła i okolic, zostały pochowane na cmentarzu żydowskim w Tarnowie. Działania nadzorowała komisja rabiniczna, pogrzeb poprowadził naczelny rabin Polski Michael Schudrich, który powiedział wówczas: „Po 79 latach pokazaliśmy, że los każdej ofiary jest dla nas niezwykle ważny i dzięki takim ludziom jak Inga było możliwe godne pożegnanie ofiar". Dziś Rachela Pacher i Sala Korzennik mają swój pomnik, którego budowę wsparli darczyńcy z Polski i ze świata, dzięki zbiórce zorganizowanej przez Ingę Marczyńską. Pomaga także nielicznym ocalałym rodzinom poznać swoją historię. Prowadzi kwerendy genealogiczne, odszukuje imiona i nazwiska, czasem macewy na lokalnych cmentarzach i przekazuje informacje, które dla rodzin ocalałych są niezwykle cenne.

URSZULA RYBICKA, WROCŁAW

Publicystka, recenzentka, edukatorka i prezeska Fundacji Żydoteka. Przybliża polskim czytelnikom kulturę żydowską, skupiając się przede wszystkim na literaturze. Publikuje w mediach społecznościowych, gdzie jej wpisy śledzi kilkanaście tysięcy osób. Stworzona przez nią Żydoteka jest jedynym polskim serwisem, który w kompleksowy sposób prezentuje literaturę Żydów. Urszula Rybicka jest także autorką projektu Żydowski Wrocław, który zrealizowała w ramach Stypendium Prezydenta Wrocławia. W 2021 r. premierę miała jej strona internetowa o żydowskiej tożsamości stolicy Dolnego Śląska: zydowskiwroclaw.pl.

Urszula Rybicka wierzy, że poprzez popularyzację bogactwa literatury żydowskiej można budować mosty pomiędzy kulturami. Uniwersalny język sztuki przemawia do czytelnika, bo posiada nie tylko walory literackie, lecz także poznawcze. Żydoteka pokazuje, że kultura żydowska jest zróżnicowana i każdy może znaleźć w niej coś ciekawego dla siebie. Ważną częścią jej pracy są wpisy poświęcone literaturze faktu, dzięki której można poznawać konkretne zagadnienia z historii polskich Żydów. Urszula Rybicka we wszystkich swoich działaniach udowadnia, że kultura żydowska i polska są ze sobą nierozerwalnie związane.

MAREK CHMIELEWSKI,
ORLA (PODLASIE)

Sołtys wsi Orla, radny Rady Gminy Orla. We współpracy z Gminnym Ośrodkiem Kultury w swojej miejscowości oraz lokalnymi organizacjami NGO podejmuje szereg działań, mających na celu upamiętnienie żydowskich mieszkańców gminy.

Historią Żydów, mieszkających niegdyś w Orli, zainteresował się kilkadziesiąt lat temu. Kilkanaście lat temu wspólnie z kolegą, ówczesnym dyrektorem szkoły podstawowej, zorganizował wystawę starych rodzinnych zdjęć orlańskiej społeczności oraz wydał album „Orla – historia zapisana obrazem". W tym celu chodził od domu do domu i oprócz zdjęć otrzymywał od najstarszych mieszkańców historie – świadectwa pamięci o żydowskich sąsiadach. To zapoczątkowało kolejne akcje, takie jak tłumaczenie z jidysz na polski odnalezionych na terenie getta białostockiego pamiętników ostatniego rabina Orli, nawiązanie kontaktów z potomkami żydowskich mieszkańców Orli, zdobycie środków na zakup fotokopii całej kolekcji zdjęć, obrazującej życie społeczności żydowskiej w przedwojennej Orli, a także odzyskiwanie macew z cmentarza.

Szczególnym miejscem działań Marka Chmielewskiego jest przepiękna synagoga w Orli – to tutaj odbywają się uroczystości, koncerty, wydarzenia kulturalne, wystawy, konferencje, projekcje współczesnych filmów izraelskich, a przede wszystkim codzienne rozmowy z mieszkańcami Orli.

URSZULA ANTOSZ-REKUCKA,
MSZANA DOLNA (MAŁOPOLSKA)

Opiekunka zabytków, założycielka i prezeska Fundacji Sztetl Mszana Dolna. Jest katechetką, która od lat dba o pamięć o dawnych żydowskich mieszkańcach Mszany Dolnej. Przybliża piękno żydowskiej kultury, edukuje uczniów w poszanowaniu dla innych wyznań i kultur, często za cenę stygmatyzacji i narażania się na antysemickie wyzwiska. Mówi, że „wkalkulowała to w koszty" walki o godną pamięć niewinnych ofiar, które wycierpiały znacznie więcej od niej.

Co roku organizuje obchody Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu, miejskich rocznic Zagłady w Mszanie Dolnej i Dnia Judaizmu. Odwiedza z uczniami zbiorowe mogiły żydowskie i stary kirkut. Na swoich autorskich lekcjach uczy o niebezpieczeństwach antysemityzmu i dyskryminacji.

Jest autorką i redaktorką portalu sztetlmszanadolna.com. Przyczyniła się też do remontu pomnika na Pańskim w Mszanie Dolnej i upamiętnienia nastoletnich Ofiar Zagłady w tej miejscowości: 167 kamyków dla zamordowanych nastolatków, które na cmentarz przynieśli uczniowie miejscowego Zespołu Szkół Techniczno-Informatycznych. Urszula Antosz-Rekucka regularnie organizuje szabasowe kolacje poświęcone pamięci dawnych mieszkańców Mszany oraz spacery pamięci dla tych dzisiejszych. Obecnie pracuje nad upamiętnieniem Ofiar Zagłady, które do tej pory leżą w nieoznaczonych dołach na lokalnym cmentarzu żydowskim.

JÓZEF GUCWA,
BOBOWA (MAŁOPOLSKA)

Mieszkaniec Bobowej, od lat jest pasjonatem lokalnej historii. W 2018 r. z własnych środków dokonał zakupu pożydowskiego budynku, z zamysłem stworzenia tam muzeum. Izba „Okruchy pamięci Dom Landaua" została otwarta w Bobowej przy ul. Rynek 7 w 2020 r. To właśnie tu Józef Gucwa starannie wyszukiwał, odnawiał, gromadził i ostatecznie udostępnił publiczności wszystkie odnalezione przedmioty – aby wiernie oddać przedwojenny charakter gospody, prowadzonej przed laty przez rodzinę Leona Landaua. Józef Gucwa stale poszerza swoją kolekcję judaików i obiektów, jakie pozostawili po sobie bobowscy Żydzi.

Od 2018 r. Józef Gucwa opiekuje się grobami rodziny Landauów na cmentarzu żydowskim w Bobowej i utrzymuje kontakt z ich potomkami mieszkającymi w USA. Angażuje się także w organizację Dni Bobowej z Kulturą Żydowską, oprowadzając turystów po zabytkach związanych z historią bobowskich Żydów, włącznie z ohelem cadyka Salomona ben Natana Halberstama, do którego po dziś dzień pielgrzymują chasydzi z różnych stron świata. ©℗ Opracował MS

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 36/2022
REDAKCJA: Michał Sowiński
OKŁADKA: Piotr Matosek / Muzeum POLIN
TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn
KOREKTA: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow

PODZIEMNA ODESSA

Kiedyś służyły przemytnikom i partyzantom, dziś znów upomina się o nie historia. Bo odeskie katakumby to nieustanny splot historii naturalnej i dziejów tego miasta.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

Kanał „Odiesskij Frajer" odgrywa dziś ważną rolę w życiu mieszkańców Odessy. Na tym lokalnym medium – funkcjonującym w komunikatorze Telegram, z którego korzysta dziś chyba każdy Ukrainiec – najszybciej publikowane są lokalne aktualności dotyczące wojny.

Tamtego 7 maja „Odiesskij Frajer" napisał, jakoby Pentagon doradzał prezydentowi Zełenskiemu i ukraińskiemu sztabowi generalnemu, by wykorzystali doświadczenia broniącego się wtedy jeszcze mariupolskiego Azowstalu do ewentualnej obrony Odessy.

Kilka dni później na tym samym kanale mogliśmy przeczytać, że Maksim Marczenko, szef odeskiej obwodowej administracji wojskowej, nakazał opracować „plany katakumb, które będzie można wykorzystać w celach militarnych". Jeszcze tego dnia związany z biurem Zełenskiego kanał „Legitimnyj" podał, że rozpoczęto „rozkonserwowywanie" wejść do odeskich katakumb na terenie miejskich przedsiębiorstw.

Pojawiły się komentarze, że ten podobno najdłuższy na świecie system pod-

NURPHOTO / GETTY IMAGES

Mieszkańcy Odessy w katakumbach, służących dziś za schron przeciwlotniczy. 29 czerwca 2022 r.

ziemnych korytarzy, jaskiń i piwnic zostanie przekształcony w sieć schronów i magazynów – i że w ten sposób Odessa, ta Czarnomorska Perła, stanie się fortecą nie do zdobycia.

Carskie i sowieckie

Czym są odeskie katakumby? Ich historyczna nazwa jest myląca, bo nie służyły one celom pogrzebowym. W istocie jest to sieć podziemnych korytarzy, spośród których 95 proc. zostało wydrążonych przez człowieka, wydobywającego kamień do budowy miasta.

Kopalniane wyrobiska łączą się ze sobą i najdłuższy, Nierubajsko-Usatowskij kompleks, na północ od granic miasta, liczy 900 km – więcej niż szanghajskie metro. Szacuje się, że łącznie katakumby mają od 2,5 do 3 tys. km długości, przy czym pod samą Odessą jest tylko 400 km, a reszta na obszarze pobliskich miejscowości. Biegną na głębokości od kilku do nawet 50 metrów pod ziemią. Wykuwano je od początków istnienia miasta, a więc od końca wieku XVIII, aż do lat 60. wieku XX. Wprawdzie kamień wydobywa się i dziś, ale nie drąży się już tuneli pod zabudowaniami.

Można wyróżnić dwa rodzaje korytarzy: z czasów carskich (szerokie na co najmniej 3 metry i wysokie na 2-2,5 metra, zazwyczaj jednopoziomowe) oraz z czasów sowieckich – te są węższe, bo do maksimum 3 metrów, a także niższe (ok. 1,5-1,7 metra) i drążone jeden pod drugim, nawet do trzech poziomów. Na całym obszarze katakumb naliczono około tysiąca różnego rodzaju wyjść – od niepozornych blaszanych klap nad sztolniami do wyjazdów z wyrobisk. W minionej dekadzie zostały oficjalnie pozamykane, ale z tym bywa różnie i lokalne media wciąż donoszą o jakichś zajściach w odeskich podziemiach.

Ale owe katakumby w 5 procentach nie są kamieniołomami. To liczące niemal 6 km elementy starej kanalizacji, rozbudowane piwnice oraz bunkry czy schrony, a także kilometry różnych łączników czy przejść. No i wreszcie półtora kilometra naturalnych jaskiń krasowych.

Systemem odeskich katakumb już w połowie XIX w. zainteresowali się naukowcy. W zależności od koniunktury badawczej, ale głównie w zależności od polityki oraz (odrobinę) od przypadku, pojawiali się tu przedstawiciele różnych dyscyplin.

Okiem paleontologa

Pierwszym, który je badał, był najprawdopodobniej fiński biolog i paleontolog Alexander von Nordmann, który w 1847 r. znalazł kości paleolitycznych zwierząt w jaskini pod tzw. Karantinną Bałką (na marginesie: jedną z głównych ulic tej historycznej dzielnicy zamieszkiwali Polacy). Niestety miejsca, gdzie pracował naukowiec, zniszczyli górnicy.

Podobny los spotkał stanowiska geologiczne, które wyznaczył na przełomie lat 60. i 70. XIX w. carski geolog Nikołaj Barbot de Marny. Jego prace oraz podjęta w 1875 r. urzędnicza „identyfikacja min" (słowa tego używano wówczas jako synonimu wszystkich podziemi) służyły raczej mapowaniu katakumb, a nie nauce.

Badania naukowe *sensu stricte* podjęto znów pod koniec lat 20. XX w. – i tak jak w czasach Nordmanna zaczęło się od paleontologii, choć nie obyło się bez przekłamań. Nawet w oficjalnych opracowaniach zdarza się, że i dziś przeczytamy o Timowieju Gricaju jako tym, który dokonał tu odkryć. Człowiek ten zapewne dotarł do kluczowych miejsc, ale bez wsparcia fachowca nie umiałby docenić znaleziska. Tym, kto pokierował Gricajem, 25-letnim szewcem, był niejaki Okol'skij (lub, jeśli miał polskie korzenie, Okólski).

Wiadomo, że od 1904 r. Okol'skij pracował jako ekspert górniczy a od ok. 1915 r. jako urzędnik zajmujący się weryfikowaniem poprawności drążenia wyrobisk. Inżynier i geolog, dostrzegł on naukowy potencjał katakumb, ale I wojna światowa, a później dwie rewolucje (demokratyczna i bolszewicka) oraz wojna domowa nie sprzyjały badaniom. I gdy tylko nadarzyła się okazja, niejako rękami proletariusza Gricaja rozpoczął wykopaliska.

Taki tandem odkrył pod Odessą krzemienne narzędzia sprzed 70 tys. lat, ale najważniejsze znaleziska trafiły się im w jaskiniach Zapowiedniej (Skrytej) pod Mołdawanką oraz we wsi Ilinka. Były to kości plejstoceńskich lwów, wielbłądów, nosorożców, a nawet strusi i jeżozwierzy.

Z czasem rozszerzono obszar badań i okazało się, że także inne jaskinie obfitują w świetnie zachowane paleolityczne kości. I tak oto w tragicznych dla Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej latach 30., gdy także w Odessie ludzie umierali z głodu, prace zintensyfikowano. W oparciu o odnalezione szczątki postawiono hipotezy dotyczące fauny i flory Niziny Czarnomorskiej oraz określono kierunki migracji gatunków. Zrekonstruowano też szkielety wymarłych ptaków oraz kilku ssaków, jak bóbr olbrzymi (ważył do 220 kg) czy chomik gigant, nazwany *Cricetulus gritzai* – na cześć Gricaja.

Okiem geologa

Przyjrzyjmy się samej materii katakumb.

Badania kamienia rozpoczęto w pierwszych dekadach XIX w., ale nie były to prace naukowe – one miały na celu określenie właściwości fizyczno-mechanicznych skały, czego przykładem będą ↦

↦ m.in. działania realizowane podczas rozbudowy słynnych odeskich schodów potiomkinowskich w 1840 r.

Niemniej „rakuszecznik" albo „rakuszniak" – czyli żółtawa wapienna skała, którą wydobywano w katakumbach, i z której zbudowano historyczną Odessę – nie przestawała intrygować. Tuż przed I wojną światową geolodzy związani z odeskim uniwersytetem – Oleksandr Nabokich, Władimir Łaskariew czy Afrikan Krisztofowicz – mieli już ogólną wizję jej pochodzenia, ale ostatecznie wyjaśniono to w czasach sowieckich, m.in. za sprawą ukraińskiego badacza Wołodimira Krokosa.

A zatem muszelkowiec, bo tak chyba trzeba przetłumaczyć odeskie słowo „*rakuszecznik*", to mioceński wapień pontyjski, powstały z całych i pofragmentowanych muszli mięczaków czy też maleńkich stawonogów, np. małżoraczków. Charakteryzuje się dużą porowatością. Można w nim doszukać się kształtów paleolitycznych muszelek, co z kolei czyni go lekkim, a przy tym bardziej narażonym na wpływ wilgoci.

Ostateczna faza lityfikacji (zestalenia) w przypadku „*rakuszecznika*" dokonała się ok. 4 mln lat temu, po wycofaniu się pramorza zwanego Pontyjskim, a będącego pozostałością po Paratetydzie (lub inaczej Morzu Sarmackim, które sięgało od dzisiejszego Paryża po Ałtaj). Wtedy to tereny na północ od Odessy stały się lądem, przypominającym – gdy idzie o faunę i florę – współczesne afrykańskie sawanny.

Tymczasem pod ziemią zachodziły procesy krasowe i formowały się jaskinie. Szczegółowo opisał to współczesny ukraiński geolog Aleksandr Klimczuk, światowej klasy specjalista od speleogenezy. Do wyjaśnienia wykorzystał pojęcie jaskiń hipogenicznych, w których podziemne wody przepływają ku powierzchni, wypychane podczas procesów krasowych. Otwory do tych pieczar powstawały mechanicznie, np. w czasie powodzi wywołanych przez ulewne deszcze. Wówczas z rwącymi potokami do jaskiń wpadały też zwierzęta, owe nieszczęsne wielbłądy, nosorożce i lwy. Ewentualnie, już w antropocenie, wejścia drążyli pierwsi górnicy.

Śmieciologia

W maju tego roku głośno było o amforach z IV i V stulecia naszej ery, wykopanych w Odessie przez żołnierzy szykujących rowy przeciwczołgowe.

Odeskie katakumby wiodły od zawsze wielofunkcyjny żywot i w czasach niespokojnych, zwłaszcza wojennych, budziły się do ukrytego, acz aktywnego bytowania.

Takie znaleziska nie są tu rzadkością – na ślady starożytnej osady natrafiono na obszarze zaułka Teatralnego już w 1823 r. Później górnicy wydobywający „rakuszecznik" wielokrotnie dokopywali się do antycznych fundamentów. Ale badania archeologiczne na dużą skalę rozpoczęto dopiero w latach 60. XX w., gdy naprzeciw hotelu Londyńskiego odnaleziono system starożytnych piwnic.

Trzeba było jednak kolejnych trzech dekad, aby w wolnej już Ukrainie archeologowie potraktowali katakumby jako „organiczną część kulturowej warstwy Odessy". Innymi słowy: dostrzeżono podziemia same w sobie i uznano za skarbnicę wiedzy o historii miasta.

Dziś do tak zdefiniowanych badań wykorzystuje się dwie najpopularniejsze, a na pewno najbarwniejsze metody: garbologię i epigrafikę. Pierwsza polega na badaniu warstw śmieci zrzucanych do katakumb – bo przez dwa stulecia spełniały one też funkcję wygodnych i pojemnych wysypisk, zawsze na podorędziu. Przy czym w XIX w. wspierano nawet takie zapełnianie nieczynnych wyrobisk, bo uważano, że przeciwdziała to ich zapadaniu.

Wracając do garbologii: podstawą było określenie modelu uwarstwienia śmietnika właściwego dla całej Odessy i później odnoszenie kolejnych wykopalisk do wzorca. Udało się go stworzyć przy okazji prac prowadzonych w 1995 r. w okolicach słynnej Opery. Warstwy śmieci, znalezione w tamtejszych katakumbach, sięgały 8 metrów, a najstarszą z nich datowano – w oparciu o odnalezioną pięciokopiejkową monetę – na rok 1784. Kolejne warstwy odpowiadały wznoszonym tu budowlom i współgrały z etapami rozwoju miasta. Ostatnia z warstw odzwierciedla restaurację budynku Opery z 1967 r.

W stworzonym modelu dominują śmieci budowlane, ale w innych miejscach przygotowano zalążki modelu śmieci komunalnych, zwanych też bytowymi. A wnioski płynące z analizy śmieci znalezionych w katakumbach rzuciły nowe światło na konkretne wydarzenia – np. poszerzono wiedzę o sposobach walki z epidemią dżumy w 1812 r.

Dzięki temu wiemy też dziś więcej o uprzemysłowieniu tych ziem. Np. w oparciu o analizę odnalezionych kafli do pieców oraz naściennej ceramiki (wytworzonej pod koniec XVIII stulecia, a zrzuconej do podziemi w połowie XIX w.), ustalono pochodzenie tych artefaktów – wyprodukowano je w fabryce w Kałudze – i wytyczono szlaki zaopatrywania Odessy w materiały budowlane.

Cytaty z Szekspira

Drugą ze wspomnianych metod badawczych, wspierających pracę archeologów czy historyków zainteresowanych odeskimi katakumbami, jest epigrafika. Polega ona na wyszukiwaniu, katalogowaniu i opracowywaniu epigrafów, a więc napisów i rysunków wykonanych na ścianach. Nawet trudno sobie wyobrazić, jak bogaty jest to zbiór i jak świetnie przeanalizowany przez ukraińskich badaczy.

Przy czym zwykły śmiertelnik nie zobaczy nawet procenta tych dzieł. Większość inskrypcji znajduje się bowiem w kompleksie kamieniołomów Chołodnaja Bałka, leżącym 25 km od Odessy, gdzie turysta nie może wejść bez specjalnego pozwolenia. Zostały one podzielone na poszczególne kategorie, a ważnym kryterium jest tu materiał wykonania. Głównie spotyka się więc napisy i ilustracje węglem drzewnym, ochrą (zwietrzeliną skalną w kolorach od żółci po brąz) lub grafitem.

Ważną przesłanką klasyfikacji jest też tematyka, np. marynistyka, pornografia, w tym homoseksualna, polityka, religia, ale też tematy branżowe, związane np. z pracą górników, bądź też język. Najczęściej spotkamy napisy po rosyjsku, ukraińsku, ale też po polsku, niemiecku, angielsku, francusku, hebrajsku czy jidysz. Właścicielami 90 proc. odeskich kopalń byli Żydzi – napisy i ilustracje odnoszące się do ich kultury i tożsamości to kilkanaście procent wszystkich epigrafów.

LIBRARY OF CONGRESS

Ulica Księcia Armanda Richelieu (dziś Prymorska) w Odessie, rok 1898. Fotografia stereoskopowa.

Pierwsze inskrypcje pochodzą z ok. 1810 r., a najnowsze wciąż powstają – w jednym z pododeskich kamieniołomów ktoś narysował SpongeBoba Kanciastoportego, bohatera popularnej wśród dzieci kreskówki. Rozróżnia się też podział według autora – grubo ponad połowa to dzieła górników, ale znajdzie się też sporo epigrafów chuligańskich.

Szczególnym zainteresowaniem cieszą się teksty i rysunki osób kryjących się w katakumbach – to zarówno odescy bandyci (w tym podwładni słynnego Miszki Japończyka), jak też bolszewicy, biali (antybolszewiccy) partyzanci i konspiratorzy, a także Anglicy oraz Francuzi, których wojska przebywały w Odessie podczas wojny domowej po 1917 r., jak też sowieccy partyzanci z czasów II wojny światowej.

Myliłby się ten, kto by sądził, że ich autorami byli tylko prości robotnicy. Znajdziemy w katakumbach także cytaty z klasyków, w tym Szekspira, a także modlitwy i teksty religijne w różnych językach, nierzadko pisane bezbłędnie, z wykorzystaniem, by tak rzec, branżowej leksyki teologiczno-filozoficznej.

Nam najbardziej zapadły w pamięć trzy epigrafy. Pierwszy to pisany po rosyjsku nekrolog: „Tu pracował w 1904 r. Kaduszkin i szybko zmarł od wódki. 20.10.1904 Wieczna pamięć bohaterowi gorzałki". Dwa kolejne to napisy w języku nam najbliższym: „Niech żyje Polska" z roku 1914 oraz napis (nieopatrzony datą) „Wejście na Komplety".

W nowej-starej roli

A wszystko to stanowi może ledwie procent wiedzy, jaką kryją odeskie katakumby.

Wspomnijmy więc jeszcze badania hydrologiczne, które są tu prowadzone i powiązane z arcyważnymi dla miasta pomiarami poziomu zaburzeń w pontyjskiej warstwie wodonośnej. Podziemia eksplorują również grotołazi, rozwijając speleoarcheologię i speleostologię, a zatem eksplorację przestrzeni podziemnych wytworzonych przez człowieka. Pojawiają się botanicy, zoologowie i ekologowie, widziano także estetyków oraz etyków. Działa placówka badawczo-muzealna Rezerwat Katakumb Odessy, z inicjatywy której młodzi artyści przepisują i przerysowują najbardziej interesujące epigrafy.

A właściwie działała, a dobrze zapowiadający się adepci sztuki przepisywali i przerysowywali, bo od 24 lutego wstrzymano całą aktywność. Odeskie katakumby wiodły od zawsze wielofunkcyjny żywot i w czasach niespokojnych, zwłaszcza wojennych, budziły się do ukrytego, acz aktywnego bytowania. Niegdyś działały tu więc drukarnie nielegalnej prasy czy pieniędzy, stacjonowały co najmniej dwa 50-osobowe oddziały białych partyzantów, później kryli się tu partyzanci sowieccy.

Ciąg dalszy trwa

Wszystko wskazuje na to, że gdyby rosyjska inwazja dotarła do Odessy, tutejszym katakumbom znowu przyszłoby odegrać nową-starą rolę.

Choć trudno oprzeć się wrażeniu, że w najnowszych doniesieniach dużo jest także dezinformacji, skutecznie wykorzystywanej przez Ukraińców. Tym bardziej że niedawno, bo 14 sierpnia, pojawiły się informacje o turystycznych wycieczkach po katakumbach.

Cóż to ma znaczyć? Przywoływany już „Odiesskij Frajer" – w lokalnej gwarze „frajer" to człowiek spoza wtajemniczonego środowiska – tego nie wyjaśnia. Milczą i inne kanały Telegramu.

Zapytaliśmy więc znajomego rodowitego odesyjczyka, poetę, eseistę i lekarza Dem'jana Fanszela, czy katakumby mogą być dzisiaj wykorzystane militarnie.

– Myślę, że tak – odpowiedział nasz przyjaciel, który sercem i czynem wspiera wolną Ukrainę. – Problem tylko w tym, że, po pierwsze, mogą się one zawalić. Po drugie, można w nich zabłądzić... Po trzecie, przeciwnik może tam skutecznie i bez zagrożeń dla siebie puścić gaz. Ale z drugiej strony, tej optymistycznej, ileż wytrzymali bohaterowie Mariupola w sztucznych wszak katakumbach pod Azowstalem...

© MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

NAUKA

KRYZYS UCIELEŚNIENIA

Psycholodzy mają kłopot: w ostatnich latach niezależne testy podważyły wyniki wielu podręcznikowych badań. Wstrząsnęło to m.in. przekonaniem, że ważną rolę w myśleniu odgrywa ciało.

MATEUSZ HOHOL, KINGA WOŁOSZYN-HOHOL

W połowie XX w. stworzono pierwsze komputery. Były to maszyny dokonujące mechanicznych obliczeń na abstrakcyjnych symbolach, realizując krok po kroku zaprogramowane w nich polecenia. Wkrótce wśród psychologów, językoznawców, informatyków i filozofów rozwinął się pogląd, że podobnie musi działać nasz umysł.

Obliczenia na symbolach miały być wykonywane w specjalnych obszarach mózgu, które działają względnie niezależnie od siebie – podobnie jak różne części komputera. Naukowcy wyobrażali sobie, że wydzielić można trzy takie główne autonomiczne obszary: percepcję, ruch (działanie w świecie) i oparte na symbolach myślenie, choć nikomu nie udało się zaobserwować bezpośrednio symboli umysłowych, a badania mózgu znajdowały się jeszcze w powijakach. Jednak przez blisko trzy dekady komputerowa wizja umysłu (nazywana komputacjonizmem) inspirowała nowe eksperymenty, dawała nadzieję na rychłe stworzenie sztucznej inteligencji, a zarazem integrowała nowy, interdyscyplinarny nurt badawczy, zwany kognitywistyką.

Ciało ma znaczenie

W latach 80. perspektywa zaczęła się jednak zmieniać. Spora część przedstawicieli kognitywistyki zwróciła się ku filozoficznym koncepcjom umysłu z pierwszej połowy XX w. autorstwa Edmunda Husserla i Maurice'a Merleau-Ponty'ego. Słowem kluczowym tych koncepcji było „ciało" rozumiane jako organ myślenia i narzędzie nadawania światu znaczenia. W szczególności badacze ci zaczęli podważać tezę, zgodnie z którą percepcja, działanie i myślenie były trzema oddzielnymi funkcjami mózgu. W tej nowej wizji miały być one głęboko powiązane – dzięki ciału.

W 1980 r. ukazała się wpływowa książka „Metafory w naszym życiu", napisana przez lingwistę George'a Lakoffa i filozofia Marka Johnsona. Autorzy przekonywali w niej, że myślenie nie polega na przetwarzaniu abstrakcyjnych symboli (czyli na obliczeniach), a wszystkie pojęcia powstają w interakcji naszych ciał ze środowiskiem. Co ciekawe, dotyczy to nie tylko pojęć konkretnych, takich jak „młotek", „kot" czy „jabłko", ale również abstrakcyjnych. I tak, „teoria naukowa" ugruntowana jest w czynności obrony („ona obroniła swoją teorię"), „miłość" w dopasowaniu („oni pasują do siebie"), a „czas" w zbliżaniu („nadchodzą święta").

W kolejnych pracach pisanych wspólnie ze specjalistami z różnych dyscyplin Lakoff wskazywał na percepcyjne i ruchowe źródła kolejnych pojęć abstrakcyjnych. Dobrym przykładem jest opublikowana przez niego w 2000 r. wspólnie z psychologiem i matematykiem Rafaelem ↦

Występ pary joginów podczas imprezy Mind Over Madness na Times Square w Nowym Jorku, 21 czerwca 2022 r.

ALEXI ROSENFELD / GETTY IMAGES

↦ Núñezem książka „Where mathematics comes from". Autorzy przekonywali, że królowa abstrakcji – matematyka – nie jest wytworem obliczeniowego umysłu, ale systemem pojęciowym, który wyłania się z codziennych czynności, takich jak tworzenie kolekcji (zbiór, arytmetyka) czy rozmieszczanie rzeczy względem własnego ciała (oś liczbowa).

Lakoff i Núñez twierdzili, że w przetwarzaniu pojęć matematycznych kluczową rolę odgrywa aktywność obszarów sensorycznych i motorycznych naszych mózgów: gdy myślimy o pojęciu zbioru albo obliczamy coś w pamięci, mózg wykorzystuje również te obwody, których używa w prozaicznych czynnościach – takich jak postrzeganie przedmiotów czy poruszanie się.

W ujęciu komputacjonizmu zbiory, liczby i wykonywane na nich operacje nie mają z ciałem nic wspólnego – to abstrakcyjne symbole umysłowe i obliczenia na nich. Jak podkreślało jednak wielu filozofów, nie było jasne, jak mózg miałby zapisywać te symbole, przetwarzać je i co gorsza, jak miałby je odnosić do przedmiotów w otaczającym nas świecie. Przykładowo, jak abstrakcyjny, umysłowy symbol „7" mógłby odnosić się do siedmiu obserwowanych albo zbieranych do koszyka jabłek albo siedmiu zasłyszanych kolejno dźwięków klaksonu? W świetle tej krytyki komputerowy umysł przypominał maszynę całkowicie odizolowaną od świata, a przez to niezdolną do interakcji z nim.

Atrakcyjność podejścia Lakoffa i współpracowników polegała na ominięciu tego problemu – technicznie określanego jako „problem ugruntowania symboli" – a w konsekwencji wskazaniu ciągłości między umysłem, ciałem i światem. Zwolennicy ucieleśnienia podkreślali także, że taki pogląd ma również sens z punktu widzenia ewolucji, która ukształtowała architekturę naszych umysłów. Ewolucja nie tworzy bowiem nowych cech znikąd, tylko przekształca te obecne u przodków, nadając im nowe funkcje. Nie byłoby więc wcale dziwne, gdyby zdolność do abstrakcyjnego myślenia zakorzeniona była w bardziej podstawowych funkcjach umysłu – percepcji i poruszaniu się.

Nieprzerwana symulacja

Wobec koncepcji ucieleśnionego umysłu w ujęciu Lakoffa formułowano rzecz jasna zarzuty. Jednym z nich było to, że

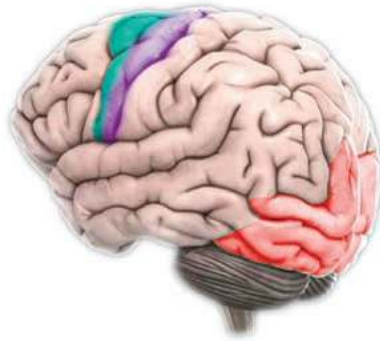

BRAIN SCIENCES

Kora przedruchowa (kolor zielony), **pierwszorzędowa kora ruchowa** (fioletowy) i **kora wzrokowa** (czerwony) to „cielesne" obszary mózgu, od pracy których uzależniona jest nasza zdolność do poruszania się czy widzenia. W ostatnich dekadach wykazano jednak, że te obszary aktywują się również m.in. przy wyobrażaniu sobie czegoś lub przetwarzaniu pojęć – w tym abstrakcyjnych – co przemawiało na korzyść teorii ucieleśnionego poznania. Dziś psycholodzy i neuronaukowcy spierają się jednak, czy aktywacje tych struktur są konieczne dla abstrakcyjnego myślenia, czy jedynie mu towarzyszą.

choć teoria ucieleśnienia miała rozwiązać problem abstrakcji, sama w sobie była dość abstrakcyjna. Brakowało np. opisu działającego krok po kroku mechanizmu przetwarzania pojęć.

Psycholog poznawczy Arthur Glenberg postanowił temu zaradzić i z końcem poprzedniego stulecia opracował tzw. teorię schematów działań. Zgodnie z nią rozumiemy dane pojęcie dzięki sensoryczno-motorycznej symulacji działania, z którym pojęcie to jest powiązane. Proces ten zachodzi w trzech krokach.

W pierwszym określone słowo przyporządkowywane jest do rozproszonego wzorca neuronalnego, który jest aktywny podczas cielesnej interakcji z danym przedmiotem. Nawet gdy tylko słyszymy zdanie „Kinga dała Mateuszowi jabłko", mózg reaktywuje wzorzec neuronalny analogiczny do tego, który aktywny jest podczas naszej interakcji z „prawdziwym" jabłkiem. W drugim kroku mózg rekonstruuje tzw. afordancje, czyli sposoby możliwych interakcji człowieka z danym przedmiotem. W ten sposób reprezentowane jest „pole możliwości", w którym jabłko nadaje się do jedzenia albo rzucenia nim w kogoś, ale nie do przybijania gwoździ. Wreszcie, „pole możliwości" zawężane jest dzięki analizie gramatycznej struktury zdania, ponieważ różne konstrukcje gramatyczne (np. to, czy podmiotem zdania jestem ja, czy ktoś inny) wpływają na przebieg symulacji.

Glenberg przekonany był nie tylko, że opisany przez niego mechanizm przetwarzania pojęć jest adekwatny, ale również, że ucieleśnione poznanie stanowi perspektywę integrującą psychologię z innymi dyscyplinami zaliczanymi do kognitywistyki. Ucieleśnienie odgrywa więc w społeczności badaczy umysłu rolę analogiczną do tej, jaką od lat 50. do 80. odgrywał komputacjonizm.

Ty do mnie, ja do ciebie

Sztandarowym dowodem empirycznym świadczącym na korzyść teorii Glenberga jest odkryty przez niego wraz z Michaelem Kaschakiem w 2002 r. „efekt spójności między działaniem i treścią zdania" (*Action-Sentence Compatibility Effect*). Osoby biorące udział w eksperymencie czytały zdania dotyczące działań skierowanych w stronę ciała („otwórz szufladę") lub od ciała („włóż ręce pod kran"). Miały decydować, czy przeczytane zdanie jest sensowne, mając do dyspozycji trzy przyciski ułożone tak, że jeden znajdował się najbliżej ciała, a inny najdalej. Każda próba rozpoczynała się od naciśnięcia środkowego przycisku, który sprawiał, że na ekranie komputera pojawiało się zdanie – było ono wyświetlane do momentu zwolnienia przycisku. Następnie sensowność zdania należało potwierdzać bliższym lub dalszym przyciskiem.

Odkryty przez Glenberga i Kaschaka efekt spójności polega na tym, że ludziom łatwiej jest potwierdzać sensowność zdania, co przejawia się w krótszych czasach reakcji, gdy kierunek działania wyrażonego w ocenianym zdaniu jest zgodny z kierunkiem ruchu (np. „otwórz szufladę" – ruch ręką w stronę własnego ciała).

Badacze zaobserwowali efekt spójności nie tylko w przypadku zdań rozkazujących, ale również zdań opisujących ruch przedmiotów („Mateusz dał ci jabłko", „dałaś jabłko Mateuszowi"), a nawet takich zdań, w których nie ma wyraźnego ruchu, ale pojawia się różnica w perspektywie („Kinga opowiedziała ci historię", „opowiedziałeś Kindze historię"). Świadczyć ma to o tym, że nasz układ ruchowy zaangażowany jest aktywnie w przetwarzanie różnych typów zdań, a „rozgrzanie" go analizą treści zdania wiąże się z szybszym wykonaniem odpowiedniego ru-

chu – stąd efekt spójności. Przez długi czas był on postrzegany nawet przez sceptyków jako silny dowód na rzecz ucieleśnienia przetwarzania pojęć. Wytłumaczenie go w ramach komputacjonistycznej wizji umysłu wydawało się niemożliwe.

Innego argumentu za ucieleśnieniem dostarczyły badania tzw. neuronów lustrzanych, czyli takiej populacji komórek w mózgu, które aktywują się zarówno wtedy, gdy sami wykonujemy jakąś czynność (np. rozdzieramy kartkę papieru), jak i wtedy, gdy jedynie widzimy lub słyszymy, jak ktoś inny robi tę samą rzecz. Niektórzy badacze uznali, że neurony lustrzane stanowią bezpośrednie podłoże zakładanego przez Glenberga mechanizmu sensoryczno-motorycznej symulacji. Z czasem opisano wiele problemów z takim poglądem, dlatego entuzjazm zwolenników ucieleśnienia wobec neuronów lustrzanych znacznie opadł. Ale najsilniejszy cios ucieleśnieniu zadali psycholodzy.

Nieudane replikacje

W ostatnich latach w świecie psychologii akademickiej ważnym hasłem stała się „replikowalność badań". Jest ona powiązana z naturalnym oczekiwaniem, że rezultaty eksperymentów nie powinny być „jednorazowe", ale możliwe do powtórzenia przez niezależnych badaczy. Wielu podręcznikowych wyników nie udało się zreplikować, a co za tym idzie, idee naukowe, na korzyść których przemawiały te wyniki, stanęły pod znakiem zapytania. Kryzys replikacyjny nie ominął również ucieleśnionego poznania.

W opublikowanej w 2015 r. serii eksperymentów Megan Papesh chciała sprawdzić m.in., czy efekt spójności odkryty przez Glenberga i Kaschaka zachodzi, gdy osoby badane mają oceniać sensowność zdań za pomocą gestów myszką. Jeśli ten efekt byłby przejawem ogólniejszej i godnej uwagi tendencji psychologicznej, powinien być odporny na tak niewinną zmianę procedury badawczej. Jednak wynik badania Papesh okazał się negatywny. Co więcej, gdy autorka zastosowała format udzielania odpowiedzi modelowany na oryginalnej pracy Glenberga i Kaschaka (a więc za pomocą przycisków ustawionych w różnej odległości od ciała), a nawet użyła dokładnie tych samych zdań co oni, w większości wypadków nie udało się powtórzyć efektu spójności.

To nie wszystko: dokonując przy pomocy innych narzędzi statystycznych ponownej analizy wyników kilkunastu wcześniejszych badań na temat efektu spójności, Papesh zauważyła, że dowody na istnienie efektu są słabe.

Ostatecznym ciosem dla efektu spójności zdają się być jednak wyniki opublikowanego w bieżącym roku badania przeprowadzonego pod kierunkiem Richarda Moreya. Aż 45 autorów z 18 laboratoriów z całego świata, w tym Glenberg i Kaschak, podjęło skoordynowaną próbę powtórzenia badania, w którym pierwotnie zaobserwowano efekt. Próba ta zakończyła się niepowodzeniem.

W innym z klasycznych dla nurtu ucieleśnionego poznania badaniu Zubaida Shebani i Friedemann Pulvermüller zaobserwowali w 2013 r. następującą prawidłowość: wykonywanie zadania rytmicznego za pomocą rąk zaburzało przetwarzanie pojęć związanych z motoryką rąk (np. „klaskać", „chwytać"), ale nie pojęć związanych z motoryką nóg („kopnięcie", „podskok"); z kolei wykonywanie analogicznego zadania rytmicznego za pomocą nóg utrudniało przetwarzanie pojęć związanych z nogami, ale nie rękami. Dla dociekliwych: zadanie to polegało na wystukiwaniu paradiddle, czyli typowej wprawki werblowej. Wynik ten świadczyć ma o tym, że odrębne obszary kory ruchowej zaangażowane są w selektywny sposób w rozumienie znaczenia pojęć na drodze symulacji. Wynik Shebani i Pulvermüllera próbowali niedawno powtórzyć Guillermo Montero-Melisan i jego zespół. W tym roku opublikowali oni negatywny rezultat próby replikacji.

Liczenie na palcach

Jak widzieliśmy wcześniej, w oparciu o tezy ucieleśnionego poznania usiłowano wyjaśnić, jak umysł radzi sobie z abstrakcyjnymi pojęciami matematycznymi. Efekt SNARC (to skrót od *Spatial-Numerical Association of Response Codes*) odkryty w latach 90. przez Stanislasa Dehaene'a i współpracowników polega na tym, że podejmując szybkie decyzje na temat własności prezentowanych liczb (np. ich parzystości) osoby z krajów europejskich szybciej reagują lewą ręką na liczby względnie małe, a prawą na liczby względnie duże.

Prawidłowość tę interpretuje się jako przejaw tzw. umysłowej osi liczbowej, a więc tego, że kolejne liczby zajmują miejsce w umysłowej przestrzeni, analogicznej do przestrzeni fizycznej. Kluczowym czynnikiem kształtującym efekt SNARC jest kierunek czytania, o czym świadczy to, że u osób z kultur, w których czyta się od prawej do lewej, występuje odwrócony efekt, czyli szybsze czasy reakcji lewą ręką na większe liczby, a prawą na mniejsze. Liczne badania wykazały jednak, że na to, jak silny jest efekt SNARC, wpływają również inne czynniki.

W 2008 r. Martin Fischer opublikował wyniki badań wiążące obserwowany u osób dorosłych efekt SNARC z ich nawykami liczenia na palcach. Zaobserwował on silniejszy efekt SNARC u tych osób, które poproszone o policzenie na palcach od 1 do 10 zaczynały od lewej ręki, w porównaniu do tych, które liczyły od prawej. Choć badanie to nie uprawnia do wyciągania wniosków na temat przyczynowości, wynik ten spójny jest z hipotezą ucieleśnionego poznania, zgodnie z którą nabywane w dzieciństwie nawyki liczenia na palcach stanowią podstawę dla „organizacji" poznawczego systemu liczb u osób dorosłych. Innymi słowy, to czy na umysłowej osi liczbowej większe liczby znajdują się po lewej, czy po prawej stronie, ma zależeć od kierunku, w jakim liczmy na palcach. Fischer nazywa tę odmianę „poznaniem manumerycznym" (od łac. *manus* – ręka).

Czekamy na wyniki

W niedawnym badaniu przeprowadzonym wspólnie z Krzysztofem Ciporą nie udało się nam jednak zreplikować wyniku Fischera, a konkretnie nie znaleźliśmy istotnej statystycznie różnicy w sile efektu SNARC pomiędzy osobami zaczynającymi liczenie na palcach od lewej i prawej ręki. W przeciwieństwie do Fischera, który zakładał milcząco, że nawyki liczenia na palcach u dorosłych są trwałe (dana osoba zaczyna zawsze liczyć od lewej albo prawej ręki), z naszych wcześniejszych badań wynika, że spora część ludzi nie ma aż tak mocnych preferencji. Wobec tego w nowym badaniu uwzględniliśmy również wymiar stabilności nawyków liczenia na palcach w czasie. Gdyby nawyki te rzeczywiście nadawały kierunek umysłowej osi liczbowej, to osoby, które liczą na palcach rozpoczynając zawsze od lewej ręki, powinny przejawiać silniejszy efekt SNARC nie tylko niż ludzie zaczynający od prawej, ale także niż ci, którzy czasem zaczynają od lewej, oraz ci, którzy nie mają żadnych preferencji. Nie znaleźliśmy potwierdzenia dla tej hipotezy. ↦

Być może, co zasugerował nam Marin Fischer, nasze negatywne wyniki wiążą się z konkretnym sposobem przeprowadzania badania, np. minimalną różnicą w postawie ciała uczestników. Choć staraliśmy się odtworzyć warunki z oryginalnego badania, nie wykluczamy takiej możliwości. Jednak w naszym przekonaniu gdyby wpływ ciała na poznawcze przetwarzanie liczb był aż tak silny, jak twierdzą zwolennicy ucieleśnienia umysłu, efekt odkryty w 2008 r. powinien być odporny na drobne zakłócenia. Mimo blisko piętnastu lat od ukazania się pracy Fischera oraz ponad dwudziestu, które upłynęły od publikacji książki Lakoffa i Núñeza, wciąż nie wiadomo, kiedy dokładnie możemy spodziewać się przejawów ucieleśnienia myślenia matematycznego.

Na domiar złego, choć książka „Where mathematics comes from" jest powszechnie cytowana przez naukowców, przedstawiane na jej kartach tezy na temat cielesnych źródeł pojęć matematycznych, łącznie z takimi jak „nieskończenie małe" czy „indukcja pozaskończona", nie znalazły zbyt wiele wsparcia w wynikach badań empirycznych. Nie chodzi o to, że eksperymenty obaliły tezy Lakoffa i Núñeza, ale raczej o to, że tezy te są tak ogólnikowe, że trudno przełożyć je na język badań empirycznych.

Jak się różnimy

Podaliśmy zaledwie kilka przykładów nieudanych replikacji wyników badań interpretowanych na korzyść ucieleśnienia poznania – choć moglibyśmy ich wymienić znacznie więcej. Zamiast tego lepiej zastanowić się, czy w świetle tych nieudanych replikacji nadszedł czas, by rozstać się koncepcją ucieleśnionego poznania. Jeśli tak, to właściwie z jaką koncepcją mielibyśmy się rozstać? I oczywiście – co dalej?

Przede wszystkim warto zauważyć, że opisane przez nas nieudane replikacje uderzają nie tyle w samą filozoficzną tezę o ucieleśnieniu umysłu, co w wyprowadzane z niej konkretne teorie psychologiczne, a dokładniej teorię schematów działania Glenberga, ucieleśnioną semantykę Pulvermüllera oraz poznanie manumeryczne Fischera. Sama filozoficzna koncepcja ucieleśnienia jest po prostu na tyle ogólna, że może dostarczać co najwyżej inspiracji dla badań empirycznych. Z tez typu „ciało jest organem myślenia" lub „percepcja i ruch stanowią źródło abstrakcyjnych pojęć" trudno jest wyprowadzić szczegółowe przepisy na eksperymenty, ale wyznaczają one pewien kierunek myślenia o umyśle.

> Zwolennicy ucieleśnienia odrzucili tezę, zgodnie z którą percepcja, myślenie abstrakcyjne i ruch są **trzema odrębnymi funkcjami mózgu.**

Liczne nowe prace naukowe z zakresu psychologii, neuronauki i robotyki publikowane każdego miesiąca wskazują na to, że paradygmat ucieleśnionego umysłu wcale się nie wyczerpał. Wiedza, które szczegółowe teorie ucieleśnienia „nie działają", jest wskazówką dla konstruowania nowych teorii. Przede wszystkim wydaje się, że nie powinniśmy myśleć o ucieleśnieniu poznania na zasadzie „wszystko albo nic". I to w co najmniej dwóch kontekstach.

Po pierwsze, wspomniany Friedemann Pulvermüller twierdzi, że oparte na języku reprezentacje poznawcze stanowią „kotwice" czy też „ograniczenia" dla ucieleśnionych symulacji. Jego zdaniem uczenie się rodzimego języka stabilizuje, a zarazem indywidualizuje przeprowadzane przez mózg symulacje sensoryczno-motoryczne. To, czy w danym kontekście symulacje zostaną uruchomione, zależy od indywidualnej historii uczenia się słów. Nieudana replikacja eksperymentu Shebani i Pulvermüllera może więc wynikać po prostu z różnic pomiędzy osobami badanymi. To oznacza jednak, że stopień zaangażowania ucieleśnionych symulacji w przetwarzanie pojęć to kwestia odmienności międzyosobniczych. Jeśli tak, to przed zwolennikami ucieleśnienia umysłu stoi trudne zadanie zbudowania teorii różnic indywidualnych w zakresie rozumienia pojęć.

Po drugie, nawet jeśli ucieleśnione symulacje zachodzą u wszystkich ludzi, to wcale nie jest pewne, że rolą tych symulacji jest akurat rozpoznawanie znaczenia pojęć – jak od początku przyjmowali zwolennicy ucieleśnienia. Być może symulacje wprowadzają systematyczne „zakłócenia" w dokonywanych przez nas ocenach bodźców. Argumentem na rzecz takiej tezy są wyniki naszego niedawnego badania przeprowadzonego wspólnie z Michałem Kunieckim i Piotrem Winkielmanem i przedstawionego w czasopiśmie „Scientific Reports".

Potrzeba nowych teorii

Z wcześniejszych badań Piotra Winkielmana wiadomo było, że gdy utrudnimy mózgowi przeprowadzenie ucieleśnionej symulacji (umieszczając między zębami długopis albo pałeczki do sushi – co blokuje aktywność mięśnia jarzmowego większego, odpowiedzialnego za wykonywanie uśmiechu), to zakłócimy zdolność do rozpoznawania ekspresji radości na wyświetlanych osobom badanym zdjęciach. W nowym badaniu chcieliśmy sprawdzić, czy analogiczny efekt zachodzi w przypadku odgłosów śmiechu.

Gdyby rozumienie pojęcia radości odbywało się na drodze ucieleśnionej symulacji (czyli „odtwarzaniu" w naszym mózgu pewnych aspektów tej emocji), osoby badane powinny lepiej rozpoznawać odgłosy śmiechu, gdy ich twarze mogą reagować swobodnie, tak jakby śmiały się same, a gorzej, gdy reakcje takie są zablokowane pałeczkami do sushi. Z drugiej strony, pałeczki między zębami nie powinny wpływać na rozpoznanie dźwiękowej ekspresji złości, ponieważ ta wiąże się bardziej z aktywnością mięśnia marszczącego brwi.

Choć nie odnotowaliśmy różnic w rozpoznawaniu dźwięków w warunkach zablokowania i swobodnej aktywności mięśnia jarzmowego większego, zaobserwowaliśmy, że stałe napięcie tego mięśnia sprawia, że osoby badane oceniają dźwięki neutralne emocjonalnie jako bardziej radosne. Efekt ten znany jest w psychologii od kilku dekad pod nazwą twarzowego sprzężenia zwrotnego i obserwowany był wielokrotnie w przypadku bodźców wzrokowych. Stan ciała wpływa więc na procesy poznawcze, i to w systematyczny sposób, jednak samo rozumienie pojęć zawdzięczać możemy innym mechanizmom.

Nieudane replikacje sztandarowych badań wcale nie muszą oznaczać, że idea ucieleśnionego umysłu ma już jedynie wartość historyczną. W ich świetle jak nigdy dotąd aktualne staje się przesłanie noblisty Geralda Edelmana, wysłowione przez niego trzy dekady temu na kartach książki „Przenikliwe powietrze, jasny ogień. O materii umysłu": „nie wystarczy powiedzieć, że umysł jest ucieleśniony; trzeba jeszcze powiedzieć jak".

© MATEUSZ HOHOL, KINGA WOŁOSZYN-HOHOL

TOMASZ

Stawiszyński:
Nowe centrum

Salman Rushdie jest od wielu lat symbolem wszystkiego, co w dzisiejszym świecie zagrożone. Atak, którego pisarz padł ofiarą 12 sierpnia 2022 r., przeprowadzony przez człowieka przekonanego, że działa w imieniu najwyższej, transcendentnej istoty, domagającej się krwi, bo obrażonej tekstem napisanym przez kogoś, kogo sama stworzyła – jest tego najwymowniejszym, najnowszym dowodem.

Wartości, które wciela Rushdie, są zarazem ekstraktem największych cywilizacyjnych osiągnięć Zachodu. Należą do nich m.in. wolność słowa, wolność myślenia, prymat racjonalności. Są to wartości deprecjonowane dziś z wielu stron i na wiele różnych sposobów. Także ze strony tych, którzy tu, na Zachodzie, nie stają bezwzględnie po ich stronie – a czasami wręcz stają przeciw nim – o czym, na bazie własnych doświadczeń, z wyraźną goryczą pisał Rushdie w „Josephie Antonie", swojej tylko trochę literacko przetransformowanej autobiografii. Przy czym, wbrew pozorom, nie chodzi tu wcale o reprezentantów wyłącznie jednej opcji ideowej.

W niedawnym, poświęconym Rushdiemu tekście dla „Guardiana" wyłożyła to wprost Margaret Atwood, pisząc, że wolność słowa jest dzisiaj atakowana zarówno przez skrajną prawicę, jak i skrajną lewicę. Wcześniej Atwood podpisała się także pod słynnym listem otwartym intelektualistów i pisarzy opublikowanym 7 lipca 2020 r. na łamach „Harper's Magazine", wyrażającym zaniepokojenie tendencjami do cenzury i tłumienia otwartej debaty nie tylko po stronie populistycznej prawicy, ale także po stronie lewicowo-liberalnej. Obok m.in. właśnie Atwood, Jonathana Haidta, Arlie Hochschild czy Anne Applebaum widnieje tam także podpis Salmana Rushdiego.

Jakie są źródła tego ze wszech miar osobliwego aliansu opcji światopoglądowych, które – wydawałoby się – wzorcowo stoją na antypodach? Otóż, radykalna prawica i radykalna lewica – pomimo wszystkich fundamentalnych różnic – spotykają się, paradoksalnie, w jednym punkcie. A mianowicie, podważają, każda na swój specyficzny sposób, dziedzictwo zachodniego oświecenia.

Radykalna prawica w miejscu oświeceniowych liberalnych wartości umieszcza przednowoczesną metodologię opartą na teologicznej dedukcji z „prawd wiecznych" zamiast na swobodnym ścieraniu się idei, w którym wygrywa ta najlepiej uzasadniona, nie zaś ta najlepiej zsynchronizowana z ortodoksją. Istnieje przedustawny porządek – przekonują jej przedstawiciele – mający metafizyczne pochodzenie, my zaś ten porządek istotowo poznaliśmy i będziemy go implementować w świecie politycznym i społecznym. Radykalna lewica natomiast postrzega takie wartości, jak racjonalność czy wolność słowa jako – ostatecznie – kreacje przemocowej zachodniej kultury, instrumenty opresji używane przez uprzywilejowane grupy do konserwowania niesprawiedliwych hierarchii. Instrumenty niebędące przy tym wyłącznie neutralnymi narzędziami, lecz właśnie emanacją określonego układu sił i interesów, który należy poddać gruntownej rewizji w imię świata całkowicie wolnego od przemocy i dyskryminacji. W obu tych przypadkach kanon liberalnych, oświeceniowych wartości nie jest czymś, czego należałoby bezwzględnie bronić. Nie jest czymś, co na taką obronę by zasługiwało. Podobnie, jak nie zasługuje na bezwzględną obronę liberalny Zachód, postrzegany przez przedstawicieli radykalnej prawicy jako siedlisko zepsucia i degrengolady, a przez przedstawicieli radykalnej lewicy jako siedlisko opresji, dyskryminacji i przemocy.

Cóż, jak to jakiś czas temu powiedział Sam Harris – moim zdaniem jeden z najmądrzejszych ludzi przebywających aktualnie na świecie – potrzebujemy dziś nowego politycznego i światopoglądowego centrum. Takiego, które nie będzie się, jak to wciąż ma miejsce dzisiaj, kojarzyć z neoliberalnym podejściem do gospodarki i zachowawczym traktowaniem kwestii obyczajowych. Nowego centrum, w którym najważniejsze będą wartości i metody pozwalające na tworzenie wspólnego świata, bo dające narzędzia do racjonalnego – czyli poddanego regułom niezależnym od emocji i fantazji – poznania oraz do negocjowania tego, co racjonalnemu poznaniu się wymyka. Nauka, demokracja, równouprawnienie, prawa człowieka, wolność myślenia i wolność słowa, oddzielenie religii od państwa – oto podstawowe wartości składające się na kanon postawy, o której tu mowa. Wartości, których trzeba dziś bezwzględnie bronić przed atakami z bardzo różnych kulturowych i światopoglądowych stron, bo ich poddanie oznaczać będzie – o czym się w historii już nieraz przekonaliśmy – osunięcie się w taką czy inną formę autorytaryzmu, a zatem osunięcie się w taką czy inną formę przemocy. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygnaturą akt I Ns 122/22 toczy się postępowanie z wniosku Marka Drozda, Elżbiety Drozd z uczestnictwem Gminy Tarnobrzeg, Skarbu Państwa – Prezydenta Miasta Tarnobrzega o zasiedzenie nieruchomości położonej w Tarnobrzegu, obręb Tarnobrzeg, gmina Tarnobrzeg, stanowiącej działkę o numerze ewidencyjnym 1052/2, o powierzchni 0,0532 ha, stanowiącej tereny mieszkaniowe, objętej księgą wieczystą nr TB1T/ 00006401/4, w której prawo własności ujawniono na rzecz Emilii Macoch. Aktualnym posiadaczem nieruchomości są wnioskodawcy.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Fenomeny naszego świata

PIOTR KOSIEWSKI

2 września rozpoczyna się ósma edycja Festiwalu Fotografii „W ramach Sopotu". W tym roku tematem przewodnim wystaw jest słowo „fenomen".

Twórcy festiwalu wykorzystali wieloznaczność tego słowa. Za jego pomocą opisuje się zjawiska, rzeczy i osoby wyjątkowe, godne podziwu, niezwykłe, zaskakujące. Jest też mniej potoczne jego rozumienie: fenomenem określa się to, co jest poznawane, badane, pozwalające zrozumieć otaczającą nas rzeczywistość.

Prace zgromadzone w Sopocie odwołują się do obu znaczeń. Ich twórczynie i twórcy pokazują fenomeny zadziwiające, niezwykłe, a nie zawsze dostrzegane. Przypominają, że zdjęcia mogą dać nam możliwość pełniejszego doświadczania świata, uchwycić fenomeny zdarzeń i rzeczy, ale też podważają w swych dziełach nasze przyzwyczajenia i obiegowe rozumienia. Fotografia bowiem, jak przypomina kuratorka Maja Kaszkur, może być metodą „kwestionowania naszych empirycznych możliwości badania i orientowania się w otaczającym środowisku".

Niejednoznaczność tytułowego hasła dobrze pokazują wystawy trójki artystów uczestniczących w programie rezydencji fotograficznej – istotnym elemencie sopockiej imprezy, wyróżniającym ją od innych podobnych festiwali. Od 2015 r., kiedy to zorganizowano pierwszą edycję „W ramach Sopotu", zapraszani są do miasta fotografowie i fotograficzki, by tu, na miejscu, pobyć i przygotować własny projekt. Lista uczestniczących w poprzednich latach jest imponująca. Są na niej kluczowe dziś postaci dla polskiej sztuki, m.in. Weronika Gęsicka, Zuza Krajewska, Adam Lach, Diana Lelonek, Rafał Milach i Szymon Rogiński. A jednocześnie wystawy rezydentów w ciekawy sposób odwołują się do lokalnego kontekstu: miasta czy szerzej Pomorza.

Podobnie jest w tym roku. Igor Pisuk w swych pracach przywołuje wspomnienia z dzieciństwa. Z czasów, w których nieustannie mu mówiono: „Tego ci nie wolno, tamtego nie rób, zachowuj się tak a tak". Nawet podczas wyjazdów z dziadkami nad morze był nieustannie kontrolowany. Jedynie na plaży udawało mu się mieć chwile swobody. Wystawa Tomasza Kaweckiego „Rzeczom jest wszystko jedno" opowiada o fenomenie współistnienia, przenikania czy mieszania się na tych terenach chrześcijaństwa z dawnymi wierzeniami, tradycjami oraz pogańskimi rytuałami. Z kolei Søren Lilholt swe prace zestawił z archiwalnymi zdjęciami ze zbiorów Muzeum Sopotu. Powstała z nich melancholijna, a nawet nostalgiczna opowieść.

Równolegle w Sopocie w ramach festiwalu odbywa się szereg indywidualnych wystaw, na których po raz pierwszy

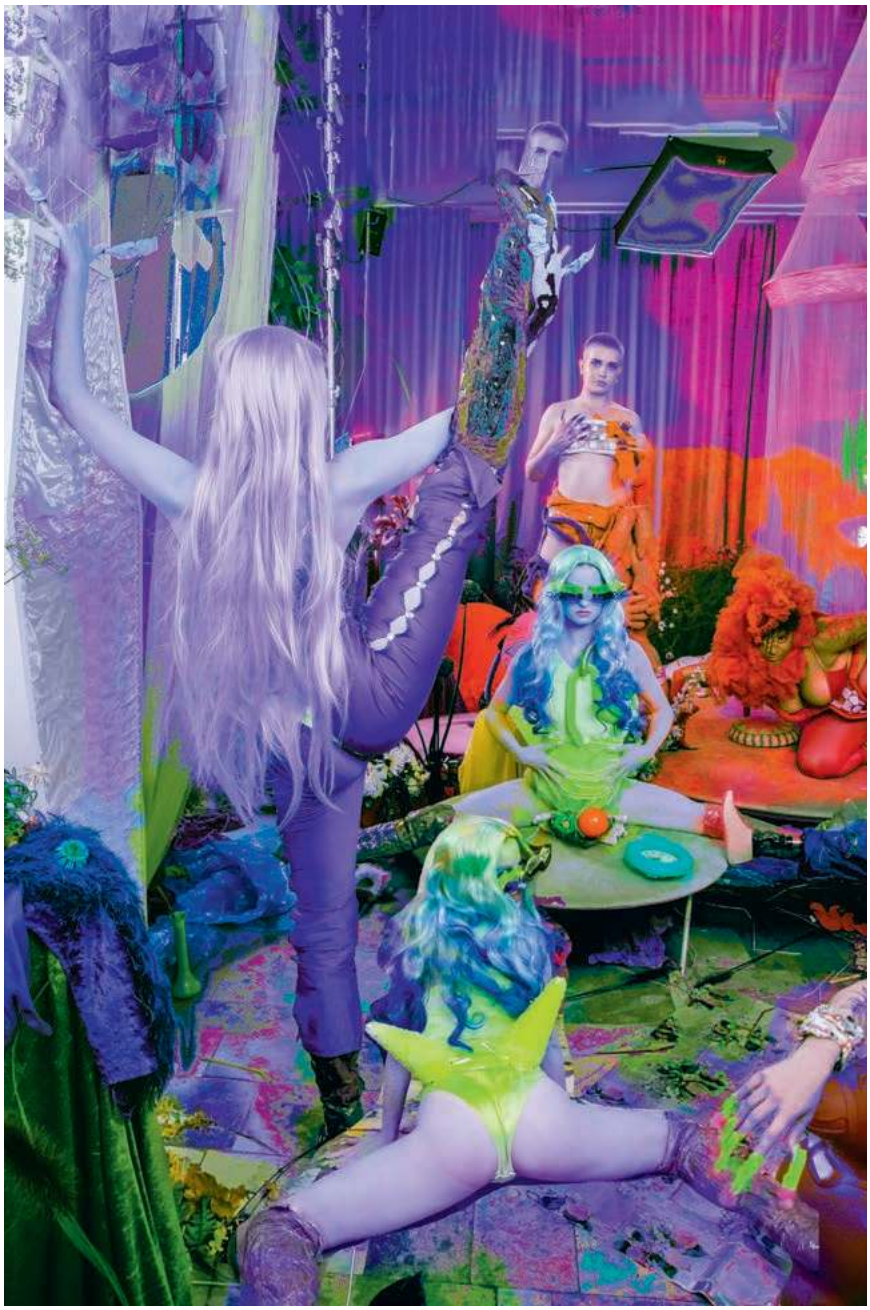

Agnieszka Sejud, fotografia z sesji do kalendarza firmy Lindner

MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU

MATERIAŁ PROMOCYJNY

MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU

Trine Søndergaard, fotografia z cyklu „Hovedtøj”

szerszej publiczności są zaprezentowane nowe prace. Kacper Kowalski, od dawna fascynujący się fotografią wykonywaną z niezwykłej, np. lotniczej perspektywy, tym razem odwołuje się do fenomenu, jakim jest horyzont zdarzeń, czyli sfery otaczającej czarną dziurę lub tunel czasoprzestrzenny, oddzielającej obserwatora od zdarzeń. Hubert Humka opowiada o miłości i śmierci, ale też o boskości. Natomiast Patryk Bułhak mówi o losach tamilskich wojowniczek walczących na froncie, a jednocześnie odrzuconych, zepchniętych na margines przez państwo. Kobietom, które weszły w konflikt z systemem, poświęciła swoje zdjęcia także Eva Yarrow. Jej „Zielnik protestu kobiet” to portrety i historie uczestniczek pokojowych protestów, do których doszło po fałszowaniu wyborów prezydenckich w Białorusi w sierpniu 2020 r.

W ramach festiwalu zorganizowano także wystawę Agnieszki Sejud, jednej z najbardziej intrygujących artystek młodego pokolenia. Autorki fotografii, ale też filmów wideo czy performansów, która w pracach zaskakujących, pełnych nieoczywistego humoru, ocierających się chwilami o kicz, podejmuje tematy trudne, a nawet kontrowersyjne. W Sopocie pokazuje zdjęcia z sesji wykonanej dla kalendarza firmy Lindner, w której modelki pozują wśród... trumien. Poszczególne ujęcia wydają się makabrycznym żartem, ale też skłaniają do postawienia pytań o stosunek do śmierci, umierania, kresu życia.

Istotną częścią tegorocznego festiwalu jest wreszcie prezentacja duńskiej fotografii – kraje nordyckie historycznie już są dla Pomorza istotnym punktem odniesienia. Obok prac Sørena Lilholta w programie znalazła się wystawa „Soil Studies” prezentująca prace poświęcone naturze jako czynnikowi definiującemu tamtejszą tożsamość. Można zobaczyć niezwykle estetycznie wysmakowane cykle fotografii Trine Søndergaard. Na jeden z nich składają się portrety dziewczyn ubranych we współczesne stroje, do których dodano elementy pochodzące z przełomu XIX i XX wieku: czepki, kołnierzyki, fragmenty starych tkanin. Nie widzimy twarzy sfotografowanych, a jedynie ubiór, który je definiuje. Drugi to zdjęcia wnętrz XVIII-wiecznej, położonej pod Kopenhagą rezydencji Gammel Holtegaard. Opustoszałych, pozbawionych mebli, bez zwiedzających. Podobnie jak w obrazach niezwykłego duńskiego malarza Vilhelma Hammershøia, uderzająca jest panująca w nich cisza.

W fotografiach zebranych na tej indywidualnej wystawie Trine Søndergaard stawia bardzo aktualne pytania o pamięć i jej rolę w dzisiejszym, tak szybko umierającym świecie. I tak jak wiele innych prezentacji tegorocznego festiwalu, przypomina o tym, jak ważne jest zakorzenienie w miejscu i lokalnej tradycji. ©

8. Festiwal Fotografii „W ramach Sopotu”: Fenomen. Sopot, 2-18 września 2022 r.

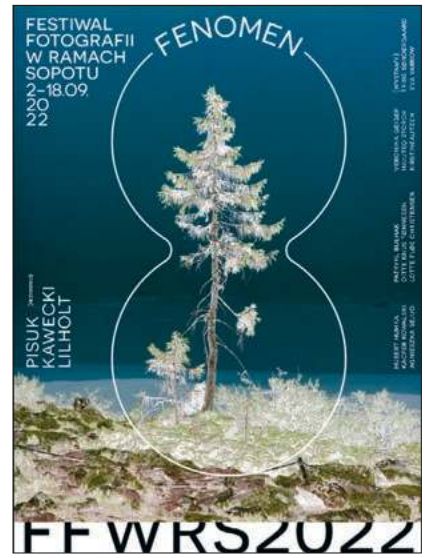

MATERIAŁY PRASOWE

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 36/2022
REDAKCJA: Piotr Kosiewski
FOTOEDYCJA: Jacek Taran
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran

NA PRZYSTANKU Z BETONU

SERHIJ ŻADAN, PISARZ I POETA:

Pisanie w warunkach wojny jest jak próba wydostania się z rwącego potoku. Unosi cię nurt, krzyczysz, ale nikt nie słyszy. Drzesz się sam do siebie.

ZDJĘCIA JACEK TARAN

MAŁGORZATA NOCUŃ: Od kilku miesięcy nie miałeś czasu na rozmowę. Jesteś wciąż w drodze: z Charkowa na front albo do szpitali z lekami i opatrunkami. Wieczorami piszesz posty na Fecebooku. Prosisz o pomoc w zakupie samochodów i kamizelek kuloodpornych dla armii.

SERHIJ ŻADAN: Dla mnie czas się zatrzymał. Ostatnie pół roku zlało się w jeden bardzo długi dzień. O świcie, 24 lutego, kiedy Rosja napadła na mój kraj, ulice wciąż zasypane były śniegiem. Pierwsze bombardowania wspominam jako prawdziwe piekło. Ale wojna jest zdradliwa – choć konflikt nie traci na sile, człowiek się do niego przyzwyczaja. Trochę obojętnieje. Przyszła wiosna, z nią odwilż i w końcu nastąpiło upalne lato, które wciąż trwa, podobnie jak mój długi wojenny dzień. Czekam na zmierzch.

Bardzo ostrożnie spoglądam wstecz. W pamięci przewijają się nie poszczególne dni, ale towarzyszące mi na różnych etapach konfliktu emocje i uczucia. Odwaga pierwszych dni inwazji i chroniczne zmęczenie, które ją zastąpiło. Pojawiły się wyczerpanie, niemoc, depresja. Potem siła się odrodziła. Wielu z nas – wolontariuszy – tego doświadczyło. Ale prawie każdy wstał z kanapy i znów zaczął działać.

Ani przez chwilę nie chciałeś uciec?

Nie. Z przyjaciółmi ukrywaliśmy się w piwnicach, schronach. Na początku nie wyjeżdżaliśmy w rejony pod silnym ostrzałem, śledziliśmy alarmy bombowe, baliśmy się, ale nie chcieliśmy uciekać.

Co jest najsilniejsze w tych powracających wspomnieniach?

Rozmowy z żołnierzami. Tego doświadczenia nie mogę porównać z niczym innym, dotyczy ono sfery niezwykle prywatnej, może nawet intymnej. Nasi chłopcy przebywają na froncie od 2014 r. Po ośmiu latach wojny w Zagłębiu Donieckim nagle ta „wielka wojna" objęła praktycznie cały kraj. Nasze wojsko zdało sobie wtedy sprawę, że tak naprawdę jeszcze nie walczyło. Że te osiem lat jakby się nie liczyło. Poznałem żołnierzy, którzy trafili do samego jądra piekła. Wpadli pod ostrzał amunicją fosforową, palili się. Znaleźli się w szpitalu, a z niego pomaszerowali prosto na front. Wszystko to miało miejsce zaledwie w ciągu jednego miesiąca. Uczucia, o których mi opowiadają, może znać chyba tylko kosmonauta, który z bezpiecznej stacji na Ziemi wyrusza na kosmiczną misję i nie ma pojęcia, co go tam czeka.

W mediach społecznościowych ważysz słowa. Czasem nawet posłużysz się humorem. Nie czujesz nienawiści?

Oczywiście, że czuję, ale jej nie demonstruję. Czy mogę zachować spokój, dowiedziawszy się, że w ciągu minionej nocy Rosjanie zabili ↦

Serhij Żadan, Kraków, 18 sierpnia 2022 r.

↦ dziesięciu cywili w moim mieście? Czy mogę nie nienawidzić?

Z nienawiścią należy jednak uważać. Jest jak narkotyk. Potrafi zupełnie zawładnąć człowiekiem, wyssać z niego siły. Spotykam ludzi, których to uczucie zrujnowało. Choć to cholernie trudne, staram się więc nienawiść od siebie odsunąć. Bo czy przeklinanie zachodnich polityków, którzy do ostatniej chwili próbowali dogadać się z Putinem, doda mi sił? Staram się też nie myśleć o rosyjskich żołnierzach stacjonujących zaledwie 40 km od mojego miasta i mierzących w nas z karabinów. Myślę o potrzebujących pomocy ukraińskich żołnierzach. Niedługo przyjdzie zima. Trzeba im kupić ciepłą odzież i buty. Potrzebne są samochody, kaski i kamizelki kuloodporne. Być może nienawiść potrafi być konstruktywna dla żołnierzy w okopach. Ale jeśli przebywa się trochę dalej linii frontu i stara się coś zrobić, trzeba skoncentrować się na innych emocjach.

Co przynosi spokój?

Rozmowy z ukraińskimi żołnierzami. Oni wiedzą, że wojna nie skończy się dziś ani jutro, są przygotowani na długi pobyt na froncie i rozłąkę z rodzinami. Codziennie stykają się ze śmiercią. Wojna nie ogranicza się dla nich do posta na Facebooku. Muszą zacisnąć zęby i przetrwać. To sprawia, że nabierają racjonalnego stosunku wobec swoich emocji. Emanuje z nich wiara. A i mnie wiara wzmacnia. Nie mówię o wierze w kontekście religijnym, choć ta zapewne przynosi podobny efekt. Wierzę w ukraińskie społeczeństwo i nasze siły zbrojne.

W Twoich myślach jest miejsce na przyszłość?

Przyszłość stała się mglista. Wszystko dzieje się tu i teraz. Żyję chwilą. To syndrom ludzi przebywających tuż obok linii frontu. Pytania o jutro są nie na miejscu, nie powinno się ich zadawać. Nasza rzeczywistość jest tak bardzo krucha. Niedawno z zespołem Żadan i Sobaki zaplanowaliśmy występy, ale umówiliśmy się, że w każdej chwili każdy z nas może je odwołać.

Kto towarzyszy Ci na co dzień?

Nazwałbym ich „swoimi ludźmi". To żołnierze, wolontariusze, działacze trzeciego sektora. Zostali w bombardowanym Charkowie. Niektórzy wciąż mają pracę, inni ją stracili i zajmują się wyłącznie wolontariatem. Są idealistami i w większości neofitami. Jeszcze pół roku temu nie angażowali się w sprawy społeczne. Wolontariuszy nie cechuje brawura czy heroizm. Policzyliśmy swoje siły i postanowiliśmy zająć się konkretną robotą. Przebywanie blisko frontu wyniszcza. Należy nieprzerwanie pytać samego siebie: „Ile mam jeszcze sił? Czy podołam?". Musisz każdego wieczora odpowiedzieć sobie na pytanie, czy rano uda ci się wstać z łóżka i wrócić do pracy. Ktoś radzi sobie z tym stanem, a ktoś nie. Niektórzy się wypalają i odchodzą. Inni odchodzą i wracają. Wielu wolontariuszy na nowo kształtuje swoją tożsamość. Zmieniają poglądy wobec swojego kraju, społeczeństwa i Rosji. To niezwykle ważne procesy.

Sąsiedztwo Rosji to przekleństwo naszego Charkowa. Już dziś przystanki wznosimy z betonu, bo **Rosjanie otwierali ogień do pasażerów czekających na autobus.**

Jak się odnaleźliście?

W pierwszych dniach inwazji ludzie chcący zajmować się wolontariatem rozpoznawali się nawzajem na ulicy. Wcześniej się nie znaliśmy, Charków liczy przecież ponad milion mieszkańców. Umieliśmy się skrzyknąć, wyłowić z tłumu.

Wojna stała się dla Was chlebem powszednim.

Wojna budzi przerażenie w pierwszych dniach i tygodniach, potem powszednieje. Człowiek się do niej przyzwyczaja i życie toczy się normalniejszym rytmem. Charków jest okaleczony, wiele budynków zasypały gruzy, inne noszą ślady kul. Pomniki wciąż obłożone są workami z piaskiem. Ale niektóre dzielnice miasta nie ucierpiały i starają się żyć zwyczajnie. Ukraińscy fotografowie utyskiwali nawet, że zagraniczne agencje nie chcą kupować zdjęć, na których Charków wygląda zwyczajnie i nie widać wojny.

Jako przedstawiciel pokolenia lat 70. musiałeś przesiąknąć opowieściami o „wielkiej wojnie ojczyźnianej".

To, w co jako dzieciaki bawiliśmy się na podwórku, stało się naszą rzeczywistością. Dziś też ukraińskie dzieci bawią się w wojnę. Jeżdżę do małych miasteczek i wsi, gdzie maluchy spędzają czas na przydrożnych posterunkach wojskowych. Żołnierze je znają, częstują cukierkami. Chłopcy i dziewczynki biorą do rąk dziecięce karabiny i gdzie tylko mogą, zatykają ukraińskie flagi. Zbierają pieniądze na armię. Ich miłość do kraju jest prawdziwa. Przebywanie z nimi porusza, ale zarazem jest bardzo ciężkim doświadczeniem. Żadne dziecko nie powinno poznać smaku wojny i stać na straży z bronią w ręku, nawet jeśli zrobiona jest z patyka. Ta wojenna rzeczywistość zawiśnie nad ich życiem jako trauma.

Twoją pierwszą wojenną książką jest wydany pięć lat temu „Internat". To powieść zupełnie inna niż mówiące o pokoleniu lat 80. „Depeche Mode" czy książki o wschodniej Ukrainie, jak „Woroszyłowgrad" lub „Mezopotamia", w których oddałeś klimat poradzieckich blokowisk, a bohaterami uczyniłeś dresiarzy, kombinatorów.

Książka o wojnie długo chodziła mi po głowie. „Internat" zacząłem pisać w maju 2014 r. Nie ma w nim ironii, humoru, bo o wojnie nie można pisać językiem, którego używało się wcześniej. Szukałem więc nowych słów, nowej melodii, i to był długi proces.

Moja kolejna książka także będzie utrzymana w zupełnie innym tonie niż poprzednie. Zobaczyłem śmierć w całej jej realności i zbliżyłem się do niej. Dlatego w swoim pisarstwie przedmioty, stany emocjonalne, uczucia muszę ponownie zdefiniować. Nadać słowom nowe znaczenie. To trudne zadanie, ale jeśli go nie wykonam, moje pisarstwo będzie do niczego.

Bohater „Internatu", Pasza, jest człowiekiem obojętnym. Dlaczego zdecydowałeś się opisać człowieka niezaangażowanego w konflikt, więcej: nie do końca rozumiejącego otaczającą go rzeczywistość?

Pasza – z zawodu nauczyciel – nie jest separatystą, ale nie zajmuje też stanowiska proukraińskiego. Zresztą ma swój prototyp. Pewnego dnia otrzymałem mail od człowieka mieszkającego na terytorium

zajętym przez separatystów. Opowiedział mi, co dzieje się w jego miejscowości. Podzielił się ze mną odczuciami i emocjami. Długo byłem z nim w kontakcie i dziś jego poglądy pozostawały niedookreślone. W ostatnim mailu napisał, że zrobiło się bardzo niebezpiecznie i musimy zawiesić korespondencję. Z niecierpliwością czekam na list. Przez ostatnie pół roku spotkałem wielu ludzi podobnych Paszy. Nie chcieli mówić, za kim są, nie chcieli opuszczać swoich domów, choć spadały na nie bomby. Chcieli po prostu zostać u siebie i żyć jak dawniej.

Jakich wyborów dokonaliby dziś bohaterowie Twoich książek? Ci posługujący się rosyjskim slangiem, pokpiwający z ukraińskiego państwa. Po której stronie barykady by stanęli?

To trudne i złożone pytanie. Na co dzień spotykam ludzi podobnych do postaci z „Mezopotamii" czy „Woroszyłowgradu". Wczorajszych przemytników, którzy z karabinem w ręku siedzą w okopach i bronią swojego kraju. Wielu przedstawicieli mojego pokolenia nie interesowało się polityką. Niektórzy nawet demonstracyjnie nie chodzili na wybory. Mogliby posłużyć za pierwowzór postaci opisanych w „Depeche Mode", a dziś walczą.

W 2016 r., wraz z reżyserem Jarosławem Lodyginem, postanowiliśmy nakręcić serial na motywach „Woroszyłowgradu". Fabuła różniła się od tej w powieści, rozpoczynała się w 2014 r.: ukraińska armia wyzwala miasto na wschodzie Ukrainy, na komisariat trafiają bohaterowie książki, śledczy stara się wyjaśnić, kto walczył po stronie separatystów, a kto bronił kraju. Ale zrezygnowaliśmy z tego zabiegu, ponieważ okazał się sztuczny. „Woroszyłowgrad" jest książką o niemożliwości wojny, sztuczności separatyzmu. Tego sądu nad bohaterami powieści po prostu nie udało się przeprowadzić.

Opisujesz wojnę w mediach społecznościowych. Dzień po dniu.

I najbardziej lubię czytać zapiski na Facebooku. Chętnie sięgam też do tekstów reporterskich, odnajduję w nich realność. Unikam książek o wojnie. Od 2014 r. na Ukrainie wydano ich dziesiątki. Pisali je weterani i cywile. Teksty te starają się oddać rzeczywistość, ale im się to nie udaje, ponieważ pisarze próbują uczynić z wojny literaturę, a to nie jest podejście uczciwe

SERHIJ ŻADAN jest ukraińskim pisarzem i poetą, od początku wojny pracuje w Charkowie jako wolontariusz. Laureat Nagrody Literackiej Europy Środkowej „Angelus" za powieść „Mezopotamia". W marcu 2022 r. Komitet Nauki o Literaturze przy Polskiej Akademii Nauk zgłosił jego kandydaturę do Literackiej Nagrody Nobla. W Polsce ukazały się m.in. jego powieści w przekładzie Michała Petryka: „Big Mac" (2005); „Depeche Mode" (2006); „Hymn demokratycznej Ukrainy" (2007); „Woroszyłowgrad" (2013); „Mezopotamia" (2014); „Internat" (2019).

ani etyczne. O wojnie należy mówić językiem uczestniczących w niej ludzi.

Powstrzymuję się przed pisaniem. Nie chcę napisać czegoś, co za jakiś czas okaże się nieaktualne i niepotrzebne. Tworzenie w takich warunkach porównałbym z próbą wydostania się z rwącego potoku. Unosi cię nurt, krzyczysz, ale tych krzyków i błagań nikt nie słyszy. Drzesz się sam do siebie. Więcej w tym histerii niż pożytecznej narracji.

Przed wybuchem wojny wystrzegałeś się wypowiedzi w kategoriach biało-czarnych. Wojna zmusiła Cię do zmiany myślenia. I Ty bardzo się zmieniłeś.

Ta wojna ma na celu zgładzenie mojego narodu, jakich niuansów mam więc szukać? Gdzie jest miejsce na wątpliwości? Nie znajduję żadnych okoliczności mogących usprawiedliwić agresora. Tak, często bywam smutny. Z rozrzewnieniem myślę o czasie minionym. Mój tata nie żyje od kilku lat, teraz nawet nie mogę pojechać na jego grób, a tak niedawno siedzieliśmy obok siebie, rozmawialiśmy.

Mieszkając w Charkowie jesteś skazany na niebezpieczeństwo. Rosja pozostanie Waszym sąsiadem.

I to jest przekleństwo naszego miasta. W nowych budynkach mieszkalnych na pewno zostaną zaprojektowane schrony przeciwbombowe. Już dziś przystanki wznosimy z betonu, bo Rosjanie kilkakrotnie otwierali ogień do pasażerów czekających na autobus. Byli zabici i ranni. Beton osłoni ludzi od kul.

Wojna zmieniła moje miasto bezpowrotnie. Choć przyszła na wschód kraju już w 2014 r., Charków pozostał cichy i spokojny. O konflikcie przypominał nam jedynie szpital, do którego przywożono rannych żołnierzy, i armia przejeżdżająca tędy w drodze na front. Ale – dla bezpieczeństwa – połączenia kolejowe między Charkowem i Rosją zlikwidowano, na dworcu stali więc taksówkarze przewożący podróżnych do rosyjskiego Biełgoradu. Kiedy tylko wysiadało się z pociągu relacji Kijów–Charków, słyszało się ich nawoływania: „Biełgorad!", „Biełgorad!". Te krzyki umilkły. I po wojnie długo jeszcze taksówki nie pojadą do Biełgoradu. Rosja pokazała, że jest krajem zupełnie nieobliczalnym. Można spodziewać się po niej absolutnie wszystkiego. Podobnie jest z rosyjskim społeczeństwem – nad czym ubolewam.

Zawsze podkreślałeś, że nie jesteś rusofobem.

Udzielam wywiadów w języku rosyjskim, ale na rozmowę z rosyjską prasą, nawet opozycyjną, bym się nie zdecydował. Chciałbym zobaczyć w Rosjanach zwykłych ludzi, a nie drapieżców żądających krwi.

Po wojnie ciężko będzie mi objąć się z Rosjaninem czy Rosjanką i powiedzieć: „No, jesteśmy braćmi, sąsiadami, możemy się razem napić i żyć obok siebie". Czytuję komentarze dotyczące bombardowań Charkowa na rosyjskich forach internetowych, wybrzmiewa w nich radość, wręcz euforia z poniesionych przez nas strat.

W swojej literaturze dużo uwagi poświęciłeś pojęciu granicy. Wschodniość uznawałeś za czynnik determinujący. Zachód stanowił abstrakcję.

Także pojęcie granicy się zmieniło. Przestała być abstrakcją, metaforą. Jako wolontariusz pomagałem oddziałowi stacjonującemu około 3 km od linii granicznej. Jego pozycje leżały na wzgórzu, żołnierze jak na dłoni widzieli więc Rosję ↦

↦ za lasem. Nie musieli nawet brać do rąk lornetek. Rosyjscy żołnierze wciąż ich ostrzeliwali. W takiej chwili pojęcie granicy nabywa dosłowności.

Dla Ukraińców granica zawsze miała wymiar materialny. Wiedzieliśmy: „O tam, za tą linią zaczyna się inny kraj". I, jak to na styku dwóch państw, w niektórych miejscowościach żyło się z przemytu, czasem ktoś nielegalnie przeszedł na drugą stronę lasem, ale granica istniała. Nie mieliśmy pojęcia, że dla naszych sąsiadów granica jest fikcją. Nigdy jej nie uznawali. Ukraińską państwowość uważali za abstrakcję. Wtargnięcie na nasze terytorium uważali za coś zupełnie naturalnego. W pierwszych dniach inwazji mówili nawet do ludzi: „No już dobrze, dobrze, niedługo tu będzie Rosja i będziecie żyć tak jak my".

Nowe znaczenie zyskuje dziś cała wschodnia część kraju. Czy runie podział na „dwie Ukrainy"?

W ukraińskim społeczeństwie panowało sceptyczne nastawienie do nas, „wschodniaków". Niedowierzano, że naprawdę jesteśmy Ukrainą. Mówiło się, że panuje tu prorosyjskość. Nie raz słyszałem: „Ci ze wschodu są za Rosją i popierają Putina". W masowym przekonaniu Ukraina składała się z zachodu i centrum, wschód był poniekąd obcym ciałem. Dziś zacięte walki toczą się właśnie na wschodzie. Sumy, Ochtyrka, Charków – w działaniach wojennych na tych terenach biorą udział ludzie ze wschodniej części kraju. Nie chcę oczywiście wprowadzać podziału na lepszych i gorszych. Chcę podkreślić, że jesteśmy równi. Historia Ukrainy pisze się na nowo i ma to miejsce właśnie na wschodzie.

Zmienił się także społeczny odbiór Charkowa. Choć dla mnie to miasto zawsze było cenne i uważałem je za swoją małą ojczyznę, to jeszcze kilka lat temu można było usłyszeć, że nie jest to miasto ukraińskie. Charków zawsze był gospodarczo, finansowo i kulturalnie ważny, ale na niego psioczono. Dziś, gdyby ktoś stwierdził, że Charków to nie Ukraina, język by mu kołkiem stanął.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUŃ

Rozmowa została przeprowadzona podczas wizyty Żadana w Krakowie, której współorganizatorami były Wydawnictwo Czarne i KBF, operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO.

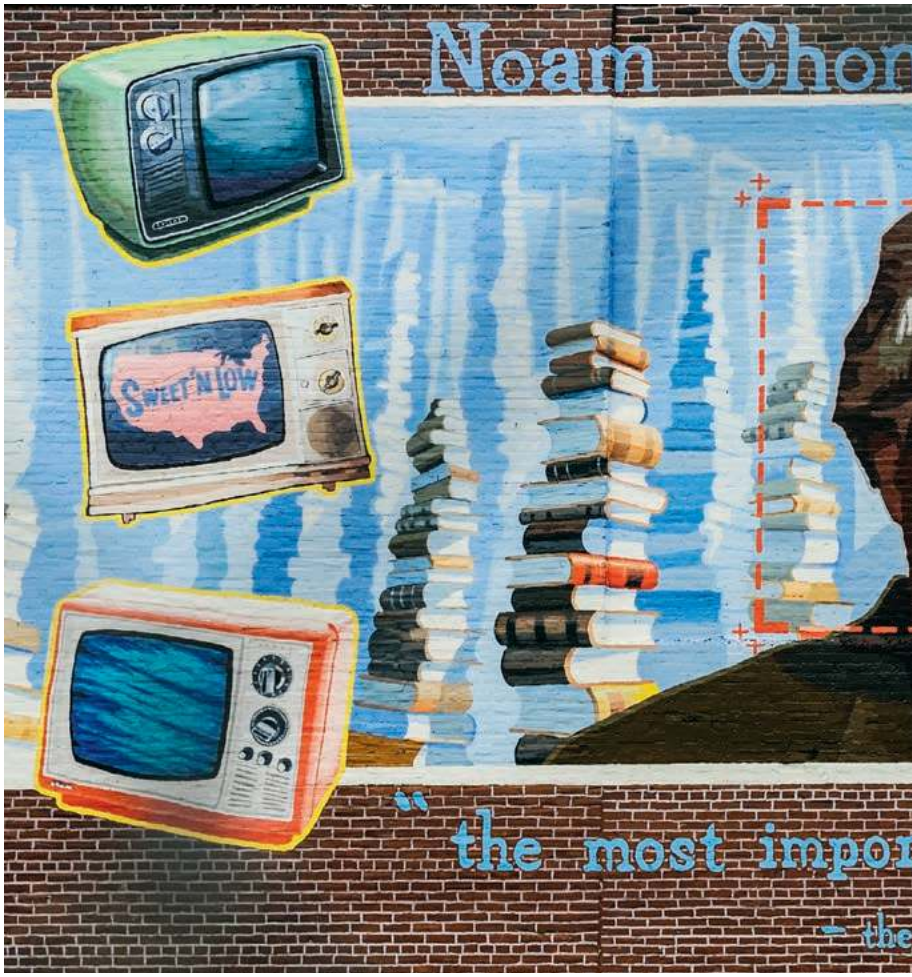

Średnio uczciwy polemista

JAKUB MAJMUREK

Żaden z intelektualistów wypowiadających się niemądrze w sprawie rosyjskiej inwazji na Ukrainę nie ma takiej pozycji w nauce jak Noam Chomsky. I żaden od dawna nie budzi tylu emocji.

Za wybuch wojny winą obarcza ekspansję NATO na wschód, a zwłaszcza politykę Waszyngtonu wobec Kijowa od 2014 r., zmierzającą do „faktycznej integracji" Ukrainy z sojuszem, na co Rosja nigdy nie mogła się zgodzić. Ukraińcom Noam Chomsky radzi, by zapomnieli o Krymie i porozumieli się z Rosją. Jak mówił w jednym z wywiadów, Ukraina mogłaby mieć podobny status jak Meksyk, który jest niepodległym państwem, ale dla wszystkich pozostaje oczywiste, że nie mógłby nagle dołączyć do wymierzonego w USA sojuszu wojskowego z Chinami.

Język i polityka

„[Chomsky] jest intelektualistą niepokojąco pękniętym. Z jednej strony mamy korpus rewolucyjnych w swojej dziedzinie, wysoce technicznych i niezrozumiałych dla laika tekstów językoznawczych; z drugiej nie mniejszy zestaw pism politycznych, zrozumiałych dla każdej piśmiennej osoby, które są

FRÉDÉRIC SOLTAN / GETTY IMAGES

Mural z portretem Noama Chomsky'ego podpisany cytatem z „New York Timesa": „najważniejszy żyjący intelektualista". Filadelfia, USA, 2013 r.

irytująco naiwne. Problem z Chomskym polega na tym, jak połączyć te dwa nurty jego myśli (...) Choć dzielę wiele politycznych opinii Chomsky'ego (...) to nie jestem w stanie czytać jego tekstów politycznych bez zażenowania" – pisał już w 1979 r. na łamach „New York Timesa" historyk Paul Robinson.

Jednocześnie język i polityka nieustannie splątują się w biografii uczonego. Jego ojciec, William, badał gramatykę hebrajskiego, a młody Noam pilnie się jej uczył. Także jako dziecko Chomsky napisał swój pierwszy zaangażowany politycznie tekst: artykuł w szkolnej gazetce o zdobyciu republikańskiej Barcelony przez wojska Franco.

Miejscem politycznej edukacji jest dla Noama Chomsky'ego Nowy Jork. Jeździ tam od dziecka, goszcząc w domu siostry swojej matki. Jej mąż, Milton Krauss, prowadzi kiosk z gazetami na 72 Ulicy na Manhattanie, który staje się miejscem spotkań politycznych migrantów uciekających z Europy przed nazizmem. Młody Noam przysłuchuje się im z uwagą. Kraus próbuje zainteresować chłopca marksizmem. Bezskutecznie – Noam jest zainteresowany literaturą anarchistyczną, szuka jej włócząc się po nowojorskich księgarniach. Odwiedza też redakcję wydawanego w jidysz pisma „Freie Arbeiter Stimme".

Anarchizm do dziś wyznacza horyzont polityki Chomsky'ego. Nigdy nie dał się on przekonać do marksizmu, a tym bardziej do jego radzieckiej wersji. Dla Chomsky'ego ZSRR – z monopolem władzy politycznej i ekonomicznej skupionej w ręku partyjnej elity – oraz Stany Zjednoczone – z władzą wielkiego kapitału – to dwie strony tej samej monety, którą należy odrzucić.

Chomsky przeciwstawia tym porządkom ideał społeczeństwa autentycznie demokratycznego i egalitarnego, opartego na samoorganizacji i pomocy wzajemnej, gdzie pracownicy zarządzają swoim miejscem pracy, praca podzielona jest sprawiedliwie, każdy ma taką samą możliwość oddziaływania na życie publiczne, a społeczeństwo zostawia przestrzeń dla osobistej wolności i autoekspresji. „Komu bliska jest zdroworozsądkowa zasada, że wolność jest naturalnym prawem i elementarną potrzebą człowieka, ten zgodzi się z Bertrandem Russellem, że »najwyższym ideałem, do którego ludzkość powinna dążyć«, jest anarchizm. Struktury hierarchii i dominacji nie mają elementarnej racji bytu" – pisał Chomsky w „Sile i opinii" (przeł. Marek Jedliński).

To właśnie polityka pchnęła Chomsky'ego na drogę badań nad językiem. Po pierwszym roku studiów na Uniwersytecie Pensylwanii Chomsky jest rozczarowany, myśli o porzuceniu uczelni. Wykładający na niej Zelig Harris przekonuje go jednak, by zajął się językoznawstwem pod jego kierunkiem. Chomsky zgadza się głównie dlatego, że bliska mu jest polityka Harrisa: przede wszystkim jego podejście do kwestii Palestyny i Izraela. Chomsky marzy wtedy o socjalistycznym, dwunarodowym państwie w Palestynie, które mogłoby być domem jednocześnie dla żydowskich i arabskich robotników, jest zafascynowany ruchem kibucowskim. Przez pewien czas mieszkają z żoną i pracują w jednym z kibuców, zastanawiają się, czy nie związać z nim życia na dłużej – wracają jednak do Stanów.

Droga do uniwersalnej gramatyki

Wybór lingwistyki okazuje się strzałem w dziesiątkę. Zanim Chomsky skończy trzydzieści lat, zaznaczy mocno swoją obecność w tym polu.

W latach 40. i 50. w badaniach nad językiem dominują w Stanach dwa paradygmaty: behawioryzm i amerykańska wersja językoznawstwa strukturalnego – Harris odegrał istotną rolę w jego formalizacji. Chomsky miażdży behawioryzm – paradygmat uznający, że język jest całkowicie wyuczonym zachowaniem – w opublikowanej w 1959 r. recenzji książki B.F. Skinnera „Verbal Behaviour". Zauważa w niej, że Skinner nie potrafi wytłumaczyć tego, iż wszystkie dzieci, niezależnie od kultury, różnic w inteligencji i wychowaniu, nabywają zdolność do mówienia w ojczystym języku w mniej więcej tym samym wieku. Według Chomsky'ego tłumaczyć to może tylko fakt, że człowiek posiada wrodzoną kompetencję językową, która ↦

↦ ujawnia się w pierwszych latach życia i pozwala generować nieskończoną liczbę zdań z dostępnego słownika.

Zdaniem Chomsky'ego – co różniło go od Harrisa – prawdziwym celem studiów nad językiem nie powinna być dokumentacja reguł i zwyczajów poszczególnych języków, ale poszukiwanie czegoś głębszego: zespołu wspólnych wszystkim językom reguł pozwalających na łączenie dostępnych słów w sensowne zdania i przekształcania istniejących zdań w inne. Te głębokie reguły, wspólne wszystkim językom, mają być w jakiś sposób zakodowane w umyśle i stanowić u ludzi wiedzę wrodzoną.

Z czasem dane empiryczne nastręczały teorii Chomsky'ego problemów. By się z nimi zmierzyć, w latach 80. dokonuje rewizji poglądów, ogłaszając tzw. teorię zasad i parametrów. Zgodnie z nią pewne uniwersalne zasady językowe mogą manifestować się inaczej w różnych językach, działających na podstawie specyficznych dla siebie parametrów. Weźmy polski i angielski. Po polsku napiszę: „Mam psa". Po angielsku „*I have a dog*". W polskim, gdy mówimy w pierwszej osobie, na ogół opuszczamy podmiot. W angielskim nie możemy tego zrobić. W świetle teorii Chomsky'ego można porównać ludzką kompetencję językową do maszyny, która ma cały szereg przełączników. Np. przełącznik podpisany „zasada porzucenia podmiotu w pierwszej osobie liczby pojedynczej". Włącza się on, gdy dziecko uczy się polskiego jako języka ojczystego, pozostaje wyłączony, gdy jego ojczystym językiem jest angielski.

I ten model nie był jednak doskonały. W końcu, na początku wieku Chomsky uprościł go do tzw. programu minimalistycznego, w którym ogłosił, że jedyną wspólną cechą wszystkich języków jest rekurencja, czyli możliwość osadzania jednej frazy w kolejnej. Dzięki rekurencji nie musimy mówić: „Mam kota. Mój kot ma trzy lata. Mój kot ciężko zachorował". Możemy powiedzieć: „Mój kot, który ma trzy lata, ciężko zachorował". Rekurencja ma być również powodem, dla którego inne zwierzęta nigdy nie nauczą się prawdziwego języka – zdaniem Chomsky'ego tylko ludzie potrafią się nią posługiwać.

W 2016 r. na łamach „Scientific American" psychologowie Paul Ibbotson i Michael Tomasello opublikowali artykuł przekonujący, że badania tego, jak dzieci faktycznie uczą się języka, wydają się falsyfikować założenia teorii Chomsky'ego. Gramatyka – jak piszą – nie jest czymś wrodzonym, ale historycznym, dzieci nabywają ją funkcjonując w konkretnych wspólnotach historyczno-językowych. Uczymy się języka nie za sprawą wewnętrznego „organu językowego", ale dzięki szerszym kompetencjom poznawczym, m.in. zdolności do kategoryzowania zjawisk (np. na przedmioty, ich cechy i zdarzenia), oraz umiejętności zgadywania, co inni chcą nam zakomunikować.

Ukraińcom radzi, by zapomnieli o Krymie i porozumieli się z Rosją.
Mówi, że Ukraina powinna być jak Meksyk, który nie mógłby nagle dołączyć do sojuszu przeciw USA.

Z Chomskym polemizują również klasyczni językoznawcy – m.in. Daniel Everett, który stwierdził, że członkowie amazońskiego plemienia Pirahã posiadają język pozbawiony rekurencji. Po części z krytyki Chomsky'ego wyrasta także nurt badań zwany ucieleśnionym poznaniem, zapoczątkowany m.in. przez George'a Lakoffa, zbuntowanego studenta Chomsky'ego (czytaj także w dziale „Nauka" w tym wydaniu).

Odpowiedzialność intelektualisty

Spór o to, czym jest język i jak go nabywamy, czy jest osobnym „organem mentalnym", czy częścią szerszych kompetencji poznawczych człowieka, pozostanie otwarty. Ze względu na polityczne zaangażowanie Chomsky'ego dyskusje wokół jego teorii budzą emocje nieczęsto spotykane w akademii. Każdą teorię, która wydaje się osłabiać ustalenia Chomsky'ego, a w konsekwencji jego akademicką pozycję, z wyraźną satysfakcją witają polityczni przeciwnicy uczonego, a polityczni sympatycy podejrzliwie patrzą na te doniesienia, które zdają się podważać jego koncepcje.

Chomsky nie boi się wikłać w polityczne kontrowersje. Od lat 60. znany jest przede wszystkim jako zaangażowany intelektualista, protestujący przeciw polityce własnego rządu. Sprawą, która jako pierwsza „uruchamia" dysydencko Chomsky'ego, jest zaangażowanie USA w Wietnamie. Już w 1962 r., przed amerykanizacją konfliktu, organizuje spotkania, gdzie w wąskim gronie krytykuje amerykańską politykę. Im bardziej rośnie zaangażowanie Stanów w konflikt, tym bardziej bezpośredni staje się protest Chomsky'ego. Odmawia on przez kilka lat płacenia podatków, by nie finansować wojny, popiera młodych ludzi palących swoje karty poborowe, zostaje aresztowany po tym, jak wygłasza wykład dla uczestników protestu pod Pentagonem.

W tym okresie pisze też swój pierwszy ważny tekst polityczny, „Odpowiedzialność intelektualistów", opublikowany w „New York Review of Books". Inspiracją dla Chomsky'ego był esej Dwighta Macdonalda napisany tuż po II wojnie światowej, stawiający pytanie o odpowiedzialność zwykłych Niemców i Japończyków za zbrodnie popełnione przez ich państwa. Macdonald opisuje w nim m.in. księgowego niemieckiego obozu zagłady, który nie potrafi zrozumieć, co tak naprawdę złego zrobił, przecież tylko wykonywał swoją pracę. Macdonald przestrzega swoich czytelników: mamy prawo potępić tę postać tylko wtedy, kiedy sami jesteśmy gotowi wystąpić otwarcie przeciw władzy łamiącej nasz kod moralny. Chomsky przekonuje, że nadszedł właśnie ten moment: czytając o zbrodniach popełnianych z amerykańskim wsparciem w Wietnamie każdy z nas musi sobie powiedzieć, co jest gotów z tym zrobić.

Od tego czasu Chomsky z budzącą zazdrość płodnością produkuje kolejne polityczne teksty i książki – często we współpracy z ekonomistą Edwardem S. Hermanem. Ich głównym tematem jest krytyka amerykańskiej polityki zagranicznej. Chomsky pisze o Indochinach, Indonezji i Timorze Wschodnim, amerykańskiej polityce na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Łacińskiej. Z pewnością nie brakuje mu odwagi cywilnej, ale łączy się ona często z polityczną naiwnością, arogancją i nieumiejętnością przyznania się do błędu.

Dobrym przykładem jest tzw. sprawa Faurissona. Robert Faurisson był profesorem literatury z Uniwersytetu w Lyonie, który po tym, jak w wywiadzie telewizyjnym negował istnienie komór gazowych, został skazany za podżeganie do nienawiści rasowej i zniesławienie. Chomsky pod-

pisał petycję w jego obronie – jak można sądzić, nie czytając jej uważnie. W petycji słowo Holokaust ujęte jest w cudzysłów, Faurisson jest przedstawiony jako szanowany badacz, atakowany za przedstawienie swoich „ustaleń". Na Chomsky'ego spadł grad krytyki, zarzucano mu uwiarygodnianie denialisty Zagłady.

W odpowiedzi Chomsky napisał esej o wolności słowa, który przekazał organizatorom petycji do „dowolnego wykorzystania". Przekonuje, że wolność słowa i wolność akademicka powinna przysługiwać wszystkim – także Faurissonowi, nawet gdyby faktycznie był nazistą i antysemitą. Jednocześnie Chomsky twierdzi w tym samym tekście, że Faurisson nie jest antysemitą, tylko „apolitycznym liberałem". Esej został wykorzystany jako wstęp do książki Faurissona – co wyglądało, jakby Chomsky legitymizował jego poglądy. Zamiast przyznać się do błędu, Chomsky nie przestawał jednak atakować. Wezwał do wycofania swojego tekstu z książki, jednak nie po to, by odciąć się od Faurissona. Zrobił to dlatego, że jak stwierdził: „francuska społeczność intelektualna nie jest zdolna do zrozumienia koncepcji wolności słowa".

Równie niezrozumiałe jest to, co Chomsky pisał o Kambodży i Czerwonych Khmerach. W 1977 r. wspólnie z Hermanem publikuje na łamach „The Nation" krytykę istniejących publikacji o Kambodży Pol Pota. Choć autorzy nie negują, że pod jego rządami dochodziło do zbrodni, a historie uchodźców z Kambodży powinny być uważnie wysłuchane, to jednocześnie przestrzegają, by traktować je z koniecznym krytycyzmem, gdyż uchodźcy są bezradni, straumatyzowani i mogą mówić to, co chcą usłyszeć przesłuchujący ich zachodni dziennikarze czy pracownicy organizacji humanitarnych. Podstawowy zarzut Chomsky'ego i Hermana jest jednak taki, że publikacje przedstawiające informację o zbrodniach Czerwonych Khmerów odwracają uwagę od tego, co najważniejsze: polityki USA w Azji Południowo-Wschodniej i tego, jak przyczyniła się ona do tragedii Kambodży i innych państw regionu.

Przeciwnicy Chomsky'ego próbowali wykorzystać tekst z „The Nation" do tego, by oskarżyć go o „wspieranie Pol Pota" albo negowanie ludobójstwa, jakie miało miejsce w Kambodży pod jego rządami. Pierwszy zarzut jest absurdalny, jednak trzeba się sporo nagimnastykować, by

MARTIN BIAŁECKI / DPA / PAP

Noam Chomsky, wrzesień 2016 r.

wybronić Chomsky'ego przed drugim. Nawet jeśli uznamy, że Chomsky ma rację w tym, iż tragedia Kambodży nie zaczęła się wraz z Czerwonymi Khmerami, a USA ponosi odpowiedzialność za doprowadzenie do sytuacji, gdy Pol Pot mógł zdobyć władzę, to sposób, w jaki Chomsky pisze o relacjach Kambodżan, łatwo naraża go na zarzuty o brak empatii, arogancję i ignorancję.

Część i całość prawdy

Te dwa ostatnie zarzuty często wracają w odniesieniu do politycznego pisarstwa Chomsky'ego. Nie ma on warsztatu historyka ani politologa, pisze o narodach, których języków nie zna, a historię – najwyżej powierzchownie. Chomsky odpowiada, że historia czy politologia zajmują się kwestiami, które każdy, kto dysponuje dostateczną ilością wolnego czasu, jest w stanie zrozumieć. Ponieważ on jako akademik dysponuje czasem i innymi zasobami, jego zadaniem jest „przedstawienie prawdy". Jak łatwo zgadnąć, nie nastawia to pozytywnie do Chomsky'ego dziennikarzy czy naukowców zawodowo zajmujących się poruszanymi przez niego tematami.

Chomsky często ma przy tym rację w szczegółach: gdy pisze o Wietnamie, Timorze Wschodnim, wsparciu Stanów dla ludobójczej polityki Indonezji. Problem w tym, że jego historycznej i politycznej narracji brakuje subtelności i perspektywy. Część prawdy mylnie utożsamia z jej całością. W wykładzie wygłoszonym w latach 80. w nikaraguańskiej Managui Chomsky twierdzi, że strategicznym celem amerykańskiej polityki zagranicznej „jest stworzenie i utrzymanie międzynarodowego porządku, w którym mogą kwitnąć amerykańskie przedsięwzięcia biznesowe, świata »otwartych społeczeństw« (...), tzn. otwartych na biznesową i polityczną kontrolę Stanów". Amerykańska polityka faktycznie często tak wygląda. Ale nie da się sprowadzić całej powojennej amerykańskiej historii do tego obrazu. Tzn. da się, ale historyczna narracja zmienia się nam wtedy w noc, gdzie wszystkie krowy są czarne, gdzie nie ma różnicy między Realpolitik Kissingera a „prezydenturą praw człowieka" Cartera, między Managuą lat 80. a Warszawą tego samego okresu – gdzie Ameryka odgrywała jednak inną rolę, wspierając nasze wolnościowe dążenia.

Można zresztą odnieść wrażenie, że Chomsky wyjątkowo nie lubi i nie rozumie naszego regionu. Bardzo pouczająca pod tym względem jest jego mailowa korespondencja ze Stefanem Kubiakiem z lat 90., dostępna na stronie lingwisty. Chomsky zarzuca w niej środkowoeuropejskim dysydentom, że nie są w stanie oderwać się od osobistego doświadczenia i wykazać elementarnej solidarności wobec uciskanych przez Stany narodów. Tymczasem, jak przekonuje, polityka ZSRR wobec państw satelickich w naszym regionie nie była – z wyjątkami takimi jak interwencja na Węgrzech – bardziej krwawa i brutalna niż polityka USA wobec państw Ameryki Łacińskiej. Ma wielkie pretensje do Václava Havla, że w trakcie pierwszej wizyty w Stanach jako prezydent Czechosłowacji zamiast upomnieć się o dysydentów mordowanych przez dyktatorów wspieranych przez Waszyngton, podziękował Ameryce za wspieranie czeskich dążeń wolnościowych. Bylibyśmy przecież oburzeni, tłumaczy Chomsky, gdyby przed upadkiem ZSRR lewicowy przywódca latynoamerykański wygłosił podobną mowę dziękczynną przed Wielkim Sowietem. Kubiak próbuje mu w listach tłumaczyć, że rosyjski imperializm w regionie nie zaczyna się wraz z ZSRR, a Wielki Sowiet to nie to samo co amerykański Kongres. Chomsky jest trudnym i średnio uczciwym polemistą – przekonuje, że napisał coś innego, że o co innego mu chodziło, że przecież doskonale to wie – jakich argumentów by nie wysunąć, nie zmienia zdania.

W tym kontekście uwagi Chomsky'ego o Ukrainie tyleż smucą, co nie dziwią. Problem z Chomskym, którego są symptomem, nie zaczął się dziś.

© JAKUB MAJMUREK

Czereśnie, Ziemniaki i Piosenki

ANDRZEJ ZAGAJEWSKI, MUZYK:

Dzieci czują, kiedy gra sprawia ci przyjemność. Jeśli nie sprawia, to lepiej nie wychodź na scenę.

JAN BŁASZCZAK: Do swojego pierwszego zespołu zaprosił Cię brat, Artur – dziś uznany kompozytor muzyki współczesnej. On był siedemnastolatkiem, ty miałeś lat osiem.

ANDRZEJ ZAGAJEWSKI: Spędzał ze mną większość czasu, taka była sytuacja rodzinna. Jako nastolatek grał w punkowym zespole Praca Domowa, a ja zawsze byłem gdzieś obok. Trochę ich słuchałem, czytałem książeczki, bawiłem się autkami. Podczas jednej z imprez ktoś dla żartu rzucił, żebym z nimi pośpiewał.

Miałeś jakąś praktykę?

Może to dziwne, ale z bratem bawiliśmy się w zespoły. Artur grał jakieś kawałki, a ja śpiewałem wierszyki z elementarza Falskiego. Poszedłem więc na tę propozycję i tak powstał zespół Ziemniaki. Początkowo działał tylko na imprezach: chłopaki z różnych kapel coś grali, a ja śpiewałem Falskiego. Niespodziewanie zaczęły się z tego robić piosenki. A potem koncerty, bo graliśmy trochę w rodzinnym Tomaszowie Mazowieckim i okolicznych miastach.

Jaki charakter miały te występy?

Graliśmy z innymi punkowymi zespołami, po prostu. Z Aliansami, Dezerterem... Mieliśmy nawet menadżera i wydaliśmy kasetę. Nosiła tytuł „Wiosna" i miała dzieciaka na okładce.

Jak byłeś traktowany podczas punkrockowych koncertów?

Zawsze było miło. Szczególnie zapamiętałem koncert z Dezerterem, bo spotkałem wtedy swoich idoli. Ale nie odezwałem się przez cały wieczór, pod takim byłem wrażeniem. Inna sprawa, że nie zdawałem sobie sprawy ze wszystkiego, co się wokół działo. Niedawno dowiedziałem się, że w Bełchatowie po koncercie zrobiło się niebezpiecznie i musieliśmy uciekać przed kibolami. Mój brat mnie przed tym chronił. Jak tylko kończyliśmy koncert, odstawiał mnie do domu, bo przecież musiałem iść spać.

Jako ośmiolatek miałeś jakiś wpływ na życie zespołu?

Ktoś zadzwonił na nasz domowy numer, a ja akurat byłem sam. Odebrałem i słyszę: „Dzień dobry, czy dodzwoniłem się do zespołu Ziemniaki?". Dzwonił facet, który chciał zorganizować nasz koncert w Rokicinach. Powiedziałem, że przyjedziemy. Rzeczywiście pojechaliśmy, ale na miejscu okazało się, że źle zapamiętałem godzinę i dotarliśmy na miejsce o dwie za późno. No i nie zagraliśmy.

Zespół rozpadł się w 1999 r., kiedy brat wyjechał do Krakowa, by studiować na Akademii Muzycznej. A Ty wiedziałeś już, że to jest to?

Odkąd brat zaraził mnie muzyką, cały czas się nią zajmowałem. Kiedy rozpadły się Ziemniaki, przez lata nie miałem z kim grać. Wymyślałem więc piosenki na własną rękę: śpiewałem, nagrywałem kasety. To był mój podstawowy sposób spędzania czasu. Dopiero, kiedy poszedłem do liceum, poznałem chłopaków, którzy akurat chcieli grać metal. Grałem więc metal. Kiedy pojechałem do Krakowa, z jednym z nich założyliśmy Hańbę!. Zawsze chciałem grać – inna sprawa, że nie wiązałem z tym przyszłości zawodowej.

Czy to, że muzyka pochłonęła Cię w takim stopniu jako dziecko, miało wpływ na to, że po latach zacząłeś pisać muzykę dla dzieci?

Być może doświadczenie śpiewania wierszyków ułatwiło mi zadanie. Nie był to jednak bezpośredni impuls.

Co nim było?

Uczyłem rytmiki w przedszkolach i żłobkach. Bardzo pasowała mi taka robota. Wcześniej pracowałem jako DJ, co kolidowało z koncertami Hańby!. Szukałem więc czegoś, czym mógłbym się zajmować w tygodniu, najlepiej w ciągu dnia. Zrobiłem odpowiednie kursy i szybko okazało się, że praca z dziećmi nie tylko sprawia mi radość, ale one również pozy-

DARIUSZ BAREYA / MATERIAŁY PRASOWE ZESPOŁU

Andrzej Zagajewski podczas koncertu na festiwalu Wieś Pełna Kultury. Nowe Dąbie, 30 lipca 2022 r.

tywnie reagują na moje zajęcia. Dostawałem kolejne propozycje od przedszkoli. Jedynym problemem były piosenki, które dostawałem – często tragiczne.

Masz na myśli ich stronę muzyczną czy tekstową?

Przede wszystkim muzyczną, choć z tym sobie łatwiej radziłem, bo aranżowałem je po swojemu. Z tekstami miałem inne problemy. Po pierwsze nie dotykały tematów, które chciałem poruszać na zajęciach, a po drugie utrwalały stereotypy. Na Dzień Matki albo Dzień Ojca? Wiadomo, mama siedzi przy garach i gotuje, a tata bierze rower i jest... fajnie, bo nic innego nie potrafi zrobić. Bezskutecznie szukałem innej perspektywy. Zacząłem więc samemu wymyślać piosenki. Testowałem je w przedszkolach. Jeśli dzieci reagowały pozytywnie – powtarzały za mną, śpiewały refreny – wiedziałem, że jest dobrze.

W jaki sposób te przedszkolne piosenki zamieniły się w pełnoprawny repertuar zespołu?

Z pomocą przyszedł mi Kuba Lewicki z Hańby!, który jest bardzo zorganizowanym człowiekiem i trzyma nas w ryzach. Pokazałem mu moje piosenki, a on obiecał, że złoży mi zespół i nawet wymyślił mu nazwę: Czereśnie. Po kilku zmianach doszło do tego, że cały skład zespołu tworzą muzycy Hańby!. Pierwszy koncert zagraliśmy u mnie w żłobku.

Gracie od pięciu lat, wydajecie płyty, koncertujecie po całym kraju. Nie znam wielu zespołów grających dla dzieci, które działałyby z taką konsekwencją.

W muzyce dla dzieci są obecne dwa nurty. Albo mamy jednorazowe zrywy w stylu Małe Voo Voo, albo projekty warsztatowe przygotowywane przez muzyków prowadzących rytmikę – bardziej zajęcia muzyczne niż koncerty. My od początku stawialiśmy na budowanie poważnej relacji z odbiorcami. Dzieci uczą się, że można chodzić na koncerty, kupować płyty, chodzić w koszulce swojego ulubionego zespołu.

Nie jest łatwo, bo trzeba pisać muzykę, która nie jest ani zbyt infantylna, ani zbyt trudna. I, pomijając wszystko inne, dzieci czują, kiedy gra sprawia ci przyjemność. Jeśli nie sprawia, to lepiej nie wychodź na scenę.

Jak w myśleniu o koncertach Czereśni przydały Ci się doświadczenia zebrane w przedszkolach?

Wyniosłem stamtąd świadomość tego, jak ważny jest element interakcji: wspólnego śpiewania, gestów, tupania. Nie można wysyłać dzieciom sygnału: „teraz siedźcie, słuchajcie, a my będziemy wam opowiadać". Nie, w każdą piosenkę wchodzimy razem. Przy czym nie chcemy, żeby nasze utwory były zdominowane przez zabawę. Czasem odbijamy w drugą stronę: improwizujemy, przeciągamy końcówki utworów. I wtedy to już nie jest delikatne granie. Napierdzielamy.

Na co zwracasz uwagę, pisząc teksty Czereśni? Na ich klarowność? Na to, by unikać ironii czy złożonych metafor?

Te teksty przychodzą mi wyjątkowo łatwo. Może dlatego, że nawet kiedy piszę z myślą o dorosłych odbiorcach, też posługuję się bardzo prostym, dosadnym językiem. Nie umiem pisać metaforami.

Chyba nasiąknąłeś za młodu tym Dezerterem. Teksty Czereśni też są mocno zaangażowane. W jaki sposób wybierasz tematy, o których chcesz opowiadać dzieciom?

Jak wspomniałem, pierwszym impulsem były teksty, na które trafiałem w przedszkolu. Pod ich wpływem napisałem piosenkę o mamie i tacie, odwracając ich stereotypowe role. Przede wszystkim jednak zawsze chciałem wpływać na rzeczywistość. Swoją muzyką zmieniać świat na lepszy. Dorosłych już chyba nie przekonam, a Czereśnie wciąż dają mi na to szanse. Wierzę, że jeśli zakorzeni się w dzieciach pewne wartości – choćby dbanie o zieleń – to one w nich zostaną. Sam wychowałem się na Dezerterze i wers „beton jest zazdrosny o wszystko, co żywe" wbił mi się w pamięć na całe życie. Ich teksty zbudowały mój moralny trzon, według którego wciąż staram się żyć.

No właśnie. Jesienią ukaże się epka z piosenkami Czereśni do tekstów Marii Konopnickiej. Nie obawiałeś się, że to będzie zderzenie z mocno niedzisiejszą wizją świata?

Mieliśmy obawy. Zwłaszcza kiedy wzięliśmy do ręki śpiewnik Noskowskiego, a potem włączyliśmy nagrania śpiewane operowym głosem. Szybko uznaliśmy, że zrywamy z oryginałami. Sebastian, nasz nowy perkusista, jest z wykształcenia akordeonistą i bardzo mi pomógł, aranżując dwa pierwsze numery. Z jego pomocą zacząłem pisać piosenki jak w czasach Ziemniaków: mam czytankę, cztery zwrotki i lecę. Co do tekstów Konopnickiej, to ich wybór był rzeczywiście ciekawym zadaniem. Uświadamiającym, jak wiele się zmieniło. Trafiłem na przykład na fajny wierszyk o żuczku, który zamówił sobie płaszczyk. Szyją mu go chrabąszcze. Czytam, fajnie to idzie. I w ostatnim wersie żuczek daje im w prezencie po kieliszku wódki. Naprawdę, wódę musiał im dać?! No nie, przecież nie zaśpiewamy tego!

W kwietniu ukazał się album zespołu Piosenki, w którym po latach wracacie z bratem do repertuaru Ziemniaków. Jak to się stało, że znów spotkaliście się na scenie?

Katowicki NOSPR zaplanował cykl koncertów dla dzieci, którego głównym tematem byłaby rodzina. Szukali spokrewnionych ze sobą muzyków, którzy byliby związani z jednej strony z muzyką współczesną, a z drugiej ↦

↦ – z muzyką dla dzieci. Z Arturem idealnie wpisywaliśmy się w te założenia. Zastanawialiśmy się, czy iść w stronę muzyki współczesnej, czy zrobić formę warsztatów, ale żadna z tych opcji nas nie przekonywała. Pewnego dnia rzuciłem więc, że może wrócilibyśmy do Ziemniaków. Przecież to były teksty dla dzieci. Na początku Artur nie był do tego przekonany, bo odszedł daleko od muzyki rozrywkowej. Jednak, kiedy tylko zaczął aranżować te numery, okazało się, że bardzo mu się to podoba. Ponieważ po wielu latach komponowania muzyki współczesnej Artur wrócił do piosenkowej formuły, postanowiliśmy, że nazwiemy nasz nowy zespół Piosenki. Efekt spodobał się również w NOSPR, bo dostaliśmy zaproszenie na następny rok. Artur odkurzył już kolejne numery i jeśli się uda, to w przyszłym roku zrobimy drugą płytę.

Zostańmy jeszcze przy rodzinnych relacjach. Czy testujesz dziś swoje piosenki na Julku?

On w kółko słucha Czereśni. Czasem sam już nie daję rady tego słuchać. Ale tak, widzę, jak reaguje. Co na niego najlepiej działa. Kiedy piszę nowy numer Czereśni albo piosenkę na zlecenie wydawnictwa Bliżej Przedszkola, to po powrocie ze studia wołam go i słuchamy razem. Kiedy zaczyna nucić, skakać, to wiem, że jest dobrze.

W jakim wieku jest Twój syn?

Trzy lata, zaraz! Trzy i pół.

Wyobrażasz sobie, że za pięć lat zapraszasz go do zespołu?

Tak, to jest możliwe. Kiedy wracam do domu z trasy, nie zdążę się rozebrać, a Julek już przybiega z ukulele. Podsuwa mi bęben i mówi: „Tata, gramy koncert! Dawaj, »Sport to zdrowie«”! A ja myślę tylko: „Nie, nie, znowu to samo! Tylko nie to!”. I gramy.

© JAN BŁASZCZAK

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Zakopane – 100,0 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Andrychów – 98,8 FM
www.radiokrakow.pl

Kadr z filmu „Cicha ziemia”

Polacy, nic się nie stało

ANITA PIOTROWSKA

Bohaterowie „Cichej ziemi” zamierzają przeżyć swoje wielkie śródziemnomorskie wakacje. Film zdaje się mówić o cenie przynależności do pierwszego świata.

Chyba nigdzie polska klasa średnia, a przynajmniej ta lepiej sytuowana jej część, nie doświadcza takich egzystencjalnych katuszy, jak na wakacjach. Tak przynajmniej można by wnioskować z rodzimego kina fabularnego ostatnich lat. Bohaterowie „Holiday” Pawła Ferdka, „Fucking Bornholm” Anny Kazejak czy obecnej teraz na ekranach „Cichej ziemi” Agi Woszczyńskiej podczas wymarzonych urlopów w mniej lub bardziej zamorskich krainach przeżywają iście mordercze konfrontacje. Ze współmałżonkami, przyjaciółmi i tubylcami, z własnymi wyobrażeniami, uprzedzeniami i lękami, z odgrywanymi dotychczas rolami płciowymi i zwykłą przyzwoitością. W walizkach na kółkach i w trekkingowych plecakach przywożą ze sobą to wszystko, od czego najbardziej pragnęliby uciec (choć głównie od samych siebie), po czym wracają do domu z bagażem jeszcze cięższym. Wakacje mówią im bezlitosne „sprawdzam”.

A przecież miało być i mogło być tak pięknie. W debiucie Woszczyńskiej para młodych Polaków, Anna (Agnieszka Żulewska) i Adam (Dobromir Dymecki), wynajmuje komfortowy dom na Sardynii, zapewne długo i starannie wybierany. Osiem lat temu reżyserka nakręciła o nich krótkometrażówkę „Fragmenty”, w której dali się poznać jako świetnie prosperujący trzydziestolatkowie z dużego miasta. Prestiżowa praca, sterylny apartament, zdrowy styl życia, popisowy seks – obraz to, co prawda, trochę już zwietrzały, nadwerężony nowymi kryzysami ostatnich lat, ale dopełnieniem takiego pakietu musi być głęboka, wewnętrzna pustka. Kiedy więc w „Cichej ziemi” ci sami bohaterowie zamierzają przeżyć we dwoje swoje wielkie śródziemnomorskie wakacje, finał jest z grubsza przewidywalny: to nie może się udać. Wulgarny epitet z tytułu filmu Kazejak pasowałby jak ulał do słonecznej włoskiej wyspy.

Ciekawe, że Woszczyńska wraz ze współscenarzystą Piotrem Litwinem nie zadawala się samym psychologizowaniem czy zawężoną diagnozą społeczną, wszak polscy turyści są tutaj Europejczykami pełną gębą. Stać ich na wiele i wymagają wysokiego poziomu usług, a Sardynia chciałaby ugościć ich jak najlepiej. Płowowłosi i posągowi, nie przypadkiem fotografowani są niczym nordyccy bogowie, równie dobrze można by ich wziąć za Szwedów. Gdzieś w tle majaczą sylwetki tych, którzy posiadają

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

zupełnie inny fototyp skóry, zdecydowanie mniejsze sumy w kieszeni i docierają na wyspę mniej legalnymi drogami. Aczkolwiek o tym nie mówi się zbyt głośno – stąd być może tytuł filmu – żeby nie zepsuć wypoczynkowej sielanki i nie zakłócić ruchu w interesie. Rzeczywistość dopada jednak Annę i Adama już na samym początku urlopu i trudno stwierdzić, co bardziej narusza ich wakacyjny mir: zepsuta hydraulika w basenie, wizyta marokańskiego robotnika (Ibrahim Keshk) i jego muskularne ciało czy nieszczęśliwy wypadek, w którym młody Arab ginie. Najważniejsze, że po tym wszystkim wreszcie będzie można sobie popływać. Włoskie *dolce far niente* i polski święty spokój pozostają z początku prawie niezakłócone.

Reakcje bohaterów na śmierć Rahima przenoszą „Cichą ziemię" w znajome rejony. Kłania się oczywiście szwedzki „Turysta" Rubena Östlunda, bo i w filmie polskim pojawia się wątek męskiej winy / zaniechania / słabości w obliczu śmiertelnego zagrożenia, chociaż tu inaczej się on plącze i rozwidla. Cały incydent oplata podobna sieć przemilczeń, kłamstw oraz różnych wersji zdarzenia zarejestrowanych na różne sposoby oczami mężczyzny i kobiety. Przesłuchania na komisariacie czy towarzyskie rozmowy okazują się próbą wizerunkową. Nawet jeśli Adam nie złamał prawa, odmawiając pomocy imigrantowi, z pewnością zachował się nieetycznie i, wedle tradycyjnych standardów, niemęsko – mimo że Anna także była świadkiem wypadku i mogła zareagować. To istna woda na młyn dla kryzysu w związku ze słabo rozwiniętą komunikacją i niespełnionymi oczekiwaniami. A dla Polaków to raczej kiepska wiadomość. Gdy tylko doszlusowali do „starych" Europejczyków w dyscyplinie zwanej wypoczynkiem, natychmiast coś psuje im tę frajdę. Dla Woszczyńskiej zaś owa ucieczka od odpowiedzialności nabiera wymiaru silnie metaforycznego, przekracza bowiem ramy obyczajowe i wprowadza na agendę stosunek uprzywilejowanych do uchodźców. Oto znany ze swoich wartości kontynent kompromituje się na naszych oczach. Jego stary porządek się wali, słychać już złowrogie pomruki nowego, zaś po willi, kiedy jej goście smacznie śpią, krąży nerwowo bezpański pies.

Taka jest – zdaje się mówić „Cicha ziemia" – cena przynależności do „pierwszego świata". Jakkolwiek film zajmuje się niewielkim wycinkiem naszego społeczeństwa, za to ludźmi dość paskudnymi, najwyraźniej ma budzić zbiorowe europejskie sumienie. Lecz uniwersalizując losy naszych „lemingów", historia coś zyskuje i jednocześnie traci. Anna i Adam mówią językami, wyglądają i zachowują się światowo, w trattorii bratają się z lokalsami, nurkują pod okiem znanego z „Wielkiego błękitu" Jeana Marca-Barra (gra tu instruktora), dzięki czemu Woszczyńska wyrywa nas na chwilę z kręgu polskich niedostatków, obsesji i kompleksów. Film, kręcony wolno i elegancko, chłodnym okiem kamery Bartosza Świniarskiego, ma z pewnością „europejski" szlif i takąż problematykę (jest międzynarodową koprodukcją, otrzymał też niedawno nagrodę FIPRESCI na festiwalu w Salonikach). Jednakże opowiadając o aspiracjach polsko-europejskiej klasy średniej – sytej, znudzonej, politycznie zobojętniałej, humanitarnie wyjałowionej – nie wychodzi poza ogólniki, wzmacniane jeszcze przez powściągliwą grę aktorów. Aż chciałoby się zobaczyć w ich bohaterach coś specyficznie polskiego, oryginalnego, osobniczego, co wyziera mimochodem spod szlachetnych lnów i satyn. Definiują ich tymczasem skrywane instynkty, niewidzialne genderowe gorsety, konsumpcyjne nawyki i ogólna powierzchowność, czyli zjawiska, które za sprawą współczesnych tekstów kultury (Östlunda, Houellebecqa, Hanekego, Seidla...) mają już postać zgranych kart.

Padające z ekranu swojskie „Polacy, nic się nie stało" pozostaje bez rozwinięcia. Więcej dowiadujemy się o postępującej turystyfikacji, która niszczy specyfikę sardyńskiego miasteczka, o toksycznej męskości (chociaż tak zwana kobiecość wypada na ekranie tylko odrobinę korzystniej) czy o mechanizmach wypierania winy, które działają na zasadzie rykoszetu i sprawiają, że Anna i Adam powrócą do domu z trupem w walizce. Dlatego „Cicha ziemia", jako film o Polakach na wyjeździe, o ich europejskim awansie i związanych z tym dylematach moralnych, mówi nam mimochodem coś jeszcze – o cichych aspiracjach polskiego kina. ©

CICHA ZIEMIA – *reż. Aga Woszczyńska. Prod. Polska/Czechy/Włochy 2021. Dystryb. Gutek Film. W kinach.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Na pełnym gazie

Dokumentalny, reż. Miro Remo, Słowacja/ /Czechy 2021, DAFilms

Portret czeskiego nieudacznika w średnim wieku, który marzy o karierze rajdowca, to krzywe zwierciadło, w którym odbijają się ekonomiczno-społeczno-polityczne przemiany w naszej części Europy. Tragikomiczna opowieść o byłym górniku wiele mówi o tutejszych ideologiach, pragnieniach i frustracjach. Film dostępny tylko z napisami angielskimi.

2. Wilkołak

Horror, reż. Adrian Panek, Polska/ /Niemcy/Holandia 2019, VoD

Czy można opowiedzieć Holocaust, wykorzystując konwencje baśni lub kina grozy? Taką próbę, nie do końca jednak spełnioną, podjął twórca „Daas", miejscem akcji czyniąc ukryty w lesie sierociniec dla dzieci wyzwolonych z obozu Gross-Rosen. A koszmar wojny jeszcze się tu nie skończył, o czym świadczą grasujące wokół hitlerowskie wilczury.

3. Ridley Road

Miniserial, reż. Wielka Brytania 2022, odc. 1-4, CANAL+

Historia to prawdziwa, choć zarazem mało prawdopodobna i trochę na siłę uatrakcyjniona. Na początku lat 60., na fali rosnącego w Wielkiej Brytanii antysemityzmu, młoda Żydówka zaczyna infiltrować środowisko londyńskich rasistów. Efektem jest solidna produkcja BBC, zrealizowana i ku przestrodze, i dla rozrywki, do tego z wyśmienitą obsadą.

4. Jedenaste: znaj sąsiada swego

Komediodramat, reż. Daniel Brühl, Niemcy 2021

Aktor znany m.in. z „Good Bye Lenin!" debiutuje jako reżyser. I jednocześnie polemizuje ze swym gwiazdorskim wizerunkiem, obsadzając się w roli znanego aktora, który w jednej z knajpek berlińskiego Prenzlauerbergu zostaje rozliczony ze swej uprzywilejowanej pozycji. Plus przelotny rzut oka na współczesne Niemcy dwóch prędkości.

JAN

Klata:
Klin klinem

Sztuka rozwiązywania problemów, zanim się pojawią, jest obca naszemu nadodrzańskiemu zagrożonemu przedmurzu, jednakoż *nil desperandum*, sternicy ławy państwowej wszystkich szczebli mogą odetchnąć z ulgą. Sytuacja, co prawda, stała się nieco toksyczna, ale zapewne wkrótce sprawa przyschnie i po ptakach. Wszelako zanim Odra stanie się wodą letejską, jako propaństwowiec pozwolę sobie zaproponować konstruktywny wniosek na przyszłość.

Być może prę pod prąd, ale – ponieważ nurtuje mnie zagadnienie efektywności struktur państwowych – pozwolę sobie zaproponować miłościwie nam panującym włodarzom strategię „klin klinem". Skoro świeżo utworzony moloch Wód Polskich okazał się po prostu trzęsawiskiem miernoty, niewydolną przechowalnią partyjnych szwagrów i pociotów, skoro odrzańska katastrofa ujawniła drugie dno niekompetencji, niewydolności i strukturalnej kompromitacji naszego – pożal się Swarożyc – *deep state*... z lokalnego bagienka wypłyńmy na szersze wody, na suchego przestwór, po prostu. Powołajmy nową, równoległą strukturę od wód. CIA ma swoje FBI, bezcennie polska H_2O zasługuje na dwie konkurencyjne służby, niech się nawzajem obserwują, tropią, donoszą gdzie trzeba, ku chwale Ojczyzny i jej cieków. Niech zarzucają na siebie sieci, niech gromadzą dowody. Skoro monopol rozleniwił nawet tak rzutkiego rekina zarządzania jak złotousty prezes Daca, trzeba śmiało wpłynąć na całokształt i zdublować. Pieniądze się znajdą, pieniędzy jest w bród.

Nazwa instytucji jest oczywiście ważna, musi brzmieć dumnie, prestiżowo, no i mieć głębszy sens. Wody Narodowe! Mundury to mus, ale nie byle jakie. Proponuję, żeby skroił je Christian Paul. Hymn Wód *à la* Dvořák skomponuje oczywiście Jan Pietrzak do słów wieszcza Wencla. Reprezentacyjne falowce Wód Narodowych finezyjnie zaprojektuje Czesław Bielecki. Flota samochodowa nie jest bez znaczenia, przecież nie można ogłaszać przetargu na służbowe limuzyny niemieckiej – z przeproszeniem – proweniencji. Wody Narodowe powinny mieć pojazdów w bród, oczywiście jednak nie byle jakiej marki. Niech jeżdżą syrenkami. ©

PAWEŁ

Bravo: *Bańki i bąbelki*

Trzy, cztery dni – kluczowe podmioty różnych gałęzi przemysłu spożywczego miewają przeciętnie taki zapas dwutlenku węgla. Tyle więc czasu mają ich menedżerowie, by zatrzymać kaskadę poważnych kłopotów, jakie się zaczną, gdyby zaczęło go brakować. Tak, to ten sam „zły" gaz, którego i tak wytwarzamy w rozwiniętych gospodarczo państwach za dużo, jeden z czarnych charakterów naszej narracji okołoklimatycznej, chociaż związki chemiczne są moralnie obojętne – czasem szkodliwe, czasem potrzebne.

Bywają zatem okoliczności, gdy dwutlenku węgla może być za mało. Nie na planecie w ogóle, ale w określonych miejscach systemu produkcyjnego, w rurach, cysternach, butlach oraz w postaci brył suchego lodu – jego zastosowania przy produkcji żywności okazują się niezliczone. Gdyby obecne kłopoty z dostawą miały się skończyć tylko przejściowym brakiem wielu dóbr (przy bliższym oglądzie sposobu ich powstawania słowo „dobro" okazuje się zresztą niestosowne), byłaby to tania lekcja tego, do jakiego stopnia codzienność konsumpcyjna człowieka Zachodu jest przetkana siatką połączeń wszystkiego ze wszystkim. A raczej siecią, z której już się nie wyplączemy. Byłaby to też okazja odbyć ćwiczenia z podziwu dla jej zdolności adaptacyjnych.

Już rok temu w paru miejscach Europy duże firmy chemiczne po raz pierwszy ograniczyły albo czasowo wstrzymały produkcję nawozów azotowych. A co za tym idzie, także dostawy produktu ubocznego – dwutlenku węgla (to dotychczas najtańsze i najprostsze źródło tego gazu na dużą skalę). W sierpniu zeszłego roku brytyjski rząd dopłacił jednemu z koncernów azotowych do kosztów energii, żeby utrzymał przez kilka tygodni produkcję. Pal sześć nawozy – najważniejsze wówczas były dostawy dwutlenku węgla. Albowiem zmiany podaży i skoki cen nawozów to zawiła historia o wielu parametrach, nieekscytująca zwykłego konsumenta oswojonego z narzekaniem rolników na koszty wszystkiego. Ale żeby wyborcom zabrakło piwa w środku lata – o nie, tego musi uniknąć każdy rozsądny polityk.

Podobna zresztą dynamika procesu stopniowego rozumienia, że sytuacja robi się groźna, zachodzi również w tym roku. Wskutek wojny gaz dalej drożał i drożał ponad zeszłoroczne szalone skoki. Już od wczesnej wiosny uważny czytelnik gospodarczych stron gazet miał czas przyswoić sobie wiedzę, iż nawozów w ciągu paru miesięcy zabraknie. Pod koniec sierpnia dwaj najwięksi polscy producenci ogłosili prawie całkowite wstrzymanie dostaw. Wiadomość ta przenikałaby do szerszego obiegu powoli – nawet zakładając, że rolnicy nie nawieźliby pól pod ozime zasiewy, skutek tego w postaci mniejszych o połowę zbiorów zaczęlibyśmy rejestrować na wiosnę. Ale ponieważ rykoszetem oberwały inne branże, bliższe lodówki i spiżarni – odcięto im dostawę dwutlenku węgla – to wieść się rozeszła skutecznie. Otóż jeden z wielkich graczy piwnych zapowiedział, że liczy się ze wstrzymaniem produkcji. Zauważyły to wszystkie media i bańki społecznościowe – choć to akurat jeden z mniej istotnych gospodarczo aspektów sytuacji. Po pierwsze rynek piwa jest elastyczny i zalany towarem, poza tym wielu producentów umie częściowo odzyskiwać i magazynować dwutlenek węgla tworzony bez ustanku przez pracowite drożdże w czasie fermentacji.

Ale bez dostaw gazu w cysternach nie poradzi sobie na pewno branża mięsna, która nie ma jak i z czego odzyskiwać CO_2 (co innego metan). A jest on tam potrzebny do ogłuszania zwierząt przed ubojem – to jednak nieprzyjemny temat, raczej nie na główne strony portali. Na dalszych etapach też bez gazu ani rusz – gotowe kiełbaski, podobnie jak sery, owoce i rumiane wypieki, żeby wytrzymały długi czas na półkach, a potem nie zepsuły się w domu, są pakowane w tzw. atmosferze ochronnej, której dwutlenek węgla jest kluczowym składnikiem. Wszyscy zainteresowani biją na alarm i domagają się pomocy. Trzeba ich słuchać, ale sceptycznie, trochę w tym przesady, każda okazja, żeby dostać pomoc, jest dobra.

Będą natomiast w tej siatce zależności węzły, które na pewno pękną. W innych zaś kryzys przyspieszy innowacje – np. zastosowanie na masową skalę nanopowłok z pektyny i oleju z pestek grejpfruta, z powodzeniem dotąd testowanych w laboratoriach jako środek chroniący owoce przed psuciem. A że przy okazji liczne popularne napoje w wersji odgazowanej okażą się tym, czym są w istocie – niepijalnym paskudztwem? Tym lepiej. Będziemy pić wodę. A od święta – szampana. Jego bąbelki są całkowicie „naturalne", choć trudno sobie wyobrazić napój tak bardzo „kulturalny", daleki od jakkolwiek rozumianej natury. ©℗

WEALTHY LADY / ADOBE STOCK

Kłopot z nabyciem wody gazowanej odbije się w moim domu brakiem szprycera na aperitif, którym witam drugą połowę dnia. Ale jest gorsza luka – mocno gazowana lodowata woda jest ważnym składnikiem tempury, leciutkiego ciasta, którego nie wypada nazwać „panierką", bo to za ciężkie skojarzenie. Smażenie w głębokim tłuszczu bywa w domu trudne i uciążliwe, nawet kiedy posiadacie stosowne urządzenie (co zrobić z 3 litrami zużytego oleju?). Ale są drobne, cieniutkie przekąski, do których wystarczy niewielka ilość oleju tworząca centymetrową warstwę na małej patelni. Np. szałwia w tempurze. Można teraz, pod koniec lata, znaleźć rośliny o dużych, grubych liściach. Szykujemy tempurę: mieszamy dokładnie 100 g białej mąki z 1 żółtkiem i ok. 60 ml lodowatej wody. Bierzemy listki szałwii za szypułkę, maczamy w tak powstałym rzadkim cieście, przekładamy na patelnię. Smażymy po pół minuty z każdej strony, odsączamy na ręczniku kuchennym, solimy i zjadamy na ciepło.

WIKIMEDIA COMMONS

1

KĄPIEL W MIEJSCU ROZKOSZNYM

Choć o urlopach nie było wtedy mowy, przez średniowieczną sztukę przewija się istnie wakacyjny motyw: pływanie. I to na golasa.

MAGDALENA ŁANUSZKA

Czy w średniowieczu ludzie mieli wakacje? I tak, i nie. Rytm codzienności w cyklu rocznym wyglądał nieco inaczej niż dzisiaj, gdy lato kojarzy się z odpoczynkiem – i, rzecz jasna, nie było mowy o kilkutygodniowych urlopach w dzisiejszym znaczeniu tego słowa. Rolnicy i hodowcy nie mogli opuścić gospodarstwa na tak długi okres. Jednocześnie podróżowanie zajmowało więcej czasu: zarówno odwiedziny u rodziny, jak i dalekie pielgrzymki były wyprawami obliczonymi raczej na miesiące niż na tygodnie.

Z drugiej strony jednak, średniowieczny kalendarz pełen był świąt kościelnych, obchodzonych bardzo często poprzez kilkudniowe celebrowanie, oraz będących dniami wolnymi od pracy. A zatem w średniowieczu ludzie częściej odpoczywali i bawili się na przestrzeni całego roku, nie kumulując wypoczynku w formę jednego „urlopu" w konkretnym sezonie.

Pracowite lato

Każda pora roku miała własne święta. Jeżeli już mielibyśmy wskazać okres wypoczynkowy, byłaby to zima: czas siedzenia przy ogniu w długie wieczory, a zarazem moment wstrzymania większości prac rolniczych, zmniejszenia ruchu na traktach, rezygnacji z prac budowlanych.

Szkolnictwo działało w takim samym rytmie – bardzo często rok akademicki dzielony był na cztery części, które wyznaczały dni: św. Michała (29 września), Boże Narodzenie (25 grudnia), Zwiastowanie (25 marca) oraz św. Jana Chrzciciela (24 czerwca). Przy okazji największych świąt w roku uczniowie mieli wolne od kilku dni do dwóch tygodni. Wiemy także, że czasem w szkołach przerywano naukę w okresie letnim (między czerwcem a końcem września), ale nie po to, aby uczniowie odpoczęli, lecz aby mogli w rodzinnych domach pracować przy żniwach i zbiorach. Oto bowiem lato jawi nam się jako najbardziej pracowity okres średniowiecznego roku.

Cykl roczny w formie ilustracji dwunastu miesięcy był niezwykle popularnym motywem w sztuce średniowiecznej: pojawiał się w dekoracjach kościołów i zamków oraz oczywiście w kalendarzach, otwierających wiele modlitewników. Nie były to kalendarze na konkretny rok, lecz uniwersalne kalendarze liturgiczne: spisy świąt i wspomnień, stanowiące właśnie zestawienie dni wolnych w danej diecezji. W rękopisach zawierających kalendarze znajdziemy przedstawienia zwane „pracami miesięcy" – choć są to raczej aktywności niż prace. Ucztę ilustrującą styczeń, grzanie się przy ogniu w lutym czy też przechadzkę po ukwieconym ogrodzie w kwietniu trudno nazwać pracą. Niewątpliwie jednak przedstawienia czerwca, lipca, sierpnia i września to wytężony trud: sianokosy, żniwa, młócka i winobranie to aktywności, które bynajmniej nie były odpoczynkiem.

Przez średniowieczne kalendarze w tych letnich miesiącach przewija się jednak także pewien motyw, który zwykliśmy kojarzyć z relaksem. Chodzi mianowicie o pływanie – najczęściej w rzece. Niewątpliwie taka kąpiel służyła przede wszystkim ochłodzeniu w czasie letnich upałów. Jako kąpiących się ukazywano głównie mężczyzn lub chłopców – i pływali oni całkiem goli.

Paul, Herman i Jean Limbourg, miniatura ilustrująca sierpień w „Bardzo bogatych godzinkach księcia de Berry", przed 1416, Musée Condé w Chantilly, Ms. 65, fol. 8v

Odrobina relaksu

Bracia Paul, Herman i Jean Limbourg w latach 1412-1416 dekorowali dla Jeana de Valois słynny rękopis „Bardzo bogatych godzinek księcia de Berry" – nie dokończyli dzieła, jako że w 1416 r. zmarli i malarze, i fundator. Miniatura ilustrująca w tym rękopisie sierpień jest przez większość badaczy uważana za jedną z tych, które zdążyli jeszcze wykonać (potem kolejne dodali już inni artyści). Nie do końca powiela ona najpopularniejszy schemat ikonograficzny, który zakłada ilustrowanie sierpnia przedstawieniem młócki; tu na pierwszym planie mamy dworskie towarzystwo udające się na polowanie z sokołami, w tle zaś – wiązanie zboża w snopki, czyli ciąg dalszy lipcowych żniw.

Jednakże pracujący w pocie czoła chłopi także zażywają odrobiny relaksu: oto bowiem spora grupka, rozebrawszy się, pływa w rzece (il. 1). Dzięki temu nieco złagodzony został wyraźny kontrast między obiema ukazanymi w miniaturze grupami społecznymi – w większości przedstawień chłopi tylko pracują, a arystokracja miło spędza czas. To szczególny *casus* „Bardzo bogatych godzinek księcia de Berry"; luty został tam bowiem zilustrowany przedstawieniem dostatnio się prezentującego wiejskiego gospodarstwa, w którym chłopska rodzina siedzi wokół paleniska. Być może księciu szczególnie zależało na tym, by jego włości w tych „Godzinkach" prezentowały się jako idealne miejsce do życia, a jego poddani – jako ludzie szczęśliwi. A zatem chłopi kąpią się w czasie pracy w polu, nie kryjąc się przed okiem łaskawych państwa, którzy w tej samej miniaturze udają się na polowanie.

Nagie kąpiele w kalendarzach późnośredniowiecznych godzinek znajdziemy także w późniejszych rękopisach, np. w specyficznym kręgu malarstwa gandawsko-brugijskiego ostatniej ćwierci XV w. Wówczas modne tam były dekoracje iluzjonistyczne: marginesy rękopisów zdobiono bardzo realistycznie przedstawionymi gałązkami, owocami czy kwiatami; wrażenie ich trójwymiarowości artyści osiągali malując cień, który te rośliny rzekomo rzucają na kartę księgi. Tego typu dekoracje znajdziemy np. w tzw. „Godzinkach Huth" (il. 2) czy w „Godzinkach Emerson-White". Te dwa rękopisy zawierają bardzo zbliżone przedstawienia kąpiących się w rzece nagich chłopców; w pierwszym przypadku jest to medalion dekorujący w kalendarzu drugą kartę lipca (stąd znak zodiaku: Rak), a w drugim – sierpnia (ze znakiem Panny). To jednak są bez wątpienia dzieci, nie zaś dorośli mężczyźni cieszący się przerwą w pracy.

Szlachetni podglądacze

Czy przedstawienia te oznaczają, że dziewczęta latem nie kąpały się w rzece? Cóż, przyznać trzeba, że w średniowieczu nie było strojów kąpielowych. Kąpiące się kobiety – rzecz jasna, nagie – pojawiają się w średniowiecznej literaturze; wydaje się, że po prostu dziewczęta wybierały bardziej odosobnione miejsca do kąpieli: jeziorka lub źródełka. Oczywiście, gdy w jakimś ówczesnym poemacie rycerz trafia na kąpiące się panny, to zazwyczaj korzysta z okazji, żeby je podglądać. A może także ukraść ich ubranie – chociaż to nieco niegodne zachowanie.

↦

Dekoracja drugiej karty lipca w kalendarzu w „Godzinkach Huth", British Library, Add MS 38126, fol. 7r

W XIII w. niejaki Garin napisał prześmiewczy i rubaszny poemat, najczęściej znany pod tytułem „Le chevalier qui fist les cons parler". Dziś należałoby to przetłumaczyć używając wulgaryzmu, ale badacze średniowiecznego języka sugerują, iż francuskie *le con* oraz angielskie *cunt* nabrało charakteru wulgarnego dopiero z czasem, a wówczas było określeniem raczej neutralnym. Zatem być może ten tytuł można przełożyć jako „Rycerz, który sprawiał, że waginy mówiły".

Ów rycerz był bardzo biedny (ale szlachetny); miał jednak łebskiego giermka. Gdy więc pewnego razu zobaczyli trzy piękne młode damy, kąpiące się w źródełku, giermek zwęszył okazję zarobku i ukradł ich ubrania, bo były wartościowe. Rycerz jednak uznał, że to nieszlachetne, i postanowił zwrócić pannom odzienie. One doceniły jego uczciwość, a przy okazji okazało się, że są czarodziejkami. Dały mu w podzięce magiczne moce: po pierwsze, odtąd gdziekolwiek się rycerz zjawi, będzie przyjęty w gościnę (cenny był to dar dla wędrowca, którego często nie było stać na opłacenie noclegu). Po drugie, wszystkie kobiety, jakie spotka, chętnie mu się oddadzą. Po trzecie wreszcie – i tu się robi dziwnie – wagina każdej kobiety, na jego żądanie, zdradzi wszelkie tajemnice właścicielki. Nie wnikając w ciąg dalszy tej dość fantastycznej historii, dowiadujemy się z niej i tego, że wszystko zaczyna się od trzech dam, które w odosobnieniu zażywały kąpieli – oraz od mężczyzn, którzy je na tym przyłapali. I nie jest to jedyny przypadek, gdy pikantny poemat opowiada o kąpiącej się pannie, którą ktoś podgląda.

W 2019 r. w bibliotece opactwa benedyktynów w Melku (Austria) dr Christine Glaßner z Austriackiej Akademii Nauk odkryła nieznany dotychczas fragment rękopisu: wąski pasek pergaminu, wtórnie użyty w oprawie innej książki (il. 3). Udało się zidentyfikować fragmenty tekstu zapisanego na tym pasku jako pochodzące z poematu „Der Rosendorn". Pergamin pochodzi z rękopisu z przełomu XIII i XIV wieku, co przesunęło datowanie samego poematu o co najmniej 200 lat (wcześniej uważano, że powstał ok. 1500 r.). Jest to tekst satyryczny, posługujący się dość wulgarnym językiem. Narrator (mężczyzna) trafia na *locus amoenus*, gdzie z różanego krzewu wypływa woda różana. W tej wodzie kąpie się młoda dziewczyna, a w wyniku działania magicznego korzenia (którego najprawdopodobniej panna użyła do penetracji) jej wagina zaczyna przemawiać ludzkim głosem. Autor poematu pozostaje w ukryciu i jest świadkiem kłótni między kobietą a jej narządem płciowym. Gdy ogłoszono odkrycie fragmentu tego pergaminu w Melku, nagłówki w serwisach internetowych natychmiast porównały poemat do „Monologów waginy" Eve Ensler. Jak zwykle okazuje się, że wszystko już było w średniowieczu.

WIKIMEDIA COMMONS

Pasek pergaminu z fragmentem poematu „Der Rosendorn", ok. 1300, opactwo w Melku

Co rozumiemy pod określeniem *locus amoenus*, gdzie kąpała się dziewczyna? To tzw. „rozkoszne miejsce" – topos, który funkcjonował w literaturze od starożytności przez całe niemal średniowiecze. To stworzona przez naturę idealna przestrzeń w krajobrazie, w której przebywanie zapewniać miało poczucie szczęścia. Musiały tam być drzewa, krzewy, pachnące kwiaty, szemrzący strumyk i śpiewające ptaki. Takie właśnie miejsce postrzegane było jako najlepsze do relaksu.

Miłość w kąpieli

Strumyk w mitycznym „rozkosznym miejscu" często był po prostu źródłem, a źródło w średniowiecznej kulturze wizualnej zazwyczaj miało formę fontanny (wraz z kamienną i często rzeźbioną konstrukcją); i tak też ukazywano legendarne Źródło Młodości. Eurazjatycki mit o tymże źródle funkcjonował w większości kultur Europy, Bliskiego i Środkowego Wschodu. Choć w Biblii odnajdziemy odwołania do źródła życia, a koncepcja odrodzenia poprzez obmycie jest czytelna chociażby w sakramencie chrztu, to sam mit o magicznej sadzawce, w której kąpiel przywraca młodość,

Podwodna podróż Aleksandra Wielkiego, „Roman d'Alexandre en prose", 1333-ok. 1340, British Library, Royal MS 19 D I, fol. 37v

DOMENA PUBLICZNA X3

Źródło Młodości, malowidło w Castello della Manta koło Saluzzo w Piemoncie, między 1411 a 1416

zyskał popularność w europejskiej kulturze dopiero w czasach krucjat (a zarazem w okresie, kiedy rozkwitła zachodnioeuropejska literatura świecka). Jako główne źródło przywołuje się teksty należące do grupy „Romansu o Aleksandrze".

„Aleksandreida" to legendy, których bohaterem jest Aleksander Wielki. Właściwie były to różne redakcje zbioru legend, zakorzenionego w greckim tekście z III wieku, który na przestrzeni kolejnych stuleci doczekał się przekładów m.in. na koptyjski, arabski, ormiański, syryjski, perski, hebrajski, a także na większość średniowiecznych narodowych języków europejskich, dla których podstawą była wersja łacińska z X wieku. W XII stuleciu powstały poematy starofrancuskie, w tym najpopularniejszy „Roman d'Alexandre", do ostatecznej formy doprowadzony przez normandzkiego poetę Alexandra de Bernay (zm. 1190). Najbardziej fantastyczną (i przygodową) częścią tej opowieści jest wyprawa Aleksandra na Wschód, do Indii, gdzie nie tylko natknął się na Źródło Młodości, ale także m.in. na smoki. W ogóle zresztą w czasie swojej orientalnej wyprawy Aleksander Wielki miał wiele przygód, które moglibyśmy odnieść do naszych wakacyjnych doświadczeń: trafił mu się lot (w koszu, przywiązanym – wedle hellenistycznych legend – do lokalnych wielkich sępów, które uniosły go w powietrze), a nawet podróż prototypem łodzi podwodnej (szklaną beczką spuszczoną z łodzi, il. 4).

Wracając zaś do Źródła Młodości: w średniowiecznej kulturze dworskiej motyw ten pojawiał się w odniesieniu do miłości. Oto bowiem starcy, obmywając się w magicznej fontannie, nie tylko odzyskują młodość, ale też libido: odmłodzeni mężczyźni i kobiety byli przedstawiani jako kochankowie, obejmujący się i całujący. Fontanna Młodości mogła zdobić luksusowe przedmioty z kości słoniowej, szczególnie te należące do dam, zapewne często będące prezentami od mężczyzn: takie jak piękna oprawa lusterka, wykonana w Paryżu w latach 30. XIV wieku, dziś przechowywana w zbiorach Walters Art Museum (il. 5).

SUSAN TOBIN / DOMENA PUBLICZNA

Oprawa lusterka, Paryż, lata 30. XIV wieku, Walters Art Museum

Innym pięknym przykładem ilustracji tego mitu jest malowidło w zamku Castello della Manta koło Saluzzo w Piemoncie (wykonane między rokiem 1411 a 1416, il. 6). Na szczycie magicznej fontanny widnieje rzeźba Kupidyna; staruszkowie rozbierają się i wchodzą do wody, a odmłodniawszy, natychmiast rzucają się w wir miłosnych uniesień. Co ciekawe, kobiety wchodzą do wody całkiem nagie, lecz mężczyźni – w przeciwieństwie do przywołanych wcześniej przedstawień ze średniowiecznych kalendarzy – mają na sobie bieliznę. To dlatego, że majtki były w średniowieczu elementem garderoby męskiej; wówczas bowiem nie noszono spodni. Panowie okrywali nogi nogawicami (przypominającymi pończochy), podpinanymi do majtek, których forma na przestrzeni stuleci ewoluowała od luźnych, sięgających kolan gaci, po bieliznę, która bardziej przypomina współczesne damskie figi. We wspomnianych „pracach miesięcy" często zobaczymy, że dla ochłody przy żniwach czy sianokosach zarówno mężczyźni, jak i kobiety pracowali w polu z gołymi nogami; panie w sukniach, a panowie jedynie w koszulach i majtkach. Kiedy zaś przyszło się rozebrać do kąpieli, to tylko mężczyźni dysponowali elementem garderoby mogącym spełnić funkcję dzisiejszego stroju kąpielowego.

Jednak bardziej prawdopodobne, że w rzeczywistości wszyscy po prostu kąpali się nago. Tak jest wszakże najprzyjemniej, a w średniowieczu wiedzieli, co dobre.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

Autorka jest mediewistką, doktorem historii sztuki, stałą współpracowniczką „Tygodnika".

Słuchaj także autorskiego cyklu Magdaleny Łanuszki pt. „Sztuka powszechnie nieznana", co miesiąc w Podkaście Powszechnym: **tygodnikpowszechny.pl/sztuka-powszechnie-nieznana** oraz na platformach z podkastami (m.in. Spotify, Apple Podcasts, Google Podcasts).

STANISŁAW

Mancewicz: *Teraźniejszość i grawitacja*

Treść podręcznika szkolnego do przedmiotu o nazwie historia i teraźniejszość, autorstwa polityka PiS W. Roszkowskiego, jest dziś powodem szalonej, ideologicznej awantury. Zapewne nieco młodych ludzi będzie musiało w nadchodzącym roku szkolnym wkuć z niego na pamięć całe wersy, ale najpewniej większości kompletnie zwisa wszystko to, co p. Roszkowski myśli, i co napisał, i jest to tzw. większa większość. Nie ma autora, któremu byłoby to obojętne.

Rzec trzeba, że jak świat światem, tzn. jak Polska jest Polską, nasza dziarska młodzież nigdy nie przejmowała się nadmiernie treścią czy wymową podręczników, a już na pewno nie pałała namiętnością do podawanych jej w szkole ideologii. Dodać wypada, że szczęśliwie zawsze wszystkie wątki, smaki i klimaty ideologiczne sprzedawane w polskich podręcznikach były uderzająco mdłe, niesmaczne, niestrawne, napisane najczęściej cepem, czasem starym, a coraz częściej jakimś nowym cepa modelem. Akurat na takie łomoty młodzież jest dość wrażliwa i słyszy je znacznie lepiej niż rówieśnicy p. Roszkowskiego, jego mecenasi, intelektualni patroni i będący właśnie u władzy koledzy i koleżanki.

Gdyby ktoś miał ochotę poświęcić p. Roszkowskiemu więcej czasu, zdumiałby się. U schyłku komunizmu napisał on przecież książkę o historii Polski, która z powodzeniem zastępowała obowiązujące wtedy podręczniki szkolne, pisane *à la mode russe*. Dziś swą zawziętą prozą ustawia się p. Roszkowski na pozycji ryzykownej – za moment młodzież rzuci się na alternatywny, jak na jego kiedyś, podręcznik, a z p. Roszkowskiego, z jego twórczości i jego mecenasów, będzie się śmiała do rozpuku. Pytanie brzmi: czy autor, pisząc, pod powiekami widział – dajmy na to – zaczytaną młodzież polską pełną edukacyjnego zapału, czy raczej prezesa J. Kaczyńskiego z o. dyrektorem Rydzykiem, jak sobie jego utwór wertują, kiwając głowami z aprobatą? Odpowiedź wydaje się dziwna, ale i oczywista, bowiem książka ta jest przecież napisana na zamówienie, wcale nie młodzieży i *de facto* nie dla niej.

Rozgadaliśmy się. Nie mieliśmy w planach pisania akurat o tym podręczniku i tym autorze. Tak wyszło. Znacznie bardziej niż historia i teraźniejszość skomponowane przez ideologa i polityka interesuje nas przyszłość. Przyszłość podręczników polskich. To przeczucie ocierające się o pewność, że edukacja stoi w Polsce na progu fantastycznej i absolutnie szokującej zmiany. Komuś może się wydawać, że gorzej już było, że nic poważniejszego poza napisaniem na nowo historii naszego kraju zdarzyć się już nie może. Może. Cóż trudnego w wymazywaniu z dziejów nazwisk i wpisywaniu doń innych? Nic, wystarczy kilku humanistów z habilitacjami, parę złotych i dostaniemy to, co zamówimy. Z historią Polski jest jak z menu w niedrogiej restauracji. Ktoś bez smaku gotuje, prawie wszystkim to smakuje, rzadko kto choruje. Słowem, to nas nie dziwi, bo mieszkamy w kraju rządzonym od wielu lat przez fabularyzatorów historii.

Ale kołacze się nam w głowie podejrzenie, że humanistyka czy nauki społeczne to nie wszystko, że jednak świat usłyszy o naszej narodowej odmianie nauk ścisłych. To będzie sensacja. Niebawem. Tabliczka mnożenia na nowo, po polsku, oczywiście bez arabskich cyfr. Gdybyśmy mieli błogosławieństwo z powiatu albo z kuratorium, to byśmy już siedli do obmyślania Narodowego Spisu Cyfr Polskich. Oczywiście z przedmową o szkodliwości nauki Zachodu, można by ją zresztą przepisać z Roszkowskiego. Albo nowa biologia. Popatrzmy, łysenkizm już w Polsce braliśmy, był do tego klimat, podobny w swym antyzachodnim zapachu. Będą podręczniki do rolnictwa napisane w tym stylu? Imposybilizm to przeszłość, więc czekajmy. Największą chrapkę mamy jednak na fizykę, w fizyce chcielibyśmy się sprawdzić. Nasze fizyczne kompetencje są co najmniej takie, jak większości ludzi PiS u władzy, czyli wystarczające. „Grawitacja polska" to będzie hit – już dziś zastrzegamy sobie prawa autorskie do tego znakomitego tytułu. Tanio tej grawitacji nie oddamy. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 36/2022

Jesienny przewodnik po Krakowie

Wierzynek

— 1364 —

RESTAURACJA

NIE MA KRAKOWA BEZ WIERZYNKA

UNIKALNE WNĘTRZA

KUNSZT KULINARNY

NIEPOWTARZALNA ATMOSFERA

Choć od wydanej w 1364 roku przez Mikołaja Wierzynka słynnej uczty minęło blisko siedem wieków, to legenda gościnności Wierzynka trwa. Dziś Restauracja Wierzynek kultywuje tradycję wspólnej radości stołu i sprawia, że w iście królewski sposób może poczuć się każdy.

Współczesny Wierzynek to wykwintna kuchnia o pałacowym rodowodzie, powstająca na bazie najlepszych lokalnych składników, imponujące, stylowe wnętrza i królewska obsługa. Każda wizyta w Wierzynku to znacznie więcej niż posiłek, to przeżycie. Wszak są restauracje i jest Wierzynek. I tak od ponad 650 lat.

Rynek Główny 16, Kraków tel.: +48 12 424 96 00 e-mail: rezerwacja@wierzynek.com.pl www.wierzynek.pl

REKLAMA

BOGUSŁAW ŚWIERZOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE UMK

Szanowni Państwo!

Każda pora roku w Krakowie jest piękna i interesująca. Miasto przybiera nowe szaty i te same miejsca mogą być na nowo odkrywane. Jesień to jednak wyjątkowa pora, pełna kolorów i ludzi, którzy zaczynają studia.

Kraków kojarzy się najczęściej z ważnymi zabytkami związanymi z dziejami miasta i Polski: Wawel, Barbakan i Brama Floriańska, Rynek Główny z kościołem Mariackim i Sukiennicami, Collegium Maius UJ. Kraków to także liczne muzea z bogatymi, nierzadko mało znanymi zbiorami, teatry, galerie i kluby muzyczne. Mieszkańców i turystów przyciągają klimatyczne kawiarnie i restauracje. W Krakowie znajdą Państwo kuchnie z całego świata, a przede wszystkim nasze krakowskie przysmaki. Polecam parki i tereny zielone. Można w nich odpocząć, zrelaksować się i zadbać o kondycję fizyczną.

Rangę miasta wyznaczają też odbywające się tu kongresy i konferencje, spotkania biznesowe i polityczne oraz wydarzenia międzynarodowe na najwyższym szczeblu. Kraków jest wyjątkowy i dynamiczny, tu historia zaklęta w pięknych zabytkach łączy się z duchem nowoczesności, otwartością na innowacje, nowe technologie i nowe wyzwania.

Kraków to miasto gościnne – mam nadzieję, że zechcą Państwo doświadczyć tego osobiście. Serdecznie zapraszam!

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa

4 Rozmowa z Robertem Makłowiczem
KRAKAUER. KRAKOWIANIN, JEŚLI KTO WOLI

13 Katarzyna Domagała
PODGÓRZE MURALI

20 Martyna Nowicka
SKARBY KRAKOWA

7 Natalia Landek
JAK STUDIOWAĆ?

16 Agnieszka Nowak
ŁĄKA POWSZECHNA ZAKWITŁA W KRAKOWIE

24 **JESIENNA KULTURA W KRAKOWIE**

9 Rozmowa z Andrzejem Chwalbą
KRAKÓW W OKOWACH TWIERDZY

18 Aleksandra Wojtaszek
MOJE MIEJSCE

26 Anna Kosibowicz
MIASTO DLA DZIECI

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" NR 36/2022 | www.TygodnikPowszechny.pl
REDAKCJA: Michał Sowiński | OPIEKA WYDAWNICZA: Maja Kuczmińska, Anna Pietrzykowska
PROJ. GRAF. Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Jacek Taran | OKŁADKA, SKŁAD: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / DoLasu | KOREKTA: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk

PARTNER WYDANIA
Kraków

WACŁAW KLAG / REPORTER

Rynek Główny, Kraków, 2008 r.

Krakauer. Krakowianin, jeśli kto woli

ROBERT MAKŁOWICZ, KRYTYK KULINARNY:

Kraków długo był piękną, ale rozsypującą się metropolią, niezmiennie jednak dumną ze swoich tradycji. To już dawno nieaktualne. Teraz to nowoczesna, dynamiczna aglomeracja.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Istnieje piękniejsze miasto niż Kraków, żeby spędzić w nim jesień?

ROBERT MAKŁOWICZ: Nie. To w ogóle moja ulubiona pora roku, a w Krakowie odczuwa się ją ze szczególną intensywnością. Kraków zachował do dziś młodopolski pierwiastek dekadenckiego rozpadu, a jesień wydobywa to w całej krasie. Bo cóż może być piękniejszego niż wieczorny spacer Plantami, ze snującą się mgłą, wśród butwiejących liści, z przytłumionym światłem latarni, już co prawda nie gazowych, ale wciąż wyglądających archaicznie... Ale najważniejszy jest zapach – nic tak nie pachnie jak jesień w Krakowie.

Czym pachnie krakowska jesień?

Trudno opisać, bo ten zapach ma wiele części składowych – wspomniane liście, ale i zmurszałe mury, wilgoć na bruku... Powiedziałbym, że to zapach krańcowości, ale jeszcze nie ostateczności, tylko czegoś blisko z nią sąsiadującego. Nieprzypadkowo Kraków słynie z tego, że swoich wybitnych synów i córki żegna pogrzebami, jakich trudno uświadczyć gdziekolwiek indziej. Nawet jeżeli nie zawsze potrafił w pełni docenić ich za życia. A ten funeralny splendor nie byłby możliwy, gdyby nie właśnie wszechobecna jesień, którą da się tu dostrzec o każdej porze roku.

Czyli warto.

Żałuję, że w czasach, gdy byłem młody, nie było odtwarzaczy MP3 albo chociaż walkmanów, bo spacer późnym jesiennym wieczorem bulwarami wiślanymi,

z rozbrzmiewającym w uszach „Kindertotenlieder" Gustava Mahlera, to doświadczenie absolutnie genialne.

Czuje się Pan ambasadorem Krakowa?

Urodziłem się w Krakowie i cały czas w nim mieszkam, oficjalnie jednak nigdy żadnych funkcji ambasadorskich nie pełniłem. Niemniej oczywiście czuję się krakusem, chociaż może to nie najlepsze określenie, bo nie występuję w żadnych strojach ludowych. Chyba wolę krakauer, krakowianin, jeśli kto woli. Tak, znam to miasto dość dobrze, w końcu spędziłem w nim już 58 lat.

Niektórzy złośliwcy twierdzą, że nic się tu u nas nie zmienia.

To nieprawda. Za mojego życia Kraków zmienił się niezwykle. W liceum, gdy uczyli nas geografii, Kraków był ledwie na czwartym miejscu, jeśli chodzi o duże miasta w Polsce. Teraz jesteśmy drudzy. Długo był piękną, ale rozsypującą się metropolią, niezmiennie jednak dumną ze swoich tradycji.

W połowie XIX wieku mówiło się wręcz, że to grobowiec – być może piękny, ale pięknem właściwym ruinom.

Nie trzeba sięgać tak daleko w przeszłość. Pan może nie pamięta kwaśnych deszczy, które zmywały złoto z kopuły Kaplicy Zygmuntowskiej. Złośliwcy, o których pan wspomniał, mieli niegdyś sporo racji, bo dawno temu Kraków był zatęchłą dziurą – i wszystko, co ważne, rozgrywało się właśnie w najróżniejszych dziurach, *vide* Piwnica pod Baranami. Zapach pleśni był wszechobecny. Tak, Kraków w PRL-u długo odcinał kupony od swojej wspaniałej przeszłości. Komunistyczne władze nie potrafiły nim zarządzać, czego najlepszym dowodem jest to, że długo korzystały z planów zagospodarowania przestrzeni, które w swoim idiotyzmie stworzył Hans Frank.

Życie przeszłością?

Co samo w sobie nie jest złe, ale nawet to słynne życie kabaretowe, nawet gdy się dopiero rodziło, było swoiście archaiczne w formie.

To się zmieniło.

Oczywiście. Kiedyś Miłosz pisał, że Kraków jest jak „jajko złożone w sitowiu". To już dawno nieaktualne. Teraz to nowoczesna, dynamiczna aglomeracja.

Jednak droga do niej wiodła przez kręte i ciasne uliczki...

Kiedy byłem w wieku szkolnym, śmietanka towarzyska tego miasta zbierała się w kawiarni Noworolskiego. Notabene, to miejsce, w którym zamontowano pierwszy na ziemiach polskich ciśnieniowy ekspres do kawy, bodajże w 1905 roku, czyli wcześniej niż we Lwowie nawet. Była to maszyna włoskiego typu, przywędrowała do nas z Triestu. Siedziały tam panie godnie odziane, panowie w garniturach i kamizelkach, a wszyscy zwracali się do siebie per „panie radco", „panie mecenasie", „pani hrabino" itd. A obok nich chłoporobotnicy. W swojej istocie było to bez wątpienia miasto, jak byśmy teraz powiedzieli, „dziaderskie". A dziś? To jeden z najważniejszych adresów polskiej branży IT, co przyciąga wielu młodych ludzi z całego świata, którzy patrzą na to wszystko już zupełnie inaczej.

> W Krakowie wypada się spóźniać. Zawsze boleśnie to odczuwam, gdy jestem gościem jakiejś imprezy, dajmy na to, w Poznaniu. A tutaj 15 minut spóźnienia to absolutne i nienegocjowalne minimum.

Czyli zmiana na lepsze?

Skoro jest nowocześniej, to zapewne można powiedzieć, że lepiej. Ja się urodziłem i wiele lat jako chłopiec mieszkałem w kamienicy projektu Adolfa Szyszko-Bohusza przy ulicy Dietla 86, która wrzyna się w Wielopole. Wcześniej był tam bank, obecnie jest wypatroszona. Ktoś ją kupił, ale nie wiadomo, jakie będą jej dalsze losy. Budynek pochodzi z 1923 roku, zachowane były tam oryginalne windy, podobnie klatka schodowa. Na naszych drzwiach przyczepiona była przedwojenna tabliczka sygnowana przez Caritas z napisem: „Dowód ofiarności zwalniający od jałmużny". Takie były przedwojenne praktyki, aby zniechęcać żebraków do dzwonienia do mieszkania. Opowiadam o tym wszystkim, żeby pokazać, jak wyglądał ten stary, mieszczański Kraków, który w PRL-u trwał sobie w najlepsze. Do pewnego stopnia w swoim jądrze on dalej taki jest, ale dziś skurczył się do ledwie skromnego procenta populacji.

Jedni powiedzą: staroświecki sznyt. Inni: zadufany elitaryzm.

Są miasta w Polsce, na przykład Wrocław, gdzie każdy jest skądś, przez co nie ma tej starożytnej tkanki ludzi tutejszych, silnie związanych z miejscem i jego tożsamością. Taka sytuacja ma oczywiście swoje plusy i minusy. W Warszawie, choć po II wojnie zostało niewielu mieszkańców z dziada pradziada, wykształciło się pojęcie „słoika", czyli pejoratywne określenie na przyjezdnego.

W Krakowie mniej się słyszy to słowo.

Rzeczywiście, aczkolwiek przetrwało – dziś już marginalne, ale jednak – środowisko krakowskich salonów, gdzie bez odpowiedniego rodowodu trudno się dostać. Znów, pamiętam to przede wszystkim z dzieciństwa, gdy dziadkowie albo rodzice większości moich znajomych się znali. Oczywiście ten hermetyczny krąg legitymizuje swoją krakowskość prawem kaduka, bo przecież prawdziwym krakowianinem jest ten, kto się za krakowianina uważa – kto kocha swoje miasto, czuje się z nim związany. Podobnie jak z narodowością – żadna inna definicja nie ma mocy wiążącej. Jeżeli ktoś czuje się Polakiem, Ślązakiem czy krakusem, to nim jest. Kropka. Ciekawe, że kiedyś miasta przyznawały obywatelstwo. Jeśli przejdzie się po cmentarzu Rakowickim, to na niektórych nagrobkach można przeczytać, obok innych tytułów, „Obywatel Miasta Krakowa". Kraków był przecież przez chwilę stworzonym przez zaborców osobnym bytem państwowym. Ale to już zamierzchła przeszłość.

Jest w Panu nostalgia za tamtym Krakowem piwnicznym, lekko zatęchłym, choćby za Kazimierzem z lat 90.?

Nie, w najmniejszym stopniu nie. I tak naprawdę to nie sądzę, żeby ktoś ją w sobie miał. Ta nostalgia, o ile w ogóle można tak to nazwać, to raczej tęsknota za młodością ludzi z mojego pokolenia, ewentualnie nieco starszych. Niektórzy mówią, że wspaniały był fiat 126p. Nie wiem, czy miał pan okazję prowadzić ten gierkowski cud techniki, ale zaręczam, że z pewnością nie był on wspaniały. Był wręcz okropny – ciasny, toporny ↦

↦ i w każdym innym aspekcie fatalny. Niemniej ludziom, dla których było to pierwsze auto w życiu, kojarzyć się może z pierwszym seksem albo pierwszą jazdą powyżej 100 km/h. I ja to rozumiem, nie można jednak popadać w niedorzeczność i bronić jego obiektywnej wartości.

Są jednak w Krakowie miejsca, które się nie zmieniają i jest to dobre. Na przykład knajpy takie jak Piękny Pies.

Piękny Pies trwa w swojej formie, mimo że cztery razy zmieniał adres. I faktycznie jest to dobre. Jednak nie sięga pan szczególnie daleko w przeszłość. Życie knajpiane w Krakowie ma długą tradycję. Jeśli poczytać młodopolskie memuary, to można dojść do wniosku, że już wtedy elity intelektualne tego miasta zajmowały się głównie piciem i rozprawianiem o niesamowitości oraz przełomowości dzieła sztuki, nad którym perorujący aktualnie pracował.

Tu faktycznie niewiele się zmieniło.

To są urocze elementy krakowskiego światka, które powinny trwać, bo to one decydują o wyjątkowym *genius loci* tego miasta. W Krakowie na przykład wypada się spóźniać. Zawsze boleśnie to odczuwam, gdy jestem gościem jakiejś imprezy, dajmy na to, w Poznaniu, gdzie już pięć minut przed czasem wszyscy są gotowi i czekają na sygnał. A w Krakowie 15 minut spóźnienia to absolutne i nienegocjowalne minimum.

Bywa Pan na Rynku?

Mieszkam poza obrębem Plant, ale 10 minut spacerem od Sukiennic, niemniej bywam w tej okolicy rzadko, bo nie przepadam za turystycznym tłokiem. Kraków, zresztą tak samo jak podobne mu miasta w tej części Europy, musi odpowiedzieć sobie na pytanie, o jakiego turystę chce zabiegać. Rok przed pandemią odwiedziło Kraków około 12 milionów ludzi, czyli osiągnęliśmy liczby zbliżone do Barcelony czy Pragi. Taki sukces niestety bywa zgubny. Zamiast ogólnej reklamy, powinniśmy zabiegać, aby więcej osób chciało odwiedzić Kraków z powodu ołtarza Wita Stwosza czy wawelskiej rotundy świętych Feliksa i Adaukta. Albo żeby zobaczyć zlokalizowane przy ulicy Grodzkiej jedyne w tej części Europy romańskie triforium. Czasy wojny w Ukrainie i liczne postpandemiczne kryzysy to okazja dla Krakowa, aby nauczył się bardziej chwalić tym, co ma najcenniejszego. A jest tego sporo.

Kończy się epoka tanich lotów...

W pewnym momencie na zachodzie Europy pojawiały się reklamy, że do Krakowa można tanio dolecieć, a na miejscu tanio się upić. Na szczęście udało się zawrócić z tej samobójczej ścieżki.

Ulubiona dzielnica?

Na spacer chodzę na Podgórze. Nie trzeba być wielkim specjalistą od urbanistyki, żeby docenić olbrzymią rolę kładki Bernatka oddanej do użytku w 2010 roku. Ten most dla pieszych i rowerzystów, łączący Kazimierz z Podgórzem, dał obu dzielnicom nowe życie.

Co szczególnie lubi Pan w Podgórzu?

To wspaniałe miasto, przyłączone do Krakowa dopiero w 1915 roku, do dziś zachowało swój XIX-wieczny charakter. Przepiękne kamienice, park Bednarskiego, stadion Korony – można by długo wymieniać. Dzięki kładce wiele osób w końcu dostrzegło niezwykłość Podgórza. Lepiej późno niż wcale. A potencjał jest wciąż olbrzymi. Co więcej, patrząc na dotychczasowy rozwój tej dzielnicy, nie lękam się nadmiernej komercjalizacji.

A kulinaria? Czy Kraków może się pochwalić tradycyjnymi daniami?

Z tradycyjną kuchnią jest podobny problem w całej Polsce. To, co rozumiemy dziś pod tym pojęciem, odnosi się zazwyczaj do XIX-wiecznych tradycji, a te kształtowały się zupełnie inaczej w każdym z zaborów. Dlatego mówienie o typowej polskiej kuchni trochę nie ma sensu. Do tego w PRL-u nastąpiło wyraźne ujednolicenie gastronomiczne pomiędzy różnymi regionami, a to przede wszystkim za sprawą intensywnych przemian społecznych. Ludzie, których przodkowie jedli mięso kilka razy do roku, nagle uzyskali do niego stosunkowo szeroki dostęp, bo nawet w podłych stołówkach podawano je 2-3 razy w tygodniu. Zapewne stąd wzięła się zawrotna kariera kotleta schabowego, powszechnie uznawanego za narodowe polskie danie. Co oczywiście jest nieprawdą. Jednak ten nawis ciąży nad nami do dziś – dania, które można spotkać wszędzie, to z dużą dozą prawdopodobieństwa pozostałość po owej unifikacji czasów PRL-u.

Coraz częściej wracamy jednak do kuchni regionalnej.

Bo też każda kuchnia narodowa w Europie, tak jak ją rozumiemy dziś, jest zbiorem dań regionalnych. A jednocześnie te podzbiory nie zawsze pokrywają się z dzisiejszymi granicami państw. Bo czym się różni tradycyjna kuchnia Śląska Cieszyńskiego na jednym i drugim brzegu Olzy? No niczym.

A Kraków?

Tym, co go odróżnia, jest wysunięte na południe położenie. Bliskość wyrazistej i oryginalnej kuchni węgierskiej w XIX wieku odcisnęła swoje piętno na całym regionie. Dobrze to widać na Podhalu z jego gulaszami i paprykarzami. W krakowskich kawiarniach i cukierniach z kolei do dziś unosi się duch austriacki – dominują strudle czy piszingery, których nazwa pochodzi od wiedeńskiego cukiernika Oskara Pischingera. Rzecz praktycznie nieznana w Warszawie. Jest też maczanka po krakowsku, czyli karkówka duszona w sosie z cebuli i podawana w bułce. Stare danie, które na długo zniknęło z restauracji, teraz wróciło do łask. Maczanka była niegdyś zwana daniem dorożkarskim, bo szczególnie gustowali w niej właśnie krakowscy fiakrzy. Dziś można ją dostać choćby w restauracji Pod Baranem, gdzie zresztą często zachodzę, gdy chcę komuś pokazać tradycyjną, tylko w niewielkim stopniu przefiltrowaną przez nowoczesność kuchnię galicyjską.

Czyli mamy swoje miejsce na kulinarnej mapie Europy?

Nie byliśmy nigdy Lyonem, ale mamy sporo rzeczy ciekawych. Jest choćby kiełbasa lisiecka i tuchowska, jagnięcina podawana na różne sposoby, sporo ciekawych serów. Oprócz tego śliwowica łącka, fasola piękny jaś z doliny Dunajca, obwarzanki. To wystarczająco dużo, żeby, o ile podejdzie się do tego z głową, budować wyrazistą tożsamość kulinarną.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

ROBERT MAKŁOWICZ jest krytykiem kulinarnym, dziennikarzem, podróżnikiem. Autor takich książek, jak „Café Museum" (2010) czy „Dalmacja. Książka kucharska" (2016) i popularnych programów telewizyjnych, m.in. „Podróże kulinarne Roberta Makłowicza" czy „Makłowicz w drodze". Obecnie prowadzi autorski kanał na YouTubie subskrybowany przez pół miliona widzów.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Korowód przebierańców podczas juwenaliów. Kraków, 20 maja 2022 r.

Jak studiować?

NATALIA LANDEK

Jesień to czas edukacyjnych powrotów. We wrześniu uczniowie wracają do szkół, a miesiąc później mury uczelni zapełniają się studentami. Kraków to wciąż jeden z najpopularniejszych kierunków wśród absolwentów szkół średnich w Polsce.

Urząd Statystyczny donosi, że w roku akademickim 2020/2021 na krakowskich uczelniach studiowało 130 tysięcy osób. Wśród dziesięciu publicznych szkół wyższych w Krakowie można znaleźć m.in.: Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Pedagogiczny, Akademię Górniczo-Hutniczą, Politechnikę Krakowską oraz Akademię Sztuk Pięknych. Najbardziej oblegane kierunki studiów to teraz informatyka, psychologia, zarządzanie oraz prawo.

A co można powiedzieć o samych studentach? Jak dziś wpasowują się w stare stereotypy o imprezowym i pełnym fantazji życiu? W ostatnich latach i dekadach wiele się zmieniło. Dziś studia to przede wszystkim możliwości rozwoju (no ale, umówmy się, nie tylko). Kraków nakręca studentów do działania, a oni w zamian dają miastu świeżą energię. Młodzi ludzie wykorzystują czas studiów najlepiej, jak potrafią. Ale niech opowiedzą o tym sami. Oto krótkie historie Dariusza, Darii, Marcela oraz Julii.

Dariusz

W Krakowie mieszkam od dwóch semestrów, studiuję mechanikę i budowę maszyn na Akademii Górniczo-Hutniczej. Wynajmuję mieszkanie w dzielnicy Prądnik Biały, to typowy lokal w popularnym standardzie IKEA.

Duży plus Krakowa to dobra infrastruktura rowerowa. Święte krowy? Dla mnie święte krowy to ci, którzy nadużywają przywileju posiadania samochodu. Przez pierwszy miesiąc kombinowałem, jak najszybciej dojechać na uczelnię. ↦

↦ Tak naprawdę nie miałem jeszcze okazji, żeby pozwiedzać Kraków, teraz stwarzam tylko pozory zorientowanego. Park Krowoderski to świetne miejsce na spacery. Na Wawelu byłem może raz. Nie zwiedzam obiektów typowo turystycznych. Zakrzówek – to tam, gdzie robi się zdjęcia na Instagram? Nie ciągnie mnie.

Może zabrzmię sztampowo, ale życie na Miasteczku Studenckim AGH po godzinie dwudziestej drugiej to osobny fenomen kulturowy. Tak naprawdę wszyscy jesteśmy w takiej samej sytuacji i staramy się robić pierwsze samodzielne kroki w dorosłość. Myślę, że integracja w ramach mieszkania w akademiku czy wychodzenia na imprezy tworzy poczucie wspólnoty w obrębie uczelni.

Jedynym problemem, jaki dostrzegałem mieszkając w Krakowie – i jest to komentarz osoby, która mieszka przy kopalni na Śląsku – jest fakt, że okna bardzo szybko stają się brudne.

> W Warszawie się biega, a w Krakowie się chodzi. Tu ludzie potrafią się zatrzymać, znaleźć moment na oddech.

Mam kilka sposobów na nudę w Krakowie. Staram się wykorzystywać czas, który tu spędzam. Mówiąc słowami znanej wokalistki, swoją drogą najjaśniejszej gwiazdy tegorocznych Juwenaliów, „wsiąść do pociągu byle jakiego". Więc wsiadam do losowego tramwaju i jadę, jak najdalej się da, byle przed siebie. W ten sposób zwiedzam odległe dzielnice i unikam tłumów.

Daria

Studiuję dziennikarstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pochodzę ze Słupska, a do Krakowa przywiała mnie morska bryza. Do domu wracam rzadko, bo to dziesięć godzin w pociągu i na samą myśl o tym robi mi się słabo. To jedyne, czego mi tak naprawdę brakuje – rodzinna okolica. Ale teraz Kraków staje się dla mnie drugim domem.

Pierwszy raz odwiedziłam miasto jako piętnastolatka. Było to dla mnie egzotyczne miejsce, rodzice nie są wielkimi fanami zwiedzania Polski. Później wszystkim mówiłam: „Na pewno pójdę na Uniwersytet Jagielloński". Z niewielką przerwą na epizod warszawski (studiowałam tam przez rok) udało się spełnić to marzenie. W Warszawie się biega, a w Krakowie się chodzi – tu ludzie potrafią się zatrzymać, znaleźć moment na oddech.

Kluczem do czucia się dobrze w danym miejscu jest poznanie go od podszewki. Mnie pomogło znalezienie ulubionego warzywniaka. Oswajam się z tym, że duże miasto składa się z małych rzeczy. Zalatuję trochę Paulem Coehlo, ale czasami trzeba sobie powiedzieć takie banały. Gdzie szukać piękna? Wystarczy się rozejrzeć. Z Rynku skierować się w dowolną uliczkę i zagłębić w nieznane. Graffiti to też charakterystyczna cecha Krakowa – starcie zabytkowości z nowoczesnością. W oczy kłują mnie tylko wulgaryzmy. Manifestowanie ważnych spraw poprzez sztukę, szczególnie uliczną, uważam za istotny element przestrzeni. Nie da się wiecznie zamalowywać słów na murach.

Odkąd tu mieszkam, nie poruszam się po ścisłym centrum. Przez Rynek co najwyżej przechodzę. Gęstość turystów na metr kwadratowy osiąga w Krakowie kuriozalne wartości. To ciekawe zjawisko – w Warszawie wszystko jest porozrzucane, a w Krakowie stłoczone na znacznie mniejszej przestrzeni.

Marcel

Można powiedzieć, że urodziłem się w Krakowie – mój dom rodzinny jest jakieś 20 minut samochodem stąd. Spędziłem tu całe życie. Studiuję grafikę na Akademii Sztuk Pięknych. Prawdziwego studenckiego życia w akademikach doświadczyłem za granicą, u znajomej, i w zupełności mi to wystarczyło. Później zdecydowałem się na wynajem mieszkania.

Na przestrzeni lat trochę się pozmieniało. Czuję się zupełnie inaczej, odkąd mieszkam w centrum i w każdym momencie mogę wyjść z kamienicy, żeby za chwilę znaleźć się na Rynku. W czasie wolnym chodzę do kina, zwiedzam galerie i wystawy sztuki. Przed pandemią większość czasu spędzałem w kawiarniach, teraz powoli wracam do tego nawyku. Jednym z moich ulubionych miejsc w Krakowie jest klub Betel na placu Szczepańskim.

Jak kot chodzę swoimi ścieżkami. Jeśli jest piątek wieczorem, to wiem, jakich miejsc unikać. Mam już opracowane strategie na turystów. Chętnie odwiedzam popularne lokale, ale kojarzę je raczej z urywaniem się z zajęć i pierwszym piwkiem o dwunastej niż z wieczornymi tłumami. W tym mieście trudno się nudzić. Wystarczy znaleźć miejsce, którego się nie zna. Pójść na plac Nowy, skręcić w bramę, w którą się nigdy nie wchodziło, i nagle odkryć jakąś wystawę. Można też spojrzeć z innej perspektywy na coś, co już się zna. Nie pić w Alchemii piwa, ale wybrać się tam na koncert.

Julia

Kiedy myślę o Krakowie, w głowie powstaje obraz mojej dorosłości. Przeprowadzka pozwoliła na podjęcie pierwszych samodzielnych kroków i rozwój, dlatego wykorzystuję swoje możliwości do maksimum i studiuję dwa kierunki. Technologię roślin leczniczych i prozdrowotnych na Uniwersytecie Rolniczym oraz dziennikarstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Na drugi kierunek padło, kiedy poczułam, że jeszcze nie jestem całkowicie spełniona.

Swoje ambicje realizuję też w ramach działalności w samorządzie studenckim, jestem przewodniczącą mojego wydziału na Uniwersytecie Rolniczym. W ten sposób poznałam wiele ciekawych osób, a na dodatek sama zyskałam na współpracy z różnymi organizacjami. Jestem szczególnie dumna z akcji zorganizowanej z Zarządem Zieleni Miejskiej. W jej ramach studenci wyprodukowali rozsadę do ogrodów społecznych, które teraz cieszą oczy pozostałych mieszkańców Krakowa.

Trochę czasu zajęła mi nauka poruszania się po mieście, ale teraz znam je jak własną kieszeń. Zwiedzałam też okolice Krakowa i zaskoczyło mnie to, jak wiele atrakcji można tam znaleźć. Nie będę ukrywać, że studia to też czas dobrej zabawy. Pamiętam imprezy studenckie sprzed czasów pandemicznych. Po zajęciach szybkie powroty do mieszkania, zbieranie się na wyjście, a później trudne poranki, kiedy z imprezy jechałam wprost na wykłady. Czasami sprawy studenckie, samorządowe i codzienne życie przytłaczały mnie tak bardzo, że do mieszkania przychodziłam tylko na szybki prysznic.

© NATALIA LANDEK

JACEK TARAN

Fort 52 „Borek" – po generalnym remoncie w lipcu br. otworzono w nim filię Centrum Kultury Podgórza. Kraków, 21 sierpnia 2022 r.

Kraków w okowach twierdzy

ANDRZEJ CHWALBA, HISTORYK:

Krakowskie salony były ekskluzywne, ale „zwykli" mieszkańcy miasta byli bardziej otwarci na austriackie wpływy. Oglądali ćwiczenia żołnierzy na Błoniach, parady, defilady. Wojsko zaczęto traktować jako „nasze".

MICHAŁ SOWIŃSKI: W połowie XIX w. w Wiedniu zapadła decyzja o budowie twierdzy Kraków. Jak wyglądałoby miasto, gdyby to się nie stało?

ANDRZEJ CHWALBA: Trudno powiedzieć, ponieważ twierdza zrewolucjonizowała oblicze biednego i zapóźnionego cywilizacyjnie Krakowa. Dała mu impuls rozwojowy: gospodarczy, finansowy i kulturowy, a także przyczyniła się do rozwoju okolicznych miejscowości, choćby Podgórza z jego przemysłem materiałów budowlanych. Lata 50., 60. i 70. XIX w. doskonale tego dowodzą. Pytanie, czy w innym wypadku Kraków odnalazłby drogę dla siebie i jak ona miałaby wyglądać, pozostaje otwarte. Jednocześnie twierdza była również wyzwaniem, a nawet zagrożeniem dla miasta i jego mieszkańców. Ulokowanie się obcych wojsk na Wawelu przywołało w pamięci krakowian brutalne zdławienie ruchu narodowego podczas Wiosny Ludów przez żołnierzy tej samej armii. Mieszkańców miasta denerwowały też ograniczenia w przemieszczaniu się. Nawet zorganizowanie pogrzebu na Rakowicach wymagało zgody wojska. Dopiero lata samorządowego Krakowa pozwoliły na wypracowanie *modus vivendi* między wojskiem a cywilami. Dodatkowym wyzwaniem dla mieszkańców i władz miejskich była stała obecność wojsk I Korpusu. Na skutek tego Kraków, miasto królów, „polskie Ateny", stał się największym garnizonem wojskowym w Galicji. ↦

Czym właściwie była twierdza Kraków?

Była zespołem obiektów wojskowych ulokowanych w mieście i poza jego granicami. Oprócz cytadeli na Wawelu budowano w pewnym oddaleniu samodzielne forty, jak przykładowo Kościuszki czy Krakusa, już nieistniejący. Z daleka forty wyglądały jak zamki, z wieżami i oknami-strzelnicami. Do dziś na Wawelu możemy oglądać umocnienia z lat 50. XIX w., zgrabnie wkomponowane w całość.

W kolejnych dekadach jednak zrezygnowano z tego typu konstrukcji.

Rzeczywiście. Twierdza w ciągu kilkudziesięciu lat dziejów nieustannie zmieniała swój kształt i charakter, a to głównie z powodu szybko rozwijającej się sztuki oblężniczej. Donośność i siła rażenia dział nowych generacji wymusiły odsunięcie obiektów obronnych od gęsto zamieszkałych części miasta. Od lat 80. forty, w tym nowego typu, pancerne, budowano już niemalże wyłącznie na dalekich obrzeżach. Dobrze to widać w Lesie Wolskim, gdzie zachowanych jest wiele budowli z tamtego czasu.

Kolejny etap zmian nastąpił na przełomie wieku XIX i XX, kiedy to jeszcze dalej odsuwano rozproszone obiekty obronne, aż poza dzisiejsze granice miasta, po Michałowice, Bibice, Pękowice, Giebułtów czy Zielonki. Czyli budowano fortyfikacje w miejscowościach leżących na północ i wschód od Krakowa, jako że z tego kierunku spodziewano się uderzenia wojsk rosyjskich. W 1914 r. najstarsze obiekty, jeśli nie zostały zmodernizowane, nie miały już wartości militarnej.

Belle époque rzadko kojarzy się z wyścigiem zbrojeń i budowaniem twierdz...

Sytuacja Krakowa nie była niczym niezwykłym w tamtym czasie. Europejscy politycy i stratedzy, po krwawych i wyniszczających wojnach napoleońskich, doszli do wniosku, że warto i trzeba fortyfikować miasta. I tak powstały miasta twierdze m.in. w Toruniu, Gdańsku, Wrocławiu, Kownie, Wilnie, czeskiej Pradze, a także w Antwerpii, Brukseli, Verdun.

Czyli miasto twierdza to pomysł XIX-wieczny?

Tak, dlatego władze miejskie oraz mieszkańcy musieli znaleźć takie rozwiązanie, aby obecność wojska i twierdzy była jak najmniej konfliktowa. Ale to łatwe nie było, gdyż tylko w Krakowie przed rokiem 1914 obiektów wojskowych było 170: prochownie, stajnie, koszary, ujeżdżalnie itd. Dlatego nie tylko w Krakowie, ale i w innych miastach Europy coraz głośniej narzekano na uwierający gorset militarny. Próbowano np. zmieniać plany zagospodarowania, żeby stworzyć możliwości ich rozwoju. Mieszkańcy miast twierdz obawiali się też zniszczeń na wypadek konfliktów zbrojnych, które rzeczywiście wystąpiły w trakcie Wielkiej Wojny.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Restauracja Noworolski w Sukiennicach. Kraków, 2014 r.

Tam, gdzie stacjonowali austriaccy oficerowie, musiały być kawiarnie w stylu wiedeńskim. Dlatego powstało wiele takich lokali, a samo picie kawy stało się okazją do spotkań towarzyskich.

I wojna światowa przyniosła kres idei miasta twierdzy?

Tak, bo twierdze zawiodły. Najczęściej szybko się poddawały wojskom oblężniczym. Były oczywiście wyjątki – choćby Verdun, które zostało bardzo zniszczone, ale nie skapitulowało. Oraz Kraków. To właściwie jedyne przykłady w Europie, nie licząc kilku pomniejszych twierdz w zaborze rosyjskim. Co prawda twierdza Kraków nie była bezpośrednio oblegana, niemniej wojska rosyjskie podeszły pod miasto i ostrzeliwały forty na jego wschodnich i północnych rubieżach. Rosjanie chcieli zniszczyć umocnienia i zająć Kraków, a wtedy mieliby otwartą drogę, przez Bramę Morawską, w kierunku Wiednia. Miasto w 1914 r. nie ucierpiało, ale zabudowania mieszkalne i gospodarcze wsi podkrakowskich leżących na wschodzie i północy zostały przez wojska austriackie zniszczone, gdyż przedpole przyszłych działań wojennych nie mogło być niczym ograniczone.

Czyli Kraków odegrał tu kluczową rolę?

Twierdza ryglowała wejście do całego regionu, a nawet państwa. W grudniu 1914 r. doszło do dwóch bitew o Kraków, w których uczestniczyły także wojska twierdzy. W okolicach Wieliczki Austriacy zatrzymali pochód Rosjan. I od tego momentu wojska habsburskie, wspierane przez niemieckie, stopniowo zaczęły przejmować inicjatywę strategiczną.

Jak duża była to bitwa?

Twierdzy Kraków broniło wtedy około 100 tys. żołnierzy. Było ich znacznie więcej niż mieszkańców Krakowa, których część Austriacy wysiedlili i przewieźli do obozów w Czechach i Austrii.

Wróćmy do XIX w. W książce „Festung Krakau. Kraków w cieniu twierdzy" wymienia Pan liczne plusy i minusy tej fortyfikacji dla miasta. Zacznijmy może od wad.

Minusy były typowe dla miast garnizonowych tego czasu. Armia, jako gwarant istnienia całego imperium, miała status uprzywilejowany, a kastą o szczególnym statusie byli oficerowie. Między nimi a żołnierzami istniała przepaść. To były dwa zupełnie odrębne światy. W obronie godności żołnierzy stawali lewicowi politycy, z Daszyńskim na czele, którzy też prowadzili wojnę z austriackim militaryzmem, jak go nazywali. W sądach toczyły się sprawy przeciwko oficerom znanym z brutalności. Politycy lewicowi zarzucali im stawianie się ponad prawem. Oskarżali ich też, niekoniecznie słusznie, o fatalny wpływ na gospodarkę i życie polityczne w monarchii. Zarzucali ingerowanie w wyniki wyborów parlamentarnych.

Między oficerami a cywilami dochodziło też do konfliktów w restauracjach. Podczas sprzeczek obie strony używały pełnokrwistego języka. Oficerom zdarzało się nazywać krakowian „polskimi świniami". Początek wieku XX to czas rosnącego w siłę nacjonalizmu, który wpły-

wał także na poglądy i postawy świata oficerskiego. Stąd te inwektywy. Lecz w sumie były to sytuacje raczej incydentalne, także dlatego, że dowództwo wojskowe zabiegało o dobre relacje z cywilami.

Poza tym krakowian irytowała duża liczba – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – agencji towarzyskich zlokalizowanych głównie w centrum miasta. Przykładowo około 1900 r. w pobliżu dawnej siedziby „Tygodnika Powszechnego" przy ulicy Wiślnej znajdowały się trzy tego rodzaju przybytki, co musiało budzić protesty. Liczny garnizon skłaniał krakowian do zakładania kolejnych lokali gastronomicznych dostosowanych do różnego rodzaju klientów. Odrębne, choć nieformalnie, były dla oficerów, a jeszcze inne dla żołnierzy. Kraków stał się miastem biesiadnym, zwłaszcza było to widoczne w niedziele i święta, kiedy żołnierze po służbie udawali się, jak mówili, „w miasto".

Co jeszcze mogło niepokoić albo denerwować?

Powszechnie też protestowano przeciwko demoralizacji za sprawą... kąpieli żołnierzy w Wiśle. Wokół Wawelu znajdowała się piaszczysta plaża, podzielona na trzy części. Odrębna dla mężczyzn, kobiet i żołnierzy. Ale żołnierze, jak można sobie wyobrazić, dla zabawy kąpali się, i to często zupełnie nago, na części damskiej. Ten wątek regularnie powracał w kazaniach, w których księża przestrzegali przed chodzeniem w tamte rejony, co oczywiście odnosiło skutek zupełnie przeciwny do zamierzonego.

Gorszące obyczaje to jedno. A inne problemy?

Stała obecność znacznej liczby żołnierzy i oficerów wpływała na realia ekonomiczne. Szczególnie pod koniec XIX w. zaczęto mocno odczuwać głód mieszkań i ziemi pod budowę, co skutkowało dotkliwą drożyzną na rynku nieruchomości, a także wysokością czynszów. Lichwa mieszkaniowa i spekulacja parcelami były chlebem powszednim. Kraków stał się jednym z droższych miast w imperium Habsburgów, na co istotny wpływ mieli kamienicznicy. Posiadali oni duże wpływy w radzie miejskiej oraz dobre relacje z wojskiem. Gdy np. wojsko podejmowało decyzję o budowie dróg, to oni wiedzieli o tym pierwsi, więc mogli korzystnie wykupywać grunty, a następnie z zyskiem je sprzedawać.

GRAŻYNA MAKARA

Franciszek Józef I w nowej siedzibie „Tygodnika". Kraków, 2022 r.

> W czasach późnego PRL wręcz w dobrym tonie było manifestowanie przynależności Krakowa do kulturowej spuścizny Habsburgów, praktykowanie kultu Franciszka Józefa I.

Dużo miejsca w książce poświęca Pan właśnie oficerom, których rola w kształtowaniu społecznej tkanki miasta była niejednoznaczna. Poza butą, o której Pan wspominał, wnieśli również pewien austriacki sznyt, który przyjął się wśród krakowskiego mieszczaństwa.

Tak, ale był to proces rozłożony na dziesięciolecia. Przenikanie austriackich wzorców kulturowych ułatwiała polityka władz wiedeńskich zachęcających do identyfikowania się mieszkańców nie tylko Galicji, ale i innych krajów koronnych monarchii, z wojskiem. Propagowano kult armii i cesarza. Żołnierzom i oficerom nakazywano zachowywać się poprawnie w przestrzeni publicznej, aby nie drażnić mieszkańców. Oficerów zachęcano do integracji z cywilnymi elitami, poprzez bywanie w mieszczańskich i arystokratycznych salonach, a krakowskie elity z kolei zachęcano do udziału w wydarzeniach kulturalnych otwartego w latach 90. XIX w. kasyna oficerskiego. Ale od zachęt do tworzenia wspólnego życia towarzyskiego była długa droga.

Dlaczego?

Krakowskie salony były ekskluzywne, tworzyły własne, zamknięte światy. Ich uczestnicy niechętnie widzieli w prywatnych mieszkaniach wojskowe mundury. Natomiast bardziej otwarci byli „zwykli" mieszkańcy miasta, którzy chętnie uczestniczyli w wojskowych wydarzeniach. Oglądali ćwiczenia żołnierzy na Błoniach, parady, defilady. Brali udział w świętach pułkowych, na czym szczególnie zależało Austriakom. Dzięki temu oswajano się z obecnością wojska, tym bardziej że służyli w nim żołnierze z Krakowa. Stopniowo wojsko zaczęto traktować jako „nasze". W zaborze pruskim czy rosyjskim w ogóle było to nie do pomyślenia – tam armie uznawano za zaborcze, wrogie. W Krakowie zaś i w innych miastach dawnej Galicji do dzisiaj trwa fascynacja austriackimi pułkami niegdyś stacjonującymi na tych terenach. I nie chodzi tu jedynie o zaspakajanie pasji militarnych, ale także docenienie ich roli kulturowej, edukacyjnej. Podsumowując, można powiedzieć, że pomimo licznych mankamentów, wynikających z garnizonowego charakteru miasta, postępowała integracja wojska i cywilów.

Znam wielu, którzy, zapewne z przymrużeniem oka, dalej czują się obywatelami CK monarchii. Duch Habsburgów jeszcze się unosi nad Krakowem i resztą Galicji?

Jest on bez wątpienia wciąż obecny. W czasach późnego PRL wręcz w dobrym tonie było manifestowanie przynależności Krakowa do kulturowej spuścizny Habsburgów, praktykowanie kultu Franciszka Józefa I. Żeby daleko nie szukać, w dawnej siedzibie „Tygodnika Powszechnego" wisiał przecież portret Najjaśniejszego Pana.

W nowej siedzibie, przy ulicy Dworskiej, dalej wisi!

Polscy politycy i urzędnicy pochodzący z Galicji jeszcze w odrodzonej Polsce manifestowali swoje przywiązanie do habsburskich tradycji. Leon Biliński, były minister skarbu Austro-Węgier, gdy ↦

JACEK TARAN

Recepcja w Centrum Kultury Podgórza w dawnym forcie 52 „Borek". Kraków, 21 sierpnia 2022 r.

↦ w 1919 r. przyjechał do Warszawy, aby objąć stanowisko ministra skarbu w gabinecie Ignacego Paderewskiego, powiesił nad biurkiem portret nieżyjącego już od kilku lat Franciszka Józefa I. Dla niego tamten świat się nie skończył, a nowy, symbolizowany przez byłego socjalistę Piłsudskiego, był dla niego odległy.

Austriacy w Galicji zostawili po sobie sporo ciekawych zjawisk.

Ich najważniejszym towarem eksportowym były orkiestry wojskowe, które regularnie koncertowały od pierwszych dni maja, m.in. na Plantach oraz w parkach, i to najczęściej za darmo. Koncertowali nawet zimą, umilając czas łyżwiarzom korzystającym ze ślizgawek. Muzyków można było także wynająć na krakowskie imprezy towarzyskie, a nawet wesela. Wystarczyło podpisać umowę z wojskiem. Orkiestry wojskowe były cenione za walory muzyczne i atrakcyjny repertuar. Dzięki nim upowszechniła się w Krakowie moda na muzykowanie, o czym też świadczyły nowe sklepy z instrumentami muzycznymi.

Podobnie przyjęły się kawiarnie.

Oczywiście. Tam, gdzie stacjonowali austriaccy oficerowie, musiały być kawiarnie w stylu wiedeńskim. Wcześniej w Krakowie kawę pito w szklankach, czyli tak, jak później życzył sobie Gomułka, który uważał, że filiżanki są nieprzyzwoicie burżuazyjne. A na kawę w szklankach czy wręcz cynowych kubkach urzędnicy i oficerowie austriaccy patrzyli z obrzydzeniem. Dlatego musiało się to zmienić. Podobnie jak sama kultura kawiarniana – do kawiarni nie wpadało się już na chwilę, trzeba było tam spędzić trochę czasu, najlepiej przy tym samym, co zawsze, stoliku. Picie kawy stało się też okazją do spotkań towarzyskich i rozmów. Ten sam proces akulturacji był widoczny w innych miastach monarchii: w Zagrzebiu, Brnie, Trieście, Lwowie. Pojawiły się też nowe produkty – sznycle wiedeńskie, jajko po wiedeńsku, śniadania wiedeńskie. Podobnie jak kufle do piwa.

ANDRZEJ CHWALBA jest historykiem i eseistą, profesorem nauk humanistycznych, wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego. Specjalizuje się m.in. w historii XIX wieku i dziejach Krakowa. Ostatnio opublikował książkę „Festung Krakau. Kraków w cieniu twierdzy".

BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI / PAP

Pod koniec XIX w. ten militarny pierścień duszący miasto zaczyna powoli pękać, a to za sprawą wybitnych prezydentów Krakowa, przede wszystkim Józefa Dietla i Juliusza Lea.

Obaj zdecydowanie nie byli entuzjastami Krakowa jako twierdzy. Wielkość Dietla polegała na tym, że pozwolił się miastu rozwijać zgodnie z jego kulturowym i historycznym dziedzictwem. To był pierwszy polityk dużego formatu, który odkrył przemysł dziedzictwa – że Kraków ma to, czego nie mają inne miasta. Uważał, że fabryki zanieczyszczające powietrze i niszczące tkankę społeczną nie powinny być budowane w mieście. Był lekarzem i piewcą rodzących się wówczas postulatów higieny życia publicznego, dlatego stawiał na inteligentny, zrównoważony rozwój, w ramach którego poszczególne elementy usług dobrze ze sobą współpracują. I to dziedzictwo kontynuowali, prowadząc skomplikowane negocjacje z władzami austriackimi, kolejni prezydenci, choćby Mikołaj Zyblikiewicz. Odegrał on szczególną rolę w odzyskaniu dla Polski Wawelu. Wpadł na genialny pomysł, aby go ofiarować cesarzowi na rezydencję. Dzięki temu będzie można przejąć nad nim kontrolę i pozbyć się wojska. Jednak twarde negocjacje finansowe z armią austriacką, która nie chciała go opuścić, trwały jeszcze 25 lat. W ich efekcie powstał m.in. wybudowany na koszt miasta, nowoczesny i działający do dziś szpital wojskowy przy ulicy Wrocławskiej. A gdy już się udało odzyskać Wawel, był on w opłakanym stanie.

Potem nadeszły czasy Juliusza Lea, twórcy koncepcji Wielkiego Krakowa.

On już nie miał wątpliwości, że Kraków nie stanie się nowoczesnym miastem, jeżeli dalej będzie tłamszony przez twierdzę. Przekonywał, że wojsko musi przestać decydować o architektonicznym i urbanistycznym charakterze miasta. Po długiej walce udało mu się odzyskać zachodnie rubieże Krakowa. Ten kierunek był stosunkowo łatwiejszy do wynegocjowania, bo z tamtej strony nie groził atak wojsk rosyjskich. Dzisiejsze imponujące Aleje Trzech Wieszczów to właśnie jego zasługa. Jeszcze na początku XX w. biegła tamtędy linia kolejowa usytuowana na wysokim wale. A teraz mamy imponujący ring wokół centrum – oddech dla miasta, z którego korzystamy do dziś.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Podobizna Alicii Keys autorstwa Pieksy na ścianie kompleksu Shuvary Park przy ul. Saskiej 23.

Podgórze murali

TEKST I ZDJĘCIA KATARZYNA DOMAGAŁA

To zdecydowanie jeden z najciekawszych rejonów na kulturalnej mapie Krakowa. Nie tylko ze względu na liczne wydarzenia i prężnie działające instytucje, ale także w kontekście sztuki, która żyje tu w przestrzeni ulicznej.

Murali, czyli wielkoformatowych malowideł ściennych, można znaleźć w Podgórzu mnóstwo. Niektóre nawiązują do wydarzeń z przeszłości, inne stanowią samodzielne dzieła sztuki, a wszystkie sprawiają, że ta część Krakowa jest miejscem wyjątkowym – zarówno dla mieszkańców, turystów, jak i licznie tu przybywających krakowian z innych dzielnic. Aby łatwiej odnaleźć się w tym gąszczu obrazów, zapraszam do krótkiego przewodnika po najciekawszych podgórskich ścianach.

Perełki starego Podgórza

Muralowy spacer proponuję zacząć od centrum starego Podgórza, nieopodal stadionu Korony (obecnie również Centrum Sportu Parkowa) i Rynku Podgórskiego, tuż przy jednym z najpiękniejszych krakowskich terenów zielonych – parku Wojciecha Bednarskiego. Tam, przy ulicy Jana Zamoyskiego, na ścianie jednej z kamienic, przy schodach prowadzących do półdzikiego parku, widnieje szaro-brązowy mural, przedstawiający podobizny pięciu ważnych dla Krakowa postaci. Malowidło powstało na okoliczność setnej rocznicy włączenia Podgórza do Krakowa, która wypadła 4 lipca 2015 r. Mural nieco już wypłowiał, ale jest wart uwagi również ze względu na swój historyczny kontekst.

Agnieszka Jałbrzykowska jako pierwsza kobieta została honorową obywatelką ↦

Mural na ścianie bloku przy ul. Józefińskiej 24 powstał w 2012 r. w ramach Festiwalu Conrada.

↦ Podgórza. Wojciech Bednarski to twórca parku, który obecnie przechodzi proces rewaloryzacji. Antoni Stawiarz zainicjował wyzwolenie Krakowa w 1918 r. Antoni Mateczny był twórcą uzdrowiska w sąsiedztwie ronda nazwanego jego nazwiskiem, a Franciszek Maryewski ostatnim burmistrzem Podgórza.

W kilka minut spacerem dojdziemy do rogu ulic Józefińskiej i Piwnej, gdzie znajdują się dwa ważne malowidła. Spójrzmy na nie ze styku ulic, gdzie ulokowana jest ogromnych rozmiarów kamienica. Pierwszy mural nosi tytuł „Ding Dong Dumb" i jest autorstwa Blu, pochodzącego z Włoch, jednego z najbardziej znanych na świecie streetartowych twórców. Praca powstała w 2011 r. podczas Art-Boom Festival – festiwalu sztuk wizualnych. Przedstawia tłum bezosobowych, podobnych do siebie postaci, które bezrefleksyjnie wpatrują się, a raczej wsłuchują w głos z megafonu-dzwonu, pomalowanego w barwy flagi Watykanu. Co ciekawe, w dzień odsłonięcia muralu ktoś napisał sprayem w dolnym rogu ściany: „Never Follow". Sam artysta ponoć dobrze zareagował na ten gest. Stwierdził, że to dobrze, gdy ktoś wchodzi w dialog z jego pracami, nie pozostaje obojętny. Po jedenastu latach od powstania dzieła ewidentnie widać na nim znak czasu – jest wypłowiały. To m.in. dlatego, że Blu stosuje rozcieńczone farby. Podobno kiedy malował ścianę, do farby dodawał wodę z Wisły.

Z kolei mural na ścianie bloku komunalnego przy Józefińskiej 24 powstał w 2012 r. w ramach Festiwalu Conrada. Na dole ściany widzimy napis: „Pomyśl: Literatura!", a na górze podobiznę słynnego krakowskiego pisarza *science fiction* Stanisława Lema i cytat z jego „Dialogów": „Na koniec ludzie skarleją do wymiaru bezmózgich sług żelaznych geniuszy i, być może, poczną oddawać im cześć boską...". Trudno się nie zatrzymać i nie pomyśleć: „Literatura!".

Powyższe murale nie są kontekstowe – nie odnoszą się do charakteru czy historii przestrzeni, w której powstały. Mają jednak inną funkcję, tożsamościową. Same zatem nadały charakter tej przestrzeni, o czym wspomina Artur Wabik, autor murali, popularyzator sztuki ulicznej, członek zespołu ds. murali Miasta Krakowa: – Początkowo obce dla lokalnej społeczności formy plastyczne, z czasem stają się ich znakiem rozpoznawczym i sposobem na określenie tożsamości ulicy czy dzielnicy. Zauważam też, że mieszkańcy Krakowa przywiązują się do murali, również tych, wobec których kiedyś mogli być sceptyczni. Mówią choćby: „My mieszkamy w bloku z robotem". Co więcej, kiedy zapada decyzja o zamalowaniu konkretnej ściany, zgłaszają sprzeciw.

Teraz kierujemy się w stronę Zabłocia. Przejdźmy przez plac Bohaterów Getta na

Mural „Ding Dong Dumb" przy styku ulic Józefińskiej i Piwnej.

ulicę Na Zjeździe, gdzie na fasadzie zabytkowego budynku dawnego składu solnego znajduje się jeden z największych krakowskich murali. Zajmuje on 450 metrów kwadratowych. To również kolejny literacki, a ściślej mówiąc, poetycki mural w Podgórzu. Co przedstawia? Wymieszane fragmenty utworów poetów polskich i islandzkich, m.in. Ewy Lipskiej, Adama Zagajewskiego, Agnieszki Wolny-Hamkało, Óskara Árniego Óskarssona czy Kristín Svavy Tomasdottír. Ideą jego powstania było promowanie w Polsce poezji islandzkiej, a w Islandii polskiej w ramach projektu „ORT: Wiersze z Islandii/Wiersze z Polski". Jak czytamy na stronie miastoliteratury.pl: „malowało [go] 27 osób. Zużyli w tym czasie 250 litrów farby, przenieśli 22 tony rusztowań, złamali 17 paznokci, wypili 48 litrów herbaty i zjedli 11,3 kg kabanosów". No i mamy efekty! Autorką projektu jest Paulina Lichwicka.

Historyczne i kolorowe Zabłocie

Pora na poprzemysłowe Zabłocie. Są tam m.in. dwa murale przedstawiające historycznego liberatora – samolot, który w 1944 r. rozbił się nad Krakowem, lecąc na pomoc powstańcom warszawskim. Pierwszy mural to praca Mariusza M-City Warasa na budynku Zabłocie Concept House. Została zrealizowana w ramach projektu „101 murali dla Krakowa" przez artystę znajdującego się w czołówce światowych twórców street artu. Jest też i drugi liberator, przy ulicy Jana Henryka Dąbrowskiego 14, autorstwa Dagmary Matuszak i Artura Wabika, którego projekt powstał we współpracy ze studentami Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na białej ścianie widzimy czarny samolot i wychodzącą na pierwszy plan podobiznę pilota.

Tak o pracy mówi sam artysta: – Ten mural jest mocno *site-specific*, wyraźnie odnosi się kontekstu historycznego. Przy tworzeniu projektu nie chcieliśmy, by był nachalnie dydaktyczny, dosłowny czy martyrologiczny, ale symboliczny i prosty w środkach wyrazu. Stąd pomysł na malowidło przypominające przeskalowany szablon. Stanowi ono kontrast do kolorowych ścian, na których dużo się dzieje, zarówno w formie, jak i treści.

Na Zabłociu znalazło się też miejsce na spontaniczne i oddolne inicjatywy muralowe. Kilka minut pieszo od Zabłocie Concept House jest ulica Ślusarska, a przy niej, na anarchistycznym skwerku, resztki wielobarwnych prac artysty ukrywającego się pod pseudonimem Pieksa. Zasłynął on tym, że maluje podobizny znanych osób z show-biznesu, jak również postacie z kreskówek i seriali.

Zwierzęta nas uczą

Muralową wycieczkę zakończymy przy ulicy Płaszowskiej. To zaledwie kilka przystanków tramwajowych z Zabłocia w stronę Małego Płaszowa. Tam przez kilka kolejnych miesięcy będziemy mogli oglądać mural nawiązujący do relacji między człowiekiem a zwierzętami. Powstał z inicjatywy feministycznego kolektywu RedSheels, który m.in. zajmuje się tworzeniem murali zaangażowanych społecznie. Praca jest również częścią kampanii firmy TIER „Poruszaj się jak zwierzę. Jedź TIER". Projekt muralu stworzyła krakowska artystka Justyna Stoszek, znana z grafik poświęconych naturze. W efekcie na ścianie jednego z bloków widzimy ogromną podobiznę wilka z napisem „Zwierzęta mogą nas wiele nauczyć". Mural został namalowany farbami oczyszczającymi powietrze.

Kraków to jedno z pierwszych miast w Polsce, w którym powołano zespół ds. murali. Liczy 21 osób. Artur Wabik przekonuje, że dzięki dobrze prowadzonej „polityce muralowej" zarówno mieszkańcy, miasto, jak i twórcy mogą wiele zyskać: – Naszym nadrzędnym celem jest podniesienie jakości malowideł, ale także świadomości wśród twórców, organizatorów i inicjatorów powstawania murali. Ściśle weryfikujemy zgłoszenia i kładziemy nacisk na konsultacje społeczne. Chcemy, aby murali było w mieście mniej, za to wysokiej jakości.

Pozostaje nam zatem czekać na efekty tej miejskiej polityki miasta. Na Podgórzu już ją widać!

© Tekst i zdjęcia KATARZYNA DOMAGAŁA

ŁĄKA POWSZECHNA ZAKWITŁA W KRAKOWIE

Na początku maja Fundacja Łąka i redakcja „Tygodnika Powszechnego" przekazały czytelnikom mieszankę nasion łąki kwietnej.

To już trzecia odsłona tej akcji, tym razem jednak w szczególnych okolicznościach. Było to nieco ponad miesiąc po rosyjskiej agresji na Ukrainę, gdy wszyscy wciąż szukali swojej roli w tym, co się działo. A co to było? Bezprecedensowa, niepowstrzymana, dla wielu wręcz niespodziewana fala międzyludzkiej solidarności. Solidarność z Ukraińcami i Ukrainkami widoczna była także w przestrzeniach publicznych – podczas demonstracji, koncertów charytatywnych czy po prostu – gdy ktoś wywiesił w oknie barwy Ukrainy. My także przyłączyliśmy się do rozpościerania ukraińskich flag, wysiewając na ich wzór duże łąki w trzech miastach – w tym w Krakowie, pod okiem redakcji „Tygodnika". Mamy nadzieję, że 55 tysięcy niebiesko-żółtych łączek także odrobinę upiększyło tę pełną niepewności, ale też dobroci i współczucia wiosnę 2022 roku.

Często symbole narodowe są abstrakcyjne, odnoszą się do żywiołów czy cnót. Tymczasem jako osoby zajmujące się krajobrazem mamy wrażenie, że flaga Ukrainy jest niczym widok z okna na błękitne niebo i złote zboże. Mamy nadzieję, że kwiaty wysiane w tych kolorach sprawiły, że nasi goście poczuli się u nas trochę jak u siebie w domu.

© AGNIESZKA NOWAK

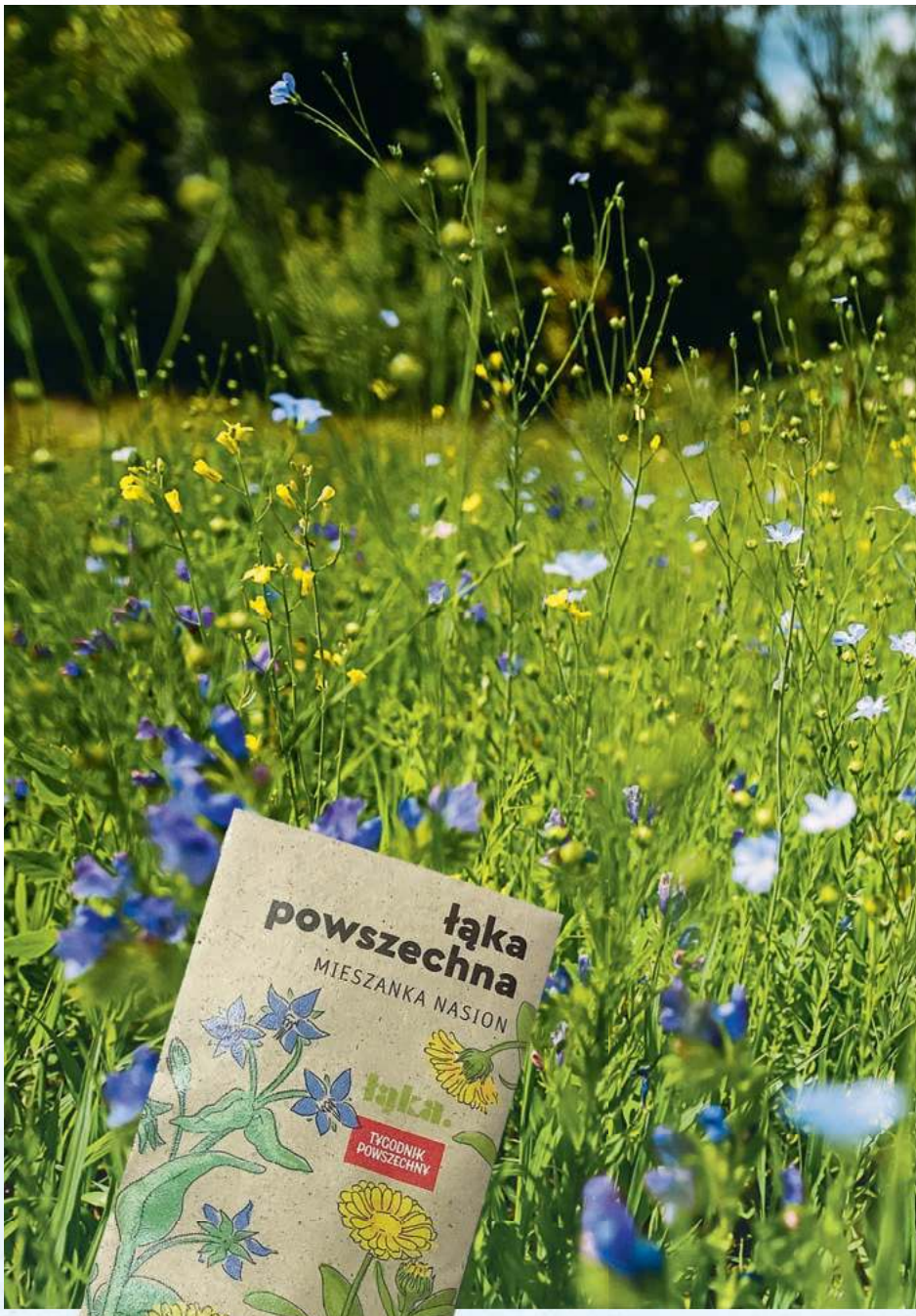

GRAFIKA-ŁĄKA DOLASU

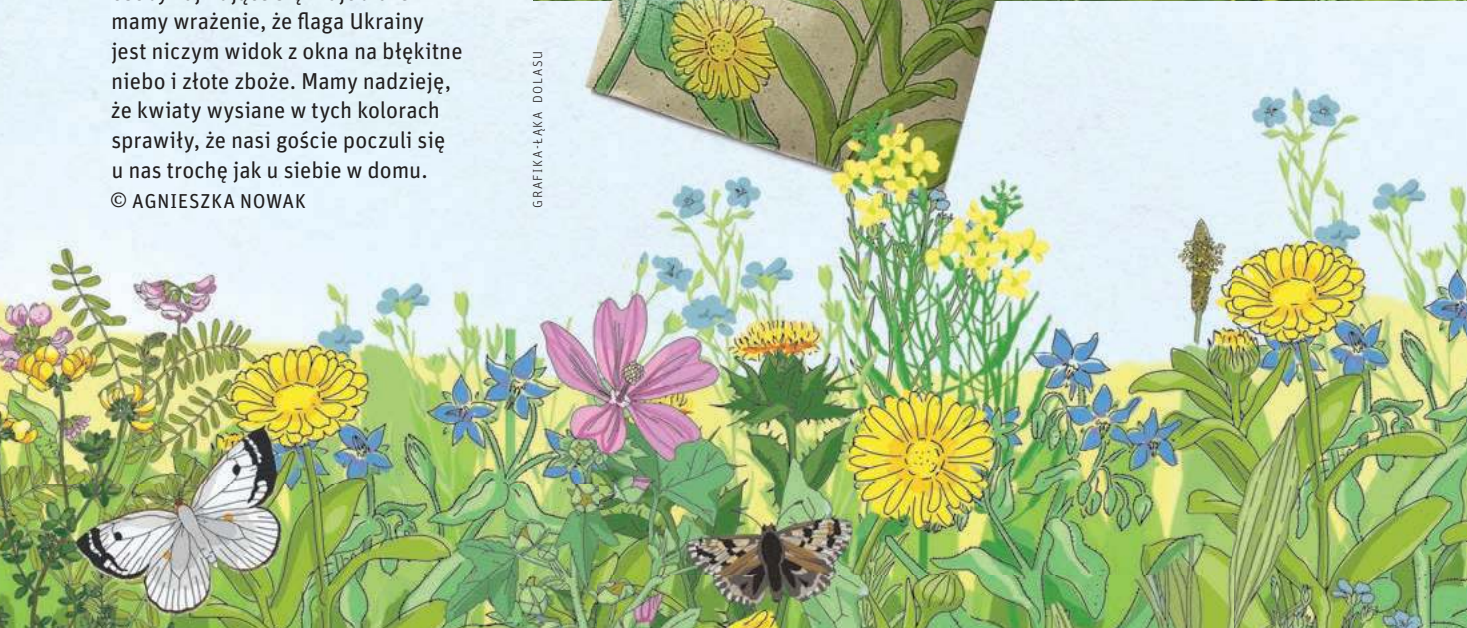

Łąka A.D. 2022 w kolorach ukraińskiej flagi: błękitny len, ogórecznik, facelia, żmijowiec, żółty rzepak, nagietek, koper, krokosz.

6 maja w okolicach ronda Mogilskiego przedstawiciele Zarządu Zieleni Miejskiej w Krakowie, „Tygodnika Powszechnego" oraz Fundacji Łąka wysiewają łąkę kwietną, która zakwitnie w kolorach ukraińskiej flagi.

Modraszek ikar na Żmijowcu. Łąka kwietna w prywatnym ogrodzie w Krakowie. 18 lipca 2022 r.

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN X3

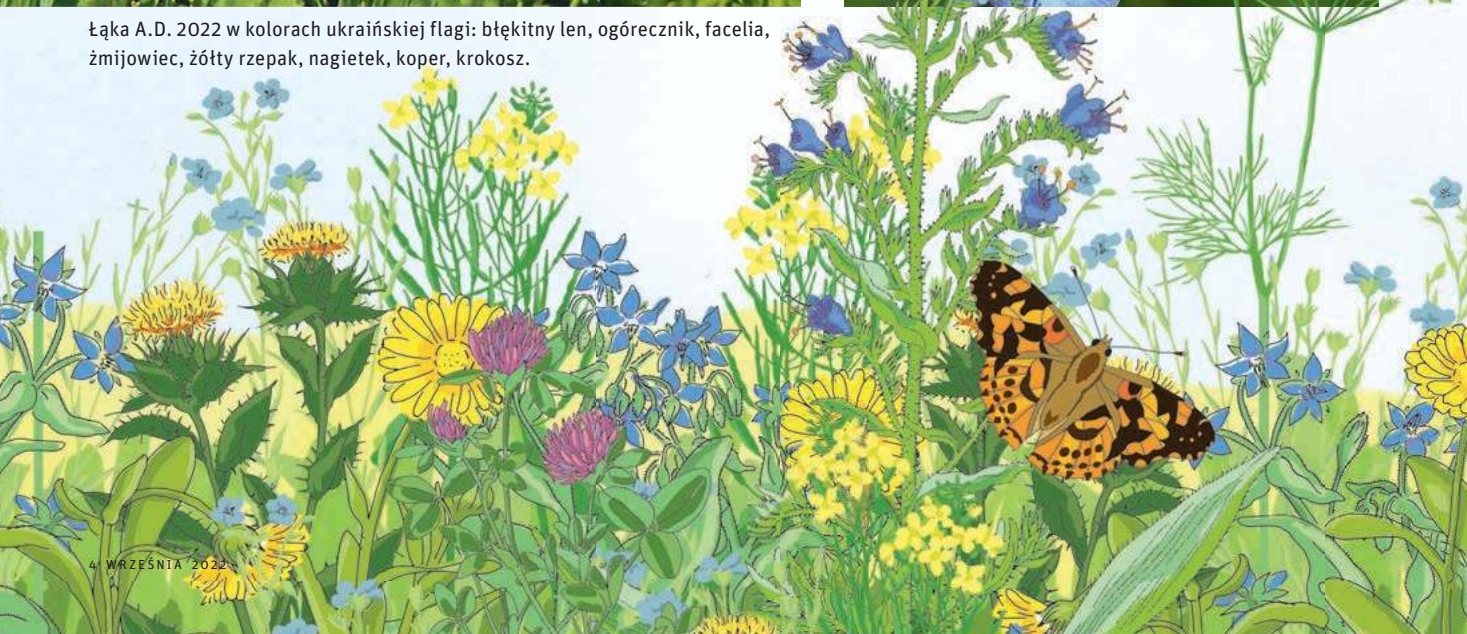

Moje miejsce

Pod kładką o. Bernatka. Kraków, czerwiec 2022 r.

ALEKSANDRA WOJTASZEK

Coraz więcej ludzi z całego świata wybiera Kraków na swój drugi dom. W roku 2020, pomimo pandemii, liczba cudzoziemców zwiększyła się o jedną czwartą. Dlaczego spośród wszystkich miast na świecie wybrali właśnie stolicę Małopolski?

Najbardziej w Krakowie lubię miejsce, w którym pracuję, czyli Instytut Filologii Słowiańskiej UJ – mówi Jelena Perišić, pochodząca z okolic Belgradu. – Dzięki zajęciom ze studentami rozwijam się zawodowo, ale też osobiście. Bardzo cenię sobie atmosferę panującą na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od samego początku czułam, że tu przynależę. Nawet budynek naszego Instytutu znajduje się w wyjątkowym miejscu, tuż obok Biblioteki Jagiellońskiej i parku Jordana, niedaleko centrum miasta.

Jelena w Krakowie mieszka już od pięciu lat i choć lektorzy zazwyczaj przybywają do kraju docelowego na krótko, zżyła się z Polską, nauczyła się języka i znalazła tu przyjaciół.

– Według niektórych zakochanie trwa maksymalnie trzy lata – potem albo znika, albo zmienia się w miłość. Ponieważ dalej cieszę się ze swojej pracy i mieszkania w Krakowie, to musi być miłość – śmieje się.

Jelena największą różnicę między Krakowem a Serbią widzi w... szacunku do cudzej prywatności: – Tutaj nikogo nie dziwi, że siedzisz sama na ławce w parku albo w restauracji, nikt tego nie komentuje ani nie zadaje ci niewygodnych pytań, co w moim kraju jeszcze niedawno było nagminne.

W Krakowie najbardziej lubi okolice Wisły, a od pracy naukowej odpoczywa na terenach zielonych: w parku Jordana, parku Bednarskiego, na Plantach albo nad Zalewem Nowohuckim.

– W Krakowie jest mnóstwo przestrzeni stworzonych do relaksu, gdzie można zebrać myśli i uwolnić się od codziennego stresu. Miłośnikom przyrody polecam Ogród Botaniczny, gdzie czasem zabieram studentów na zajęcia w terenie. Nie przestaje mnie też fascynować Kazimierz: atmosfera przenikająca tutejsze uliczki i place, pełno tu sympatycznych knajpek i restauracji. Podobnie jak w przypadku całego Krakowa, trudno wskazać tylko jeden element, który przesądza o wyjątkowości tej dzielnicy.

Kafejki i muzea

O Krakowie często mówi się jako o mieście, w którym świetnie odnajdują się młodzi cudzoziemcy – w całej Europie znany jest ze swojego burzliwego nocnego życia. Wielu obcokrajowców zostaje jednak na dłużej, zakłada rodziny i zaczyna doceniać inne aspekty życia w tym mieście.

Aneta Sapeta, wcześniej Todevska, przeprowadziła się ze Skopje do Krakowa w 2009 r. Dwa lata później poznała swojego obecnego męża Michała, co przypieczętowało jej decyzję o pozostaniu w mieście. Po dziesięciu latach pracy na uczelni postanowiła spróbować nowej ścieżki zawodowej – przez chwilę wraz z mężem

prowadziła niewielkie wydawnictwo Toczka, publikujące przekłady z literatur bałkańskich, a obecnie pracuje w jednej z międzynarodowych firm z siedzibą w Krakowie, gdzie tworzy oprogramowanie wspierające tłumaczy.

Kraków od razu ją ujął – przede wszystkim atmosferą, podobali jej się młodzi ludzie siedzący wieczorami nad Wisłą. A także klimat miasta z jego kafejkami i knajpkami. Jej postrzeganie miasta znacznie się zmieniło, kiedy urodziła córkę.

– Kraków jest świetnym miejscem dla ludzi z dziećmi – mówi. – Razem z Niką nieustannie szukamy nowych wydarzeń i miejsc, gdzie będziemy się dobrze bawić i nauczymy się czegoś nowego. Dostęp do ciekawych i rozwijających treści jest tutaj godny pozazdroszczenia.

Jej pięcioletnia córka uwielbia muzea – najczęściej chodzą do MOCAK-u, Muzeum Iluzji, Muzeum Etnograficznego i Muzeum Przyrodniczego. Oprócz sztuki Nika lubi też zwierzęta, więc często odwiedzają zoo i muzeum motyli.

– W Krakowie bardzo często organizowane są wydarzenia interesujące zarówno dla dzieci, jak i dorosłych – mówi Aneta. – W tym roku byliśmy m.in. na Paradzie Smoków oraz na Święcie Kolorów. Nuda nam tu nie grozi. Jeśli akurat nic się nie dzieje, zawsze możemy wpaść do Ogrodu Doświadczeń albo odwiedzić starego dobrego smoka.

Anecie w Krakowie podobają się też obszary zielone. Razem z mężem i córką mieszkają w pobliżu parku Lotników, ale często wyprawiają się na kopce – Kościuszki i Kraka. Chętnie udają się też na jednodniowe wycieczki po okolicy.

– Kiedy przyjechałam do Krakowa kilkanaście lat temu, zakochałam się w tym mieście, ale zwracałam wtedy uwagę na zupełnie inne rzeczy – podkreśla Aneta. – Od kiedy mam dziecko, cenię Kraków na zupełnie innym poziomie.

Magia modernizmu

Stolica Małopolski tradycyjnie przyciąga artystów. Wśród wielu osób zafascynowanych polską kulturą, którą postanowili zgłębiać właśnie w Krakowie, jest Søren Gauger, z pochodzenia Kanadyjczyk, uznawany za jednego z najwybitniejszych tłumaczy literatury polskiej na język angielski, pisarz, autor książek prozatorskich „Nie to / Nie tamto" i „Imitacja życia" oraz zbioru esejów „Rzeczy niewysłowione". W Krakowie mieszka już od 23 lat.

– Postanowiłem żyć trochę pod prąd i zamiast informatyki zacząłem studiować w Vancouver literaturę – opowiada. – Pracowałem też w antykwariacie i to tam po raz pierwszy zachwyciła mnie polska literatura, szczególnie międzywojenna. Szybko jednak zabrakło mi przekładów.

Po kilku miesiącach nauki polskiego w piwnicy u pewnej emigracyjnej poetki zdecydował się na przeprowadzkę do Krakowa: – Cortázar mieszkał w Paryżu, tłumaczył literaturę z francuskiego na hiszpański i pisał powieści. Pomyślałem, że to idealna robota dla mnie, też chciałem tak żyć.

Przez rok intensywnie uczył się języka polskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zaczął także pracować jako tłumacz z języka polskiego na angielski dla czasopisma „Miesiąc w Krakowie". Kartą przetargową młodego tłumacza miała być umiejętność czytania Gombrowicza w oryginale, choć, jak sam mówi, tłumaczenia uczył się metodą prób i błędów. Dziś ma na koncie przekłady kilkunastu polskich pisarzy, m.in. Jerzego Ficowskiego, Brunona Jasieńskiego i Witkacego, współpracuje także z licznymi krakowskimi instytucjami kultury.

– W Krakowie, i w ogóle w Polsce, zachwyciła mnie pewna hermetyczność tutejszego życia, dwadzieścia lat temu to była niemal idealnie szczelna przestrzeń, do której jak gdyby nie docierały problemy świata zewnętrznego – wspomina. – Teraz to się nieco zmieniło, ale nadal lubię tę osobność mojej pozycji: obcokrajowca w, mimo wszystko, silnie monokulturowym i jednoetnicznym kraju. W Polskę nie da się wasymilować na siłę.

Dla dwudziestokilkuletniego wówczas Sørena ważna była też wysoka dostępność kultury w mieście: – Nawet jeśli czasem nie miałeś biletu, zawsze była możliwość, aby uzyskać darmową wejściówkę na większość wydarzeń. Miałem poczucie, że cały czas się uczę.

Osiadli nomadzi

Dla wielu osób, z którymi rozmawiałam, głównym powodem przyjazdu do Krakowa była praca, a sympatia do miasta przyszła z czasem. Dzisiaj, w dobie cyfrowego nomadyzmu, coraz częściej zatrudnienie nie jest jednak ograniczeniem, a miejsce zamieszkania wybiera się ze względu na inne istotne kwestie.

Ivan jest programistą i Chorwatem z Zagrzebia. Do Krakowa przyjechał kilkanaście lat temu, kiedy otworzył się tutaj oddział Google'a. Kraków i Zagrzeb rozmiarowo i architektonicznie są do siebie nieco podobne, więc Ivan szybko poczuł się tu jak w domu. Polskie miasto zdecydowanie przewyższa jednak chorwacką stolicę intensywnością nocnego życia, co dla niespełna trzydziestoletniego wówczas Ivana było kluczowe.

– To było szalonych parę lat – wspomina. – Jednej nocy potrafiliśmy przewędrować pół Kazimierza albo wpaść do kilku klubów w centrum. Jeśli woleliśmy pogadać przy piwie, szliśmy do Pierwszego Lokalu na Stolarskiej albo Pięknego Psa, który mieścił się wtedy na Sławkowskiej, a potem na Bożego Ciała.

Ekipa zazwyczaj była mieszana – oprócz Polaków pojawiali się także zagraniczni pracownicy Google'a i innych korporacji, więc używało się angielskiego. W międzyczasie Ivan całkiem nieźle opanował też polski, a po chorwacku rozmawiał z innymi przybyszami z byłej Jugosławii, których nie brakowało w mieście, a także studentami krakowskiej slawistyki. Tych ostatnich poznawał na organizowanych w mieście bałkańskich wydarzeniach i imprezach, choćby słynnych sylwestrach w Klubie RE.

– Nie chodziło tylko o nocne życie – zaznacza Ivan. – Kiedy przyjechałem do Krakowa, najbardziej ujęła mnie atmosfera pełna nadziei i wiary w przyszłość. Ludzie rozmawiali o swoich planach, mieli mnóstwo pomysłów, podczas gdy Chorwaci głównie narzekali. Teraz, po różnych kryzysach i pandemii, to się trochę zmieniło, ale wciąż pamiętam ten entuzjazm i wolę działania, które mnie wtedy ujęły.

Po imprezowej krakowskiej dekadzie w życiu Ivana zaszły zmiany. Google zamknął swój krakowski oddział i zaproponował przeprowadzkę – w przypadku Ivana do Moskwy albo Nowego Jorku. Odmówił. Zastanawiał się nad powrotem do rodzinnego miasta. Jako programista pracujący z domu mógł wybrać dowolne miejsce na świecie, zdecydował się jednak co najmniej połowę z każdego roku spędzać w Krakowie.

– Jedyne, co mi przeszkadza w Polsce, to trochę zbyt chłodne zimy, jestem zdecydowanie ciepłolubny – mówi Ivan. – Dlatego najzimniejsze miesiące spędzam w Azji, najczęściej w Wietnamie, ale kiedy tylko pogoda robi się bardziej przyjazna, wracam do Krakowa, to wciąż moje miejsce na świecie. ©

ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Skarby Krakowa

MARTYNA NOWICKA

Zwiedzić wszystkie skarbce tego miasta? To chyba niemożliwe, bo wiele z nich jest niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. Jednak miłośnicy pięknych i cennych przedmiotów nie mogą narzekać. Oto krótki przewodnik po skarbcach i skarbczykach.

Niespełna trzy lata po otwarciu w nowej odsłonie Muzeum Książąt Czartoryskich, świeżej aranżacji doczekała się inna, równie ważna krakowska kolekcja. W czerwcu zwiedzającym udostępniono nowy Skarbiec Koronny na Wawelu, gdzie zobaczyć można kolekcję-instytucję, istniejącą (choć nie bez przerw) od XV wieku i od niemal wieku powszechnie dostępną. Wyśmienite przykłady rzemiosła artystycznego uzupełniają tu cenne pamiątki historyczne: niemal pozbawiony ozdób koncerz zdobyty (według przekazów) pod Grunwaldem, tureckie strojne kałkany pokazujące militarne znaczenia dawnej Rzeczypospolitej, a także insygnia władzy i dowody uznania wręczane władcom na przestrzeni wieków.

Klejnot w koronie

Wawelski Skarbiec Koronny gromadzi obiekty o muzealnej randze, które tworzą wielowątkową opowieść o polskiej historii widzianej z perspektywy władców i najważniejszych urzędników państwowych. Te przedmioty, dziś dostępne każdemu, kto kupi bilet, od XV do końca XVIII wieku (wtedy zbiory Skarbca zostały zrabowane przez Prusaków i w dużej mierze uległy rozproszeniu lub zniszczeniu) pozostawały w ukryciu, wyciągane tylko z okazji najważniejszych wydarzeń państwowych. Dziś, schowane za wysokiej klasy szybami, niemal niewidocznymi dla zwiedzających, starannie opisane i pogrupowane, czekają na wszystkich.

Nic dziwnego, że Skarbiec – podobnie zresztą jak inne wawelskie ekspozycje – był latem oblegany. Warto więc jesienne zwiedzanie krakowskich cymeliów rozpocząć właśnie na Wawelu, nawet jeśli dobrze znaliśmy poprzednią odsłonę tych zbiorów. Chociaż przebudowa wystawy trwała tylko 11 miesięcy, przygotowania były zdecydowanie dłuższe, a na potrzeby nowej ekspozycji zakupiono m.in. dzieła sztuki złotniczej o wartości 5 mln zł. Te zakupy były zresztą konieczne, jeśli weźmiemy pod uwagę, że Skarbiec powiększył się trzykrotnie – z czterech do dwunastu sal! W tym celu przeniesiono do nowej siedziby magazyny Archiwum Narodowego.

Zatopiona w półmroku wystawa pozwala widzom w pełni docenić prezentowane w gablotach, a wydobyte starannie wyreżyserowanym światłem obiekty: błyszczące puchary, strojne siodła i wysadzane kamieniami nachrapniki, płaszcz Kawalera Orderu Świętego Ducha (prezent Ludwika XIV dla Jana III Sobieskiego) czy wreszcie biżuterię, odznaczenia państwowe i... kunstkammerę Zygmunta III. Na tym tle prostotą wyróżnia się jasna sala, w której króluje szczerbiec, lewitujący w szklanej gablocie. Nowy Skarbiec Koronny prezentuje najcenniejsze narodowe pamiątki w nowoczesnej odsłonie, starannie stawiając akcenty przy pomocy aranżacji.

Mechanizm zegarka

Jeżeli skarbcem nazywa się zbiór cennych przedmiotów, to jest nim każda kolekcja muzealna. Obiekty gromadzone przez dziesięciolecia, dobierane przez kustoszy zgodnie z misją instytucji, chronione przed upływem czasu, restaurowane, pieczołowicie przechowywane, w niewielkim tylko procencie czy promilu udostępniane widzom.

Są jednak muzea, które decydują się pokazywać swoje zbiory bez narzuconego, tematycznego klucza. Jedno z nich to Muzeum Krakowa, gdzie co sobotę odwiedzać można Thesaurus Cracoviensis, jednocześnie centralny magazyn zbiorów i miejsce otwarte dla zwiedzających.

W 2017 r., kiedy Thesaurus Cracoviensis został udostępniony zwiedzającym, dyrektor Muzuem Krakowa, Michał Niezabitowski, mówił: „Fakt, że otwieramy magazyn studyjny, w którym nie tylko bezpiecznie, wygodnie przechowujemy nasze zbiory, ale także udostępniamy je publiczności, to dowód na zmianę myślenia o roli muzeum. Współcześnie uznajemy, że ich zadaniem jest nie tylko gromadzenie zbiorów, ale i publiczności wokół zbiorów". Budynek Thesaurusa, który mieści się przy ul. Księcia Józefa 337, można zwiedzać tylko z przewodnikiem, podobnie zresztą jak drugi z krakowskich magazynów studyjnych, MuFo Józefitów – oddział Muzeum Fotografii w Krakowie.

W obu instytucjach w trakcie zwiedzania zobaczymy nie tylko specjalnie przygotowane magazyny, ale cały szereg specjalistycznych pracowni. W Thesaurusie można się przekonać, jak wyglądają prace nad restauracją szopek krakowskich albo dowiedzieć się, jak sprawić, żeby kartonowa struktura obklejona sreberkiem przetrwała dla kolejnych pokoleń. W Muzeum Fotografii zobaczymy z kolei pracownie konserwacji oraz dokumentacji obrazowej, a przechodząc przez budynek razem z przewodnikiem, dowiemy się, jak najlepiej zadbać o domowe archiwum fotograficzne.

W podziemiach budynku przy Józefitów 16 można też zobaczyć, jak zmieniał się sprzęt fotograficzny i filmowy, jak wyglądały opakowania na klisze czy papier fotograficzny, jakie urządzenia umożliwiały wywoływanie zdjęć. Cenne doświadczenie dla wszystkich, którym zdjęcia kojarzą się głównie z ekranami laptopa i smartfona: przypomina, że fotografie, dziś wszechobecne i nieustannie wykonywane, wymagały jeszcze kilkadziesiąt lat temu całkiem sporo wysiłku. A dla wszystkich, którzy cykali

JAKUB CERTOWICZ / CRICOTEKA

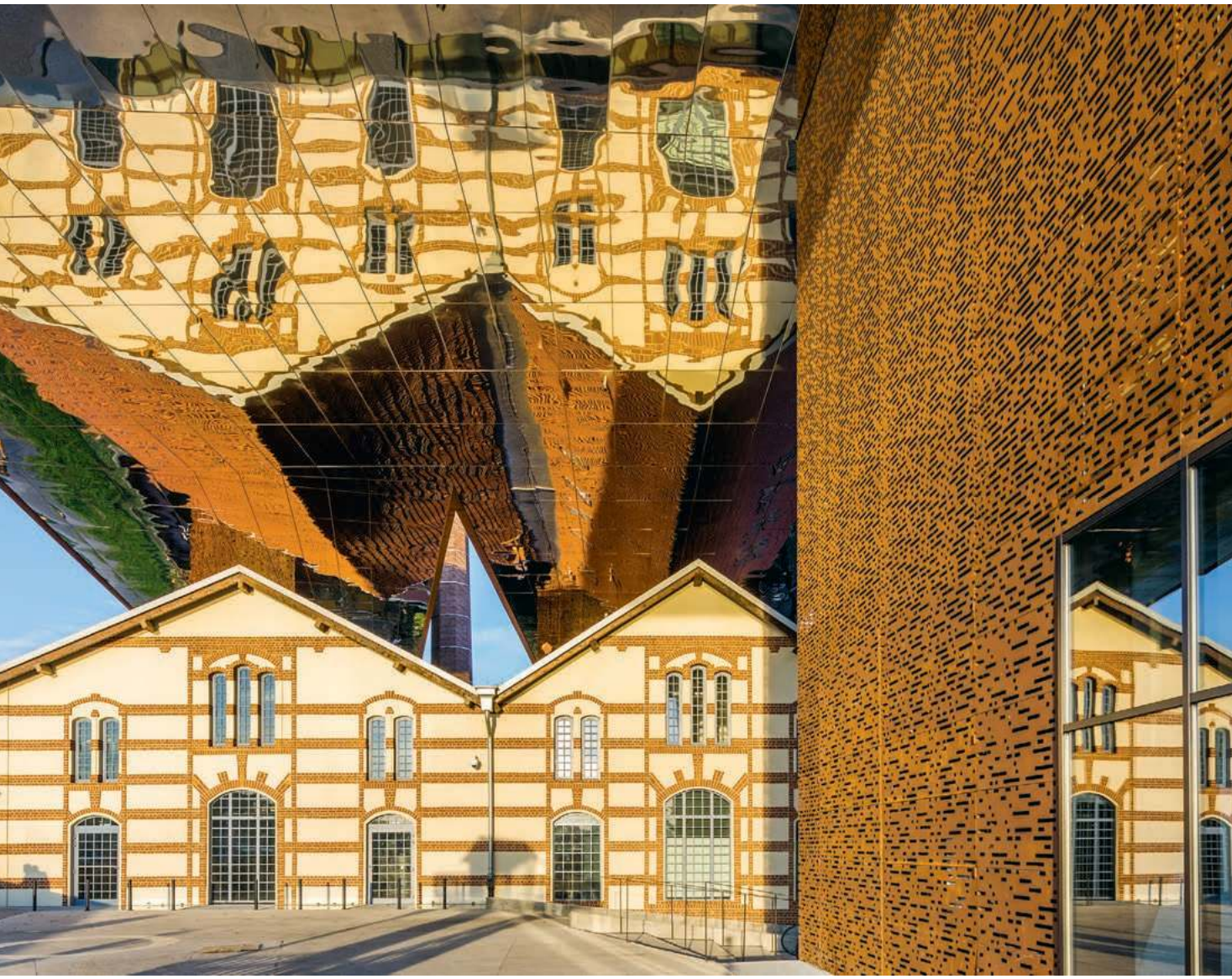

Siedziba Cricoteki – Ośrodka Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora.

zdjęcia zenitami i smienami, będzie to wycieczka wybitnie nostalgiczna.

Wielka wyprawa do garderoby

Na drugim biegunie wobec Skarbca Koronnego znajdują się dwie wystawy prezentujące nie to, co najcenniejsze, nie potęgę dawnej Rzeczypospolitej, lecz przedmioty ubogie, codzienne, oplecione narracyjną tkanką. Komu niemiły splendor, na odtrutkę może odwiedzić Kazimierz i Podgórze, gdzie w Muzeum Etnograficznym i w Cricotece czekają dwa nieoczywiste skarbce.

Pierwszy z nich to wystawa „Powerbank. Siła kobiet", która na dodatek mieści się w dawnej siedzibie banku, sąsiadującego wcześniej z Domem Esterki (należącym do Muzeum Etnograficznego przy ul. Krakowskiej). Kuratorki – Dorota Majkowska-Szajer, Katarzyna Piszczkiewicz i Magdalena Zych – postanowiły tę przestrzeń poświęcić kobiecym przedmiotom codziennego użytku. Ten skarbczyk, skrzynia z wianem zbieranym przez wieki, uzupełniają historie pięćdziesięciu kobiet, od bogini Kali przez królową Michaldę, aż po te bliższe współczesności: kolekcjonerki, tkaczki, malarki czy antropolożki. Niektóre z nich były twórczyniami prezentowanych na wystawie obiektów, inne ich właścicielkami czy użytkowniczkami, kolejnym zawdzięczamy ich obecność w muzealnych zbiorach. Być może warto spojrzeć na „Powerbank. Siłę kobiet" jak na współczesną odpowiedź na dawne skarbce: tu, zamiast cennych pamiątek historycznych, obecnych w zbiorowej świadomości Polaków, oglądamy przedmioty zwyczajne, wysłużone, często dowartościowane dopiero przez cudze spojrzenie – oddane do muzeum przez córkę czy wnuczkę, pozyskane do kolekcji dzięki determinacji etnografki.

Od umieszczonego na plakacie wystawy tasaka, formą przypominającego kobietę, z rękojeścią w kształcie buta na obcasie, przekazywanego z matki na córkę w rodzinie darczyńcy, przez czerwone trzewiczki z safianowej skóry czy mosiężny naszyjnik Hucułki, aż po wycinanki i hafty – przedmioty prowadzą widza przez świat wielu pokoleń kobiet z całego świata. „Powerbank" zbiera energie, opowieści, przedmioty znaczące, choć z historycznego punktu widzenia – nieznaczne, te, które zwykle pojawiają się jako przypis w wielkich narracjach. Kuratorki wydają się bardziej zainteresowane ciągłością codziennej kobiecej pracy niż jej efektami. Nawet kiedy prezentują gotowe przedmioty – utkane już chusty, gotowe obrazy – ↦

MIROSŁAW ŻAK / MHF

Magazyn studyjny MuFo Józefitów, oddział Muzeum Fotografii w Krakowie.

↦ w równej mierze interesuje je proces, nici, warsztat tkacki.

Właśnie dlatego w wystawę tak dobrze wpisują się współczesne interwencje: instalacja Elżbiety Mirgi-Wójtowicz, Wojciecha Szymańskiego, Małgorzaty Mirgi-Tas i Moniki Szewczyk; naścienne rysunki Olafa Ciruta czy piosenka z proletariackiego śpiewnika nagrana współcześnie przez Maję Luxenberg. Obiekty prezentowane dziś w muzealnych gablotach w wielu przypadkach powstawały, by być przekazywane, używane, zmieniane.

Podobna, bo zgodnie z założeniem równie zmienna, jest zawartość kolekcji Cricoteki, pokazywana na wystawie „Osobiste. Kostiumy teatralne Kantora". Tak jak w Muzeum Etnograficznym, mamy tu do czynienia z obiektami, które powstały jako użytkowe, z myślą o konkretnych osobach: aktorach teatru Tadeusza Kantora. Wystawa-instalacja przypomina o korowodzie postaci, które przewijały się przez kolejne spektakle, od tych wystawianych w Podziemnym Teatrze Niezależnym aż po „Dziś są moje urodziny". Wybieg, który przemierzają kolejne postaci dramatu, sięga aż do sufitu: instalacja autorstwa Bogdana Renczyńskiego (także aktora Cricot 2) powoli się podnosi. Tuż przy wejściu do pomieszczenia zaczyna się całkiem przyziemnie, od stanowisk jakby żywcem wyjętych z teatralnej garderoby. Odrobina pudru dla pana, kołnierzyk dla postaci, trzeba przyszyć odpruty guzik, wszystko na szybko, zanim zgasną światła na widowni. Tę atmosferę przygotowań w świetle scenicznych lamp wzmaga jeszcze autentyczne nagranie z garderoby, w której trwały przygotowania do spektaklu.

A jednak, choć tytuł wystawy brzmi „Osobiste", stawką nie jest tu prezentacja osobistego stosunku aktorów do roli czy nawet osobistego wymiaru konkretnej scenicznej interpretacji: w teatrze Kantora rolę może grać także nieożywiony, animowany tylko przy pomocy głosu obiekt rzeźbiarski, taki jak Goplana w „Balladynie", metalowa rzeźba ożywiana z offu przez Janinę Kraupe. Dlatego też w grupie kostiumów pojawia się grupa dzieci z „Umarłej klasy" czy wspomniana już rzeźba, wykorzystywana w spektaklu Podziemnego Teatru Niezależnego.

„Przedmioty i kostiumy muszą być dziełami sztuki, a nie dekoracją wyrzucaną po użyciu na złom. Są to cechy, które czynią Teatr Cricot 2 unikalnym i czysto artystycznym zjawiskiem" – pisał Tadeusz Kantor, którego słowa przywołują kuratorzy wystawy Justyna Droń i Bogdan Renczyński.

Niezależnie do tego, czy szyte na miarę przez teatralnego krawca, pozyskiwane od krakowian przez prasowe anonse, szarpane na kolejnych aktorach przez Kantora, kostiumy są tu nie tyle ubraniem, co konstrukcją. Nawet jeśli pod pudrem i makijażem, w kołnierzyku i znoszonych butach, rozpoznać można odcisk konkretnego ciała, osobiste nawyki i postawę; jeśli nawet kostium jest wypadkową przypadków i prezentów; efektem końcowym pozostaje ruchoma rzeźba. Im wyżej zawieszone, im bliższe sufitu, tym bardziej stroje stają się abstrakcyjnymi znakami, tym dalej odbiegają od aktorów.

© MARTYNA NOWICKA

M.LASYK / REPORTER

Płaszcz kawalera Orderu Ducha Świętego, powstały w Paryżu w latach 1675-1676. Skarbiec Koronny na Wawelu.

M.LASYK / REPORTER

Thesaurus Cracoviensis – Centrum Interpretacji Artefaktów Muzeum Historycznego Miasta Krakowa, pracownia konserwacji malarstwa.

SPACER ZAMIAST MUZEUM?

Jak najbardziej! W Krakowie można te przyjemności połączyć – np. w trakcie wizyty w parku Krakowskim, gdzie pośród zieleni zobaczyć można rzeźby krakowskich artystów, stworzone specjalnie z myślą o tej przestrzeni. Część realizacji pochodzi z lat 70. (rzeźby Bogusława Gabrysia, Krzysztofa Kędzierskiego, Wincentego Kućmy, Tadeusza Mazurka, Stanisława Pląskowskiego, Józefa Sękowskiego i Tadeusza Szpunara), a prace Romana Tarkowskiego zostały przekazane miastu w 1998 r.

Z kolei w Prokocimiu, w parku im. Anny i Erazma Jerzmanowskich, warto zatrzymać się przy fontannie projektu Wiktora Zina. To ta sama fontanna, która przez 40 lat działała na Rynku Głównym w Krakowie. Jej powrót w nowym miejscu był możliwy tylko dzięki zaangażowaniu krakowian: po latach nie zachowały się oryginalne projekty. Mechanizm zasilania wodą udało się odtworzyć dzięki zdjęciom przesłanym przez mieszkańców na prośbę urzędników.

JESIENNA KULTURA W KRAKOWIE

SACRUM PROFANUM

Usłysz gatunki zagrożone wyginięciem! Zaangażowany i pełen śmiałych eksperymentów – taki będzie tegoroczny festiwal muzyki współczesnej Sacrum Profanum, bo w programie między innymi eko-opera czy koncert na dwanaście gitar elektrycznych. Usłyszymy też rzadko spotykane instrumenty, a może nawet doświadczymy muzycznych halucynacji. Wszystko w nieoczywistych przestrzeniach Krakowa w dniach **2-11 września**.

www.sacrumprofanum.com

MATERIAŁY PRASOWE / KBF X6

BOMBA MEGABITOWA: PRZYSZŁOŚĆ JEST BLISKO

Jedyne w swoim rodzaju wydarzenie, łączące światy kultury, nauki i technologii, zainaugurowane zostało w stulecie urodzin Stanisława Lema. Nauka, kultura i technologia – te trzy światy będą przenikać się w Krakowie. Festiwal Przyszłości Bomba Megabitowa wypełni przestrzenie miasta w dniach **5-12 września**. Tematem przewodnim będą zmiany klimatu, a pomysłami na to, jak im przeciwdziałać i jak się adaptować, podzielą się zaproszeni goście. Wśród nich: prof. Jerzy Bralczyk, s. Małgorzata Chmielewska, Sylwia Chutnik, Filip Springer, Adam Wajrak, prof. Marcin Wiącek, Piotr Witwicki i Małgorzata Lebda, a także naukowcy z czołowych amerykańskich uczelni.

www.bombamegabitowa.com

ICE CLASSIC

10 października w Sali Audytoryjnej im. Krzysztofa Pendereckiego w Centrum Kongresowym ICE Kraków wystąpi Royal Philharmonic Orchestra. Koncert rozpocznie wykonanie I Symfonii D-dur „Klasycznej" Siergieja Prokofiewa. Partię solową w Koncercie skrzypcowym g-moll Maksa Brucha wykona znakomity skrzypek Sergei Krylov. Wieczór zwieńczy wykonanie monumentalnej II Symfonii D-dur Jeana Sibeliusa, należącej do najwybitniejszych dzieł muzyki fińskiej. Jej prawykonanie w 1902 roku ugruntowało sławę kompozytora. Schemat dramaturgiczny dzieła przywodzi na myśl V Symfonię Beethovena, w której, tak jak to zaplanował również Sibelius, energiczna i szybka trzecia część przechodzi w pełne rozmachu ostatnie ogniwo. W tym triumfalnym finale fińscy komentatorzy upatrywali wyrazu dążeń wolnościowych i prędko ochrzcili utwór „Symfonią niepodległości".

www.iceclassic.pl

FESTIWAL CONRADA

Sylwia Chutnik, Artur Domosławski, Natasza Goerke, Carmen Maria Machado, Óscar Martínez, Zbigniew Rokita, Éric Vuillard i Jakub Żulczyk – to zaledwie kilkoro spośród pisarek i pisarzy, których spotkamy na Festiwalu Conrada. Nie zabraknie też gości z zagranicy, w tym cenionych autorów z Ukrainy. Ze wszystkimi spotkamy się stacjonarnie w Krakowie w dniach **24–30 października**, by porozmawiać o różnych sposobach doświadczania wspólnoty. „Hasło tegorocznej edycji – WSPÓLNOTY – skłania do namysłu nad relacjami między jednostką a zbiorowością – wyjaśnia Grzegorz Jankowicz, dyrektor programowy Festiwalu. – Razem z gośćmi z różnych krajów i kręgów kulturowych pomówimy między innymi o tym, jakie wartości, ale też jakie ograniczenia niesie ze sobą przynależność do danej grupy".

www.conradfestival.pl

MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W KRAKOWIE

25. edycja Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie odbędzie się w dniach **27-30 października**. Udział w imprezie zadeklarowało ponad 200 wystawców, planujących premiery wydawnicze właśnie na Targi. Miłośnicy książek z całego kraju po rocznej przerwie będą mogli spotkać się z ulubionymi autorami i powiększyć swoje domowe biblioteczki o kolejne tytuły.
W ramach Targów zaplanowano wiele wydarzeń towarzyszących i festiwali tematycznych. Nieodłączną inicjatywą towarzyszącą Międzynarodowym Targom Książki w Krakowie jest prestiżowy Konkurs o Nagrodę im. Jana Długosza, popularyzujący książki naukowe i popularnonaukowe z szeroko rozumianej humanistyki. Laureata poznamy 27 października podczas uroczystej gali w Centrum Kongresowym ICE Kraków.

www.ksiazka.krakow.pl

LITERACKIE CHWILE

Do mieszkańców Krakowa i tych, którzy odwiedzają miasto tylko na **weekend** – koniecznie zapiszcie swoje dzieci na Literackie Chwile w Pałacu Potockich (Rynek Główny 20). Te odbywające się co niedzielę warsztaty (po polsku i ukraińsku), inspirowane najpiękniejszymi książkami dla najmłodszych, prowadzi para nagradzanych i wyjątkowo kreatywnych animatorów: Beata Kwiecińska i Maciej Dąbrowski. Warsztaty cieszą się dużą popularnością, więc warto się na nie zgłosić już w poniedziałek rano, kiedy ruszają zapisy.

www.palacpotockich.krakow.pl

ILUSTRACJA ANNA PRUSIEWICZ / DOLASU

SPACERY LITERACKIE

Aby poznać lepiej swoich ulubionych autorów i autorki, warto udać się na spacer ich śladami. W ramach cyklu literackich spacerów po stolicy Małopolski, organizowanych przez Kraków Miasto Literatury UNESCO, przygotowano trasy, które są okazją do zanurzenia się w literacką historię miasta.

www.miastoliteratury.pl

Organizatorem wydarzeń jest KBF, operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO

Miasto dla dzieci

ANNA KOSIBOWICZ

W Krakowie nie brakuje miejsc, w których można miło spędzić czas z najmłodszymi. Jesienią szczególnie warto udać się tam, gdzie zielono. A właściwie już żółto-czerwono.

Kilkadziesiąt kilometrów szlaków, ogród zoologiczny, kopiec Piłsudskiego, klasztor, zamek i ogromne polany wypoczynkowe. 419 hektarów: głównie buków z domieszką dębów i brzóz. To wszystko w największym lesie w Krakowie.

Co jeszcze znajdziemy w Lesie Wolskim? W samym środku ulokowane jest znane wszystkim zoo. Zaraz obok (wręcz za płotem) działa Centrum Edukacji Ekologicznej Symbioza. Znajdziecie tam bogatą ofertę zajęć dla najmłodszych: warsztaty ekologiczne, spacery z edukatorem po Lesie Wolskim i zwiedzanie ekspozycji w budynku. Zajęcia są przeznaczone dla dzieci od lat 6, ale zdradzę, że byłam z młodszymi i też bardzo im się podobało, bo edukatorzy dostosowują się do wieku uczestników. Bilety najlepiej rezerwować online.

Symbioza znajduje się w budynku Pawilonu Okocimskiego, który stał opuszczony od lat 90. Po remoncie zastosowano w nim wiele rozwiązań ekologicznych. Pompy ciepła, ogniwa fotowoltaiczne i „zielony" dach. Do jego budowy wykorzystano rozchodniki (rodzaj sukulentów), które stosuje się do tłumienia hałasu, chłodzenia budynku latem i zbierania deszczówki wykorzystywanej potem w WC. Sprytnie, prawda?

Park leśny Witkowice

Niewielki las na północy Krakowa, na granicy z Zielonkami. Dojazd zajmuje tylko 15 minut, i to bez opuszczania granic miasta. Oprócz fragmentu lasu grądowego, który jest użytkiem ekologicznym, znajdziecie tu płytki strumyk Bibiczanka oraz naturalny plac zabaw, który powstał dzięki Budżetowi Obywatelskiemu. Drewniany plac „Leśna Kryjówka" jest idealnie wkomponowany w krajobraz: wiklinowe domki, labirynt z wierzby, krzesła i stoliki z pni drzew oraz miejsce na ognisko. To jedno z dwóch legalnych miejsc w Krakowie, gdzie można je zrobić (po uprzednim zgłoszeniu i uzyskaniu zgody od Zarządu Zieleni Miejskiej). To właśnie w Lesie Witkowickim organizowałam już parę razy swojej październikowej córce leśne urodziny.

Park im. Tadeusza Kościuszki

Powstał już w XVI wieku i dzięki temu może pochwalić się starym drzewostanem. Znajdziemy tu głównie ogromne lipy, wiązy i... kasztanowce! Tak, jesienią alejka pełna kasztanów cieszy się ogromnym zainteresowaniem wśród dzieci. W parku znajduje się Dworek Białoprądnicki, który pełni funkcję Centrum Kultury – odbywają się tu zajęcia edukacyjne i artystyczne dla dorosłych i dzieci. Często w weekendy organizowane są dodatkowe wydarzenia, dlatego warto śledzić ofertę Centrum Kultury Dworek Białoprądnicki.

W parku znajduje się duży plac zabaw, ale też sporo miejsc do odpoczynku: od klasycznych ławek po leżaki oraz stoliki. W tym roku powstał tu niewielki ogród sensoryczny z wieloma gatunkami roślin.

Uroczysko Skałki Twardowskiego

Trzy kilometry od Wawelu położony jest jeden z najpiękniejszych fragmentów dzikiego Krakowa. Skały, polany, las pełen zróżnicowanej roślinności. Choć Uroczysko Skałki Twardowskiego w dużej mierze swój obecny kształt zawdzięcza działalności człowieka, to wciąż jest jednym z najciekawszych przyrodniczo terenów w mieście. Kiedyś pozyskiwano tu wapień i funkcjonowało kilka kamieniołomów.

Skałki Twardowskiego kojarzą się z Zakrzówkiem. Zalew jest w trakcie modernizacji, więc nie będę się na nim skupiać, a opowiem o czymś mniej znanym i równie ciekawym. Czy wiedzieliście, że w Krakowie znajduje się aż kilkadziesiąt jaskiń? I że jedna z najdłuższych jaskiń w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej położona jest w granicach miasta? Tak, Jaskinia Twardowskiego ma aż pół kilometra!

Łatwo wejść do jej pierwszej komnaty, ale dalej robi się dość niebezpiecznie. Zblokowane głazy mogą się oderwać, dlatego tego nie polecam, o ile nie jesteście grotołazami. W okolicach Zakrzówka znajdziecie też sporo asfaltowych i szutrowych alejek, idealnych na spacer z wózkiem. W kilku miejscach postawiono zadaszone wiaty, gdzie można odpocząć.

Park Jordana

Chyba najbardziej znany park miejski w centrum Krakowa, w którym znajdują się aż cztery place zabaw, skate park, korty, boiska do siatkówki, piłki nożnej i koszykówki, ścianka wspinaczkowa, górka do zjeżdżania na sankach oraz miasteczko rowerowe. Nie sposób się tu nudzić! Taka zresztą była koncepcja założyciela tego parku, doktora Henryka Jordana.

Stworzył on prototyp ogrodu, który miał być miejscem dla dzieci i młodzieży do uprawiania sportu, zabawy oraz wypoczynku. Dlatego właśnie w parku tym jest tak dużo boisk, kortów oraz siłowni na świeżym powietrzu.

Idea ogrodu jordanowskiego pochodzi z drugiej połowy XIX wieku. To miejsce ważne także z historycznego punktu widzenia – dlatego znajdziemy tu alejkę z popiersiami znanych Polaków. Obok dbałości o zdrowie, ważne były (i są nadal) wątki patriotyczne. Każdy z placów zabaw zaś oferuje coś innego, od atrakcji dla maluchów po większe konstrukcje, gdzie odnajdą się starsze dzieci. ©

Kraków

Muzeum Krakowa

Thesaurus Cracoviensis

Centrum Interpretacji Artefaktów

magazyn zbiorów otwarty
dla zwiedzających w soboty
ul. Księcia Józefa 337
szczegóły na www.muzeumkrakowa.pl

MUZEUM KRAKOWA · INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

REKLAMA

Kraków

fot. Bogusław Świerzowski

Czy wiesz, że:

W Krakowie mamy **53** duże parki, **30** parków kieszonkowych, tzw. Ogrodów Krakowian oraz **15** ogrodów społecznych.

Kranowianka – to zdatna do picia woda, płynąca w krakowskich kranach- zawiera magnez, wapń, potas i sód- minerały niezbędne do prawidłowego funkcjonowania organizmu człowieka.

W 2022 roku Miasto Kraków rozpoczęło eksploatację regularnej linii autobusu zasilanego wodorem.

W planach MPK SA na najbliższe lata jest zakup nawet do **150** autobusów wodorowych.

Na terenie Krakowa działa **14** miejskich punktów gromadzenia małych elektro-odpadów. Mieszkańcy mogą w łatwy sposób pozbyć się niepotrzebnych: baterii, telefonów, żarówek czy płyt kompaktowych.

Kraków w dobrym klimacie

klimat.krakow.pl

REKLAMA